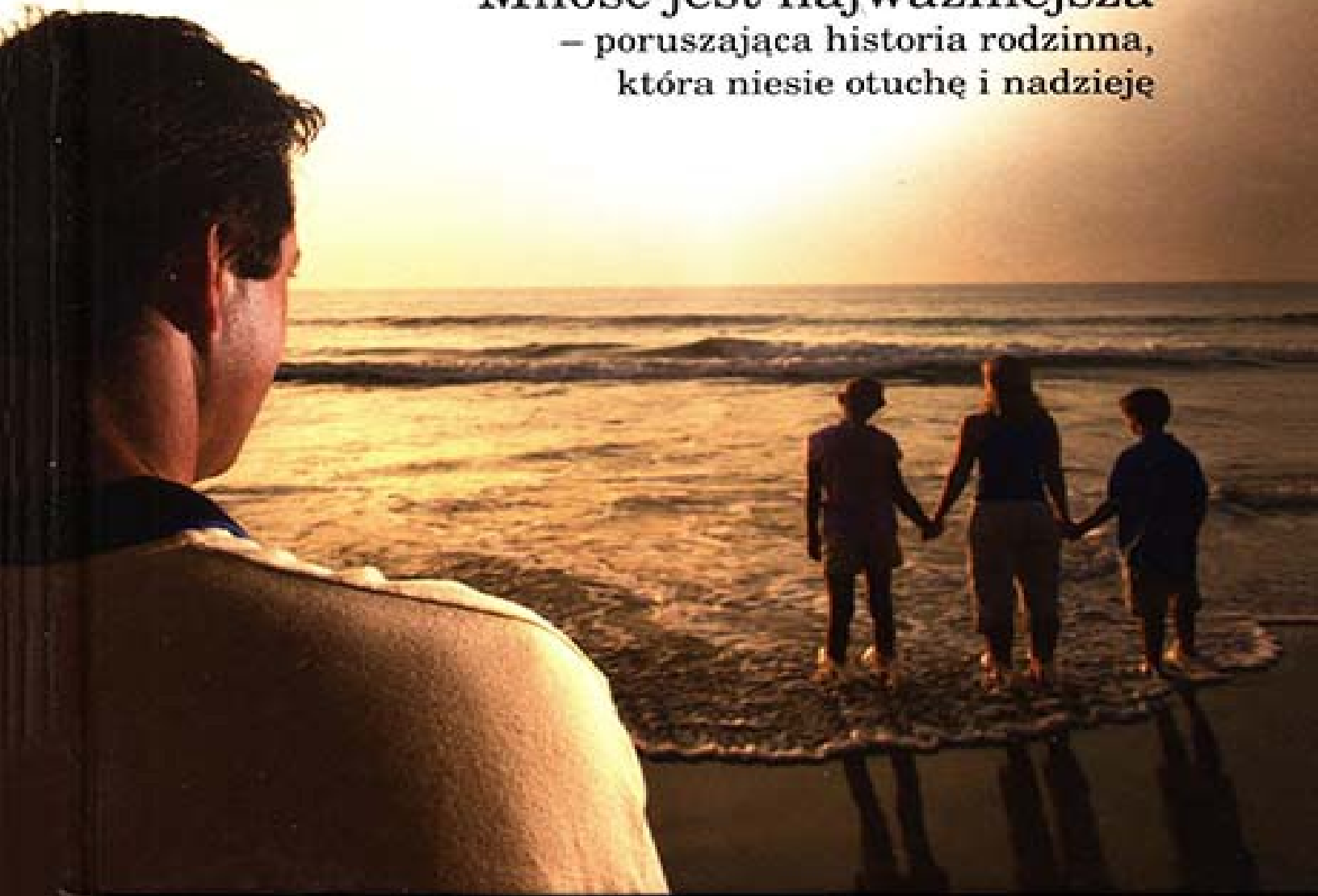


„Niesamowita opowieść rodzinna!
Baldacci to bezsprzecznie jeden
z największych pisarzy świata”.

Richard Paul Evans,
New York Times

David Baldacci
Tamtego lata

Miłość jest najważniejsza
– poruszająca historia rodzinna,
która niesie otuchę i nadzieję



Jack Armstrong, szczęśliwy mąż Lizzie i ojciec trójki dzieci, dostaje od losu wyrok śmierci: lekarze diagnozują u niego śmiertelną chorobę i jego dni są policzone. Wkrótce w rodzinę Armstrongów uderza kolejny cios: w dzień Bożego Narodzenia Lizzie ginie w wypadku samochodowym. Dzieci zostają rozdzielone i trafiają do różnych członków rodziny rozsianych po całym kraju. I wtedy właśnie zdarza się coś niezwykłego: stan Jacka niespodziewanie zaczyna się poprawiać, aż w końcu choroba mija bez śladu. Teraz ze wszystkich sił Jack będzie starał się odbudować swoją poranioną rodzinę. Latem zabiera dzieci do starego domu nad oceanem, w którym w dzieciństwie mieszkała jego żona. Tam właśnie spróbują wyleczyć rany, odnowić więzi i rozpocząć nowe życie.

David Baldacci (1960) to jeden z najświetniejszych amerykańskich pisarzy, autor bestsellerowych powieści sensacyjnych, ale również poruszających powieści obyczajowych. Te pierwsze - często bardzo drastyczne - ukazują ciemną stronę ludzkiej natury, te drugie - poruszające czułe struny uczuć rodzinnych - niosą otuchę i nadzieję. *Tamtego lata* należy właśnie do tych „jasnych” powieści Baldacciego, obok znanych już polskim czytelnikom tytułów - *Studnia życzeń* i *Pociąg do miłości*.

David Baldacci

TAMTEGO LATA

Przełożył: Zbigniew Kościuk

Tytuł oryginału: *One Summer*

Dla Spencer, mojej małej dziewczynki, która tak pięknie wyrosła.

Nie mógłbym być bardziej dumny z kobiety,

którą się stałaś.

Jack Armstrong siedział na używanym szpitalnym łóżku ustawionym w kącie jednego z pokoiów domu w Cleveland. W wieku dziewiętnastu lat, kiedy był na przepustce, on i jego żona, Lizzie, poczęli drugie dziecko. Służył w wojsku od pięciu lat, gdy na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna. Przetrwiał pierwszą turę w Afganistanie i dostał Purpurowe Serce za ranę postrzałową ramienia. Później przeżył kilka tur w Iraku, między innymi zniszczenie swojego humvee, choć znajdował się w środku pojazdu. Za odniesione rany dali mu drugie Purpurowe Serce. Otrzymał też Brązową Gwiazdę za uratowanie trzech kolegów z oddziału, którzy wpadli w zasadzkę, niemal przypłacając to życiem. Teraz umierał w obitym tanimi panelami pokoju przy Rust Belt w Ohio.

Postawił sobie prosty cel: doczekać świąt Bożego Narodzenia. Wdychał łąpczywie tlen doprowadzany rurką do nosa. Urządzenie podające tlen działało na maksymalnych obrotach, ale Jack wiedział, że niebawem zostanie wyłączone. Przed świętem Dziękczynienia był pewien, że nie przetrwa kolejnego miesiąca. Teraz nie wiedział, czy przeżyje kolejny dzień.

Może jakoś zdoła.

Muszę.

W ogólniaku mający sześć stóp i dwa cale przystojny Jack reprezentował budę w trzech dyscyplinach, grał na pozycji rozgrywającego w drużynie piłkarskiej i miał własną paczkę lasek. Jednak od pierwszej chwili, gdy ujrzał Elizabeth „Lizzie” O'Toole, jego liczne przygody miłosne się skończyły. Zanim zdążył się zorientować, zawojowała jego serce. Usta Jacka układały się w uśmiech na wspomnienie dnia, w którym ujrzał ją pierwszy raz. Jej rodzina pochodziła z Karoliny Południowej. Jack często się zastanawiał, czemu O'Toole'owie przeprowadzili się do Cleveland, gdzie nie było oceanu, jasnego słońca i palm, za to mnóstwo śniegu i lodu. Później odkrył, że się przenieśli, bo ojciec Lizzie zmienił pracę.

Tamtego dnia zjawiała się w klasie, wysoka, z długimi kasztanowymi włosami i pełnymi życia zielonymi oczami, o ślicznej zaokrąglonej twarzy. Zaczęli ze sobą chodzić w ogólniaku i od tego czasu się nie rozstawali, z wyjątkiem okresu, kiedy walczył na dwóch wojnach.

– Jack? Kochanie?

Lizzie pochyliła się nad nim ze strzykawką w dłoni. Nadal była piękna, choć nie tak jak kiedyś. Miała cienie pod oczami i głębokie zmarszczki wywołane troskami. Blask skóry zniknął, a ciało stało się twardsze, mniej gibkie niż dawniej. Chociaż to Jack umierał, w pewnym sensie odchodziła razem z nim.

– Czas na środek przeciwbólowy.

Skinął głową, a ona wstrzyknęła lek do wkłucia poniżej obojczyka. W ten sposób lek dostawał się bezpośrednio do krwiobiegu i szybciej działał. Szybkość miała znaczenie, gdy człowiek czuł się tak, jakby płonął każdy nerw jego ciała.

Kiedy skończyła, usiadła na łóżku i go objęła. Lekarze mogliby długo prawić o tym, co mu dolega. Używali terminów, których Jack nie potrafiłby wymówić, a co dopiero zapisać. Twierdzili, że to rzadki przypadek. Jeden na milion. Kiedy spytał, jaką ma szansę, spojrzeli na siebie.

– Nie możemy niczego zrobić. Przykro nam - oznajmił w końcu jeden z nich.

– Niech pan robi rzeczy, o których pan marzył, ale których nie miał dotąd okazji robić -

poradził drugi.

– Mam trójkę dzieci i kredyt hipoteczny - odparł Jack. - Nie stać mnie na luksus spełniania życzeń przed śmiercią. Ile czasu mi zostało? - spytał, choć do końca nie chciał tego wiedzieć.

– Jest pan młody i silny - powiedział jeden z lekarzy - a choroba znajduje się w początkowym stadium.

Jack przeżył talibów i Al-Kaidę. Może zdoła wytrwać i zobaczy, jak najstarsze z jego dzieci kończy college.

– Ile? - powtórzył pytanie.

– Sześć miesięcy - odparł lekarz. - Może osiem, jeśli będzie pan miał szczęście.

Jack nie uważał się za szczególnego szczęściarza.

Dobrze pamiętał tamten ranek, kiedy źle się poczuł. Pracował jako przedsiębiorca budowlany, a jego ręce i nogi zaczęły odczuwać zmęczenie po trzech godzinach fizycznej pracy zamiast po dziesięciu. W końcu nie mógł wejść po drabinie ze stertą dachówek. Później czuł ból po dziesięciu minutach noszenia najmłodszego syna. Po kilku dniach zaczęły palić go nerwy, a nogi stały się chwiejne jak u starca. Kiedy obudził się któregoś ranka, jego płuca były wypełnione wodą niczym balony. Później choroba przyspieszyła.

Jego najmłodszy syn, Jack junior, którego wszyscy nazywali Jackie, raczkował i wspinał się na kolana taty, opierając głowę na zapadniętej piersi ojca. Jackie miał długie kruczoczarne włosy zakręcone na końcach. Jego oczy miały barwę grzanki, a gęste brwi niemal zbiegały się pośrodku, jak gęsta wełniana nić. Jackie sprawił im małą niespodziankę. Dwoje innych było znacznie starszych.

Jack wolno objął ramieniem dwuletniego syna. Pulchne paluszki chwyciły jego przedramię, a skórę owionął ciepły oddech. Poczował, jakby ukłuły go igły, ale nie cofnął ramienia, bo oznaczałoby to koniec przytulania. Wolno odwrócił głowę i wyjrzał przez okno, obserwując śnieg delikatnie sypiący na dworze. Karolina Południowa i palmy nie mogły się równać z Cleveland, kiedy zbliżały się święta. Było tu naprawdę wspaniale.

Ujął dłoń żony.

– Zbliża się Boże Narodzenie - wyszeptał świszczącym głosem. - Będę z wami w te święta.

Jack obudził się i rozejrzał wokół, nie wiedząc, gdzie jest. Niczego nie czuł, nie był nawet pewien, czy oddycha.

Nie żyję? Czy to już?

– Tata... tata - zaszczębiotał Jackie, kładąc się na łóżku obok ojca. Jack się odwrócił i ujrzał pulchne policzki oraz jasnobrażowe oczy.

Pogładził włosy syna. Zdrowe gęste loki podobne do tych, które sam miał, zanim odebrała je choroba. Zaciekawiony Jackie próbował wyciągnąć rurkę doprowadzającą tlen do nosa Jacka, ale ten odsunął dłoń chłopca, ujmując ją we własną.

Lizzie weszła do pokoju z lekarstwami i wstrzyknęła je do rurki. Organizm Jacka był nawadniany i odżywiany przez kroplówkę. Stały pokarm już dawno odstawili.

– Przed chwilą odwiozłam dzieci do szkoły - oznajmiła.

– Co z Mikki? - zapytał Jack.

Lizzie zrobiła minę. Ich córka Michelle, która następnego lata miała skończyć szesnaście lat, już teraz ujawniła swoją buntowniczą naturę. Uczyła się gry na gitarze, pasjonowała muzyką, ubierała w jakieś szmaty, wymykała nocami z domu i nie chciała słyszeć o nauce.

– Zdecydowała się pójść na ostatni test z matematyki. Chyba nie powinniśmy oczekiwać, żeby go zdała. Mam też dobrą wiadomość: dostała szóstkę z teorii muzyki.

Jackie zsunął się na podłogę i wybiegł z pokoju, szukając jakiejś zabawki. Jack obserwował go z dziwną mieszaniną dumy i smutku. Nigdy nie ujrzy, jak jego syn staje się mężczyzną. Nie zobaczy nawet, jak idzie do przedszkola. Pomyślał, że to wbrew naturze, ale widać tak musiało być.

Jednak to Mikki absorbowała większość uwagi rodziców. Tak to już było z nastolatkami.

Zanim zachorował, Jack wielokrotnie rozmawiał z córką o dokonywaniu mądrych wyborów i znaczeniu nauki, choć nie odniosło to większego rezultatu. Teraz ojciec i córka stracili ze sobą kontakt. Kiedy była jego małą Mikki, bezwarunkowo kochała tatusia. Dziś ledwie ją widywał. Jack miał wrażenie, że dla niej mógłby już nie żyć.

– Mikki nie wie, jak się zachowywać w moim towarzystwie - powiedział wolno.

Lizzie usiadła obok i ujęła jego dłoń.

– Czuje się przerażona i zagubiona, kochanie. To z powodu wieku i...

– Wiem, to przeze mnie. - Odwrócił wzrok, nie potrafiąc na nią spojrzeć.

– Rozmawialiśmy o tym. Właściwie to ja mówiłam, bo ona niewiele się odzywała. To inteligentna dziewczyna, ale nie rozumie, dlaczego nas to spotkało, Jack. Ucieczka jest jej obroną. Nie uważam, żeby był to najzdrowszy sposób radzenia sobie z problemami.

– Potrafię to zrozumieć - oparł Jack.

Spojrzała na niego.

– Z powodu twojego taty?

Skinął głową i pogładził jej dłoń palcami. W oczach błysnęły mu łzy, gdy przypomniał sobie bolesną śmierć ojca. Wziął kilka głębokich łyków tlenu.

– Gdybym mógł coś zmienić, zrobiłbym to, Lizzie. Sama wiesz...

Położyła się obok, objęła go i pocałowała. Kiedy się odezwała, jej głos był chropawy, jakby znajdowała się na krawędzi załamania.

– To trudne dla nas wszystkich, Jack. Ale najtrudniejsze dla ciebie. Jesteś taki dzielny, nikt by sobie z tym nie poradził... - Przerwała, nie mogąc dalej mówić. Dotknęła jego głowy swoją i cicho zapłakała, a Jack podtrzymał ją resztką siły, która mu pozostała.

– Kocham cię, Lizzie. Niezależnie od tego, co się stanie... żadna choroba tego nie zmieni. Sypiał na szpitalnym łóżku, bo nie miał siły wejść po schodach do ich sypialni, nawet z pomocą Lizzie. Bardzo się temu sprzeciwiał, bo gdy jego życie zaczęło gasnąć, rozpaczliwie pragnął czuć przy sobie ciepło jej ciała. Była to kolejna rzecz, którą mu odebrano, jakby rozbierano go cegła po cegle niczym dom.

Może życie rozpada się cegła po cegle.

Po kilku minutach wzięła się w garść i otarła oczy.

– Cory gra Grincha w szkolnym przedstawieniu z okazji świąt Bożego Narodzenia. Pamiętasz?

– Tak. - Jack skinął głową.

– Sfilmuję to dla ciebie.

Dwunastoletni Cory był ich średnim dzieckiem.

– Grincha! - powtórzył z uśmiechem Jack.

– Za godzinę mam konferencję telefoniczną - powiedziała - a później popracuję w kuchni, kiedy podam Jackiemu śniadanie.

Kiedy Jack zachorował, podjęła pracę w domu. Gdy musiała wyjść, przychodzili sąsiedzi albo wpadali rodzice Lizzie.

Po wyjściu Lizzie Jack usiadł na łóżku, powoli sięgnął pod poduszkę i wyciągnął kalendarz i długopis. Spojrzał na dni grudnia zakreślone do dwudziestego. Na trzy dekady życia, małżeństwo, ojcostwo, walkę w obronie kraju, ciężką pracę i mózół, z jakim przychodziło mu odznaczanie ostatnich dni. Wyjrzał przez okno na ulicę. Śnieg przestał padać, ale w telewizji zapowiadali kolejny atak zimy, który miał przynieść więcej śniegu i lodu.

Usłyszał pukanie do drzwi i po chwili ujrzał Sammy'ego Duvalla.

Sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna był wysoki jak Jack, ale szczuplejszy od niego, o silnych rękach i barach. Praca fizyczna spowodowała, że miał wydatne mięśnie. Duvall był znacznie silniejszy od połowy mężczyzn w swoim wieku, a Jack nie znał większego twardziela. Sammy miał długie szpakowate włosy i przystrzyżoną brodę. Służył w wojsku dwadzieścia lat. Walczył w Wietnamie i brał udział w operacjach na całym świecie, o których nigdy nie wspominał. To właśnie Sammy, pierwszorzędnny cieśla samouk i przysłowiowa złota rączka, namówił Jacka do wstąpienia do armii. Kiedy odszedł do cywila, razem z Sammym założyli firmę budowlaną. Ponieważ nie miał własnej rodziny, adoptował Armstrongów.

Weterani wymienili spojrzenia, a później Sammy rzucił okiem na urzędnika podtrzymującego przyjaciela przy życiu. Nieznacznie pokręcił głową i skrzywił się. Stronił od przesadnego wyrażania emocji.

– Co słyhać w pracy? - spytał Jack, biorąc głęboki łyk tlenu.

– Nie martw się. Robota idzie, pieniądze spływają.

Jack wiedział, że Sammy wykonuje samodzielnie większość prac, a zapłatę oddaje Lizzie.

– Przynajmniej połowa tej forszy jest twoja, Sammy. Wykonujesz całą robotę. Też musisz jeść.

– Mam pensję od Wujka Sama. To więcej, niż mi potrzeba. Dam ci znać, jeśli coś się zmieni.

Sammy mieszkał w przerobionym garażu ze swoim olbrzymim owczarkiem berneńskim,

Samem juniorem. Miał niewielkie potrzeby i prawie żadnych pragnień.

Sammy uczesał go i ogolił. Później przyjaciele chwilę pogawędzili, to znaczy Sammy powiedział kilka słów, a Jack słuchał. Resztę czasu przesiedzieli w milczeniu. Jack nie miał nic przeciwko temu, bo towarzystwo Sammy'ego sprawiało, że czuł się lepiej.

Kiedy Sammy wyszedł, Jack sięgnął po długopis i skreślił dwudziesty pierwszy grudnia. Wiedział, że był to przejaw optymizmu, bo dzień dopiero się rozpoczął. Później odłożył kalendarz i długopis.

Nie mógł oddychać. Usiadł mimo bolesnych skurczów, ale to tylko pogorszyło sytuację. Serce zaczęło mu walić, płuca się zacisnęły, twarz poczerwieniała, a następnie zbladła, gdy tlen opuścił ciało i nie napłynęła nowa porcja.

Dwudziesty pierwszy grudnia, ostatni dzień mojego życia, pomyślał.

– Tatuś?

Jack podniósł głowę i ujrzał, że syn trzyma koniec rurki, który powinien być podłączony do reduktora tlenu. Uniósł go wysoko, jakby chciał oddać tacie.

– Jackie!

Przerażona Lizzie wbiegła do pokoju, wyrwała rurkę z rąk chłopca i pospiesznie wetknęła do reduktora. Po chwili tlen zaczął płynąć, a Jack opadł na łóżko, ciężko dysząc i starając się napełnić płuca.

Lizzie w jednej chwili znalazła się u jego boku.

– Boże! Jack, o Boże! - wyszeptała, gwałtownie dygocząc.

Podniósł rękę, dając znak, że nic mu nie jest.

Lizzie odwróciła się i prychnęła:

– Nie rób tego więcej, Jackie! Tak nie wolno!

Twarz malca spochmurniała i zaczął ryczeć.

Lizzie podniosła go i wyniosła z pokoju. Chłopiec próbował się uwolnić i spojrzał na Jacka przez jej ramię, wyciągając ręce i patrząc błagalnie.

– Tatuś! - zakwilił.

Kiedy płacz syna ucichł, na policzkach Jacka błysnęły łzy. Później usłyszał szloch Lizzie, wyobraził sobie, jak wypłakuje oczy, i pomyślał, że nie zrobiła niczego, by sobie na to zasłużyć.

Czasami życie jest trudniejsze niż umieranie.

Następnego dnia obudził się późno, w chwili gdy jego córka otwierała frontowe drzwi z gitarą w ręku. Podniósł dłoń i skinął, by do niego podeszła. Zamknęła i posłusznie przysła do jego pokoju.

Mikki miała ciemne włosy, jak Jack. Farbowała je na kilka kolorów, więc nie miał pojęcia, jak można by określić ich barwę. Rosła szybko, jej nogi stawały się długie i smukłe, a biodra i piersi zaczęły się zaokrąglać. Chociaż zachowywała się, jakby była całkiem dorosła, a jej twarz nie była już twarzą małej dziewczynki, nie nabrała jeszcze kobiecego wyglądu. Za rok miała pójść do ogólniaka. Kiedy ten czas minął?

– Taak, tato? - spytała, nie patrząc na niego.

Zastanawiał się, co powiedzieć. Właściwie mieli niewiele wspólnych tematów. Ich drogi się rozeszły, gdy jeszcze był zdrowy. To moja wina, pomyślał. Nie jej.

– Dostałaś szóstkę. - Wziął głęboki oddech, próbując się uśmiechnąć.

Na jej twarzy pojawił się wyraz dumy.

– Tak. To moja jedyna. Jestem pewna, że mama także to ci powiedziała. Prawda?

– Szóstka to szóstka.

– Dziękuję, że o tym wspomniałeś. - Odwróciła się do drzwi z dziwnym wyrazem twarzy.

- Słuchaj, tato, muszę iść. Ludzie na mnie czekają. Mamy próbę.

Jack wiedział, że gra w zespole, choć nie umiał sobie przypomnieć jego nazwy.

– W porządku. Uważaj na siebie.

Ruszyła w kierunku drzwi, gdy nagle się zawahała. Jej palce zaczęły majstrować przy futerale gitary. Odwróciła się ku niemu, nadal nie patrząc mu w oczy.

– Przymocowałam rurkę taśmą do reduktora, żeby nie można było jej wyciągnąć. Jackie nie wie, co robi. Mama nie musiała go tak surowo potraktować.

– Dziękuję - powiedział, zaczerpnąwszy łyk tlenu.

Pragnął, by na niego spojrzała, choć z drugiej strony wolał, żeby tego nie robiła. Nie chciał widzieć współczucia w jej oczach. Potężny, silny ojciec Mikki skurczył się do czegoś takiego. Ciekawe, kogo jego córka poślubi? Gdzie będą mieszkali? Czy będą mieli dom daleko od Cleveland?

Czy odwiedzi mój grób?

– Mikki?

– Tato, naprawdę muszę iść. Już jestem spóźniona.

– Mam nadzieję, że będziesz miała wspaiały dzień... kochanie.

Zdawało mu się, że jej wargi lekko zadrżały, ale po chwili odwróciła się i wyszła. Kilka sekund później zamknęła za sobą drzwi. Wyrżał przez okno. Przeskoczyła przez śnieg i wsiadła do samochodu prowadzonego przez jednego z jej przyjaciół. Jack nie czuł się jeszcze tak oddzielony od życia.

Po kolacji Cory nałożył kostium i odegrał przed ojcem rolę Grincha. Cory był krępy dwunastolatkiem, choć jego długie stopy i tyczkowate kończyny zapowiadały, że jeszcze urośnie. Miał szopę brązowych opadających na czoło kosmyków, taką samą jak Jack w jego wieku. Rodzice Lizzie przyszli na kolację, żeby obejrzyć przedstawienie, i przywieźli ze sobą babcię Lizzie. Cecilia była elegancką osiemdziesięcioletnią damą, która używała balkonika i

przenośnej butli z tlenem.

Wychowała się i spędziła większą część życia w Karolinie Południowej. Przeprowadziła się do córki w Cleveland po śmierci męża, gdy podupadła na zdrowiu. Jej głos był melodyjny, przypominający wodę szmerzącą wśród gładkich skał.

Cecilia żartowała, że ona i Jack mogliby zacząć handlować tlenem, skoro tyle go mają. Też umierała, choć nie tak szybko jak Jack. Nadchodzące święta Bożego Narodzenia będą pewnie jej ostatnimi, ale miała za sobą długie szczęśliwe życie i wyglądała na pogodzoną z losem. Paplała wesoło o życiu na Południu, herbatkach i przyjęciach wydawanych na cześć młodych dam oraz o tym, jak nocą paliły papierosy i piły gorzałkę za kościołem. Jednak co jakiś czas Jack przyłapywał ją na ukradkowych spojrzaniach i wyczuwał, że stara dama smuci się z powodu tego, co go spotkało.

Kiedy Cory skończył swoje przedstawienie, Cecilia pochyliła się i szepnęła Jackowi do ucha:

– Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. To czas cudów. - Często powtarzała te słowa, a z jakiegoś powodu jego nastrój na chwilę się poprawił.

Przyjemne uczucie stłumiło wspomnienie lekarskiego werdyktu.

Sześć miesięcy, co najwyżej osiem, jeśli będzie pan miał szczęście.

Można było odnieść wrażenie, że nauka zawsze triumfuje nad nadzieją.

O jedenastej usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i Mikki wślizgnęła się do środka. Zdawało mu się, że zerknęła w jego stronę, choć nie weszła do pokoju. Kiedy Jack był zdrowy, razem z żoną bacznie pilnowali, kiedy wychodzi i wraca. Gdy zachorował, Lizzie podjęła samotne czuwanie. Dziś wystarczyło, żeby weszła pod prysznic lub siadła do posiłku, a Mikki korzystała z okazji.

Gdy wszyscy zasnęli, Jack sięgnął pod poduszkę i wyciągnął długopis. Tym razem nie skreślał dnia w kalendarzu. Wyjął kartkę papieru, starannie rozłożył i umieścił na książce, którą trzymał przy łóżku. Podniósł długopis i zaczął pisać. Zapisanie niecałej strony zajęło mu dużo czasu, przynajmniej godzinę. Choć z powodu braku sił jego charakter pisma wydawał się niezgrabny, myśli nie mogły być jaśniejsze. Listów miało być siedem. Jeden na każdy tydzień jego życia, z datą starannie wypisaną u góry, tak starannie, jak mógł to zrobić drżącą ręką. Każdy list zaczynał się słowami „Droga Lizzie” i kończył „Kocham cię, Jack”. W głównej części listu starał się wyrazić uczucia, którymi ją darzył. Powiedzieć, że choć niebawem jego życie dobiegnie końca, zawsze przy niej pozostanie.

Zdawał sobie sprawę, że te listy będą najważniejszą rzeczą, jakiej dokona w życiu, dlatego starannie dobierał każde słowo. Skończywszy, wsunął list do koperty, oznaczył numerem i włożył do szuflady stolika przy łóżku.

Zaplanował, że ostatni list napisze w wigilię świąt Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy pójdą spać.

Odwrócił głowę i wyrztał przez okno. Mimo ciemności zauważył, że śnieg mocno sypie.

Wiedział, jak się czuje człowiek potępiony, choć nie popełnił żadnego przestępstwa. Czas, który mu pozostał, był drogocenny, ale nie mógł go lepiej wykorzystać.

Jack skreślił w kalendarzu dwudziesty czwarty grudnia. Do napisania pozostał mu jeszcze tylko jeden list. Wylądował w szufladzie nocnego stolika z siódmką na kopercie. Miał nadzieję, że gdy po jego śmieci Lizzie przeczyta listy, dostarczą jej choć odrobinę pociechy.

Bo jemu dostarczyły. Dzięki listom skoncentrował się na tym, co najważniejsze w życiu.

Bonnie, teściowa Jacka, została przy nim, gdy reszta rodziny pojechała obejrzeć szkolne przedstawienie, w którym występował Córy. Lizzie zmusiła Mikki, żeby się do nich przyłączyła. Bonnie zaparzyła filiżankę herbaty i usadowiła się z książką w ręce, a Jack siedział w fotelu przy oknie, czekając na vana, który przywiezie Lizzie i pozostałych.

Później zjawiał się Sammy, otrzepując śnieg z butów, ściągając zrobioną na drutach czapkę i uwalniając długie gęste włosy. Usiadł obok Jacka i podał mu prezent. Kiedy Jack otworzył pakunek, spojrzał na niego ze zdumieniem.

Pięć biletów do Disney World. Na przyszły rok.

Sammy uścisnął jego ramię.

– Mam nadzieję, że pojedziesz tam z rodziną.

Jack podniósł głowę i zauważył, że Bonnie kręci głową z lekkim wyrzutem. Bonnie O'Toole nie była kobietą wierzącą w cuda. A jednak Jack znał przyjaciela na tyle dobrze, by wiedzieć, że Sammy jest całkowicie przekonany, iż on zrobi z nich użytek. Poklepał Sammy'ego po ramieniu, uśmiechnął się i skinął głową.

Kiedy Sammy odszedł, Jack rzucił okiem na bilety. Doceniał pewność przyjaciela, choć tylko on wiedział, że koniec był już niedługo. Walczył z całych sił. Nie chciał umierać i zostawiać rodziny, ale nie mógł dłużej żyć w takim stanie. Pomyślał z wahaniem o siódmym liście, który zamierzał napisać. Wiedział, że kiedy skreśli ostatnie słowa, a kartka bezpieczne wylądował w kopercie, będzie mógł odejść w spokoju. Był to mały, ale ważny punkt odniesienia. Postanowił, że zaczeka, aż święta Bożego Narodzenia dobiegną końca, aż zostaną otwarte prezenty i zaświta nowy dzień. Czerpał pewną pociechę z faktu, jak niewielką kontrolę sprawował nad własnym życiem, nawet jeśli ograniczało się to do wybrania czasu odejścia.

W oknie mignęły reflektory nadjeżdżającego vana. Bonnie poszła otworzyć drzwi, a Jack obserwował z podnieceniem, jak dzieci wyskakują z samochodu. Ojciec Lizzie poprowadził je podjazdem, niosąc Jackiego nie rękach, bo ścieżka była oblodzona. Śnieg w dalszym ciągu padał, choć w radiu powiedzieli, że temperatura spadła poniżej zera, co powodowało, iż na drogach było więcej lodu niż śniegu, a to czyniło jazdę bardzo niebezpieczną.

Zatrzymał wzrok na Lizzie, która po zamknięciu drzwi vana nie odwróciła się do domu, ale w drugą stronę. Nie zauważył zbliżającego się mężczyzny, bo skupił całą uwagę na żonie. Po chwili ujrzał Billa Millera. Chodzili do tej samej szkoły. Bill osłaniał Jacka zajmującego pozycję rozgrywającego. Przyszedł też na ślub Jacka i Lizzie. Bill był kawalerem, prowadził firmę instalatorstwa wodno-kanalizacyjnego i nieźle mu się wiodło.

Jack przysunął twarz do szyby, wiedząc, że Bill podchodzi do jego żony. Lizzie zarzuciła torebkę na ramię i odgarnęła włosy z oczu. Stali obok siebie. Nie oddzielał ich od siebie nawet najcieńszy skrawek ciemności. Oddech Jacka zaparował szybę, tak blisko się przysunął. Patrzył, jak Bill pochyła się ku Lizzie, a jego żona staje na palcach. Później Bill zachwiał się

do tyłu, gdy Lizzie zdzieliła go w twarz. Mimo słabości Jack podniósł się w fotelu, jakby chciał wyjść i bronić honoru żony. Bill Miller odszedł chwiejnym krokiem, znikając w ciemności, a Lizzie odwróciła się i pomaszerowała w stronę domu.

Chwilę później usłyszał, jak wchodzi do środka i otrząsa śnieg z butów.

Lizzie weszła do pokoju, zdejmując szalik i rozcierając zmarznięte ręce. Jej twarz płonęła i nie patrzyła na niego tak jak zwykle.

– Pora na prezenty. Później mama i tata pojedą do siebie. Wrócą jutro, dobrze, kochanie? Zapowiada się wspaniały dzień.

– Jak twoja ręka?

Spojrzała na niego.

– Co?

Wskazał okno.

– Bill ma szczęście, że nie stracił przytomności.

– Był pijany. W przeciwnym razie by się nie odważył. Idiota.

Jack chciał coś powiedzieć, ale przerwał i odwrócił wzrok. Lizzie szybko to dostrzegła i usiadła obok niego.

– Jack, chyba nie sądzisz, że Bill i ja...

Uścisnął jej dłoń.

– Chyba żartujesz? Jasne, że nie - powiedział, całując ją w policzek.

– O co chodzi? Coś cię gnębi?

– Jesteś młoda i masz trójkę dzieci.

– Wiem. - Próbowała się uśmiechnąć, ale zrezygnowała, widząc poważny wyraz jego twarzy.

– Potrzebujesz kogoś...

– Nie chcę o tym mówić. - Próbowała wstać, ale ją powstrzymał.

– Spójrz na mnie, Lizzie. Popatrz na mnie.

Odwróciła głowę i utkwiała w nim załzawione oczy.

– Znajdziesz sobie kogoś.

– Nie.

– Zrobisz to.

– Jestem zajęta. Nie mam czasu na...

– Zrobisz to.

– Musimy rozmawiać o tym właśnie teraz? Jest wigilia Bożego Narodzenia.

– Nie mogę wybrzydzać, Lizzie. - Zmęczony mówieniem, wziął duży haust tlenu.

Jej twarz poczerwieniała.

– Nie myślałam o tym. Słuchaj... lepiej wyglądasz dziś wieczór. Może lekarze...

– Nie, Lizzie. Nie.

Zasłoniła oczy dłońmi.

– Gdybym myślała o takich rzeczach, oznaczałoby to, że nie chcę... Mógłbyś pomyśleć...

Przytulił ją.

– W swoim czasie wszystko się ułoży. Obiecuję ci. Tylko się nie śpiesz. I staraj się być szczęśliwa. - Zmusił ją, żeby na niego spojrzała, i otarł jej łzy. Zdołał się nawet uśmiechnąć. - Tylko, na Boga, nie wybierz Billa.

Roześmiała się, ale śmiech przerodził się w szloch, gdy ją przytulił.

Po chwili odsunęli się od siebie. Lizzie wytarła nos chusteczką i powiedziała:

– Właściwie to zastanawiałam się nad następnym latem. Zamierzałam z tobą o tym pogadać.

Ucieszył się, że nadal chciała jego rady.

– Mów.

– Pewnie uznasz to za głupie.

– Powiedz.

– Pomyślałam sobie, że mogłabym zabrać dzieciaki do Pałacu.

– Do Pałacu? Nie byłeś tam od...

– Wiem, wiem. Myślę, że już na to czas. Słyszałam, że jest w kiepskim stanie. Wiem, że wymaga dużo pracy, ale na jedno lato powinien wystarczyć.

– Jesteś pewna? Wiem, że to dla ciebie trudne.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła fotografię. Pokazała ją Jackowi.

– Nie widziałam jej od lat. Pamiętasz, jak ci ją pokazałam?

Zdjęcie przedstawiało rodzinę O'Toole'ów, gdy wszystkie dzieci były małe.

Jack wziął fotografię.

– Obok ciebie stoi Tillie, twoja siostra bliźniaczka.

– Mama mówiła, że nigdy nie można było nas od siebie odróżnić.

– Miała pięć lat, gdy umarła?

– Prawie sześć. Zmarła na zapalenie opon mózgowych. Lekarze nie mogli nic poradzić. - Spojrzała przelotnie na Jacka i odwróciła wzrok. Jak w twoim przypadku, pomyślała.

– Rodzice powtarzali mi, że Tillie poszła do nieba. - Uśmiechnęła się, a po jej policzkach spłynęło kilka łez. - Na terenie posiadłości jest stara latarnia. Kiedyś działała. Była taka piękna.

– Wspominałaś mi o niej. Czy twoi dziadkowie są nadal właścicielami Pałacu?

– Tak. Chcę ich zapytać, czy możemy pojechać tam latem.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu O'Toole'owie zamienili słońce i ocean na chłodne Cleveland.

– Myślę, że zrobili to częściowo z mojego powodu.

– Nie rozumiem.

– Nigdy wcześniej ci o tym nie wspominałam, może sama o tym zapomniałam, ale ostatnio często myślałam o Tillie... - wykrztusiła.

– Lizzie, powiedz mi. Proszę.

Odwróciła się do niego.

– Kiedy rodzice powiedzieli, że moja siostra poszła do nieba, chciałam... chciałam ją odnaleźć. Nie rozumiałam, że nie żyje. Wiedziałam, że niebo jest w górze, więc zaczęłam... zaczęłam obserwować sklepienie, żeby odnaleźć Tillie.

– Byłaś wtedy dzieckiem.

– Poszłam do latarni. Wtedy jeszcze działała. Poszłam i naprawdę wpatrywałam się w niebo w poszukiwaniu Tillie. Korzystając ze światła... - Przerwała, wydając cichy szloch. - Nigdy nie ujrzałam nieba ani Tillie.

Jack ją przytulił.

– Już dobrze, Lizzie. Już dobrze - powiedział delikatnie.

Wytarła oczy o jego koszulę i kontynuowała:

– To się stało moją obsesją. Chodziłam tam codziennie, ale nie potrafiłam jej odnaleźć i bardzo cierpiałam. Kiedy byłam starsza, rodzice powiedzieli mi, że Tillie nie żyje. Niewiele

to pomogło. - Znów przerwała na chwilę. - Nie mogę uwierzyć, że nie mówiłam ci o tym nigdy wcześniej. Chyba trochę się tego wstydziałam.

– Nie ma się czego wstydzic. Straciłaś siostrę bliźniaczkę. Byłaś małym dzieckiem.

– Kiedy przeprowadziliśmy się do Ohio, już wiedziałam, że nie znajdę Tillie, wpatrując się w niebo. Wiedziałam, że odeszła. Tak czy inaczej, latarnia przestała działać. Myślę, że moi rodzice, szczególnie mama, chcieli, żebym opuściła to miejsce. Uważała, że nie było to dla mnie dobre... ale to było po prostu... po prostu głupie.

– Nie, Lizzie, tak to czułaś. - Dotknął własnej piersi. - Tutaj.

– Tak. Dlatego pomyślałam, żeby tam wrócić. Żeby jeszcze raz ujrzeć to miejsce. Niech dzieci zobaczą, gdzie dorastałam. - Spojrzała na niego.

– To świetny pomysł. Dzieciaki będą uszczęśliwione.

Potarła jego ramię.

– Kto wie, Jack, może tobie też się tam spodoba. Znasz się na tym, więc może zdołasz ją naprawić. Może latarnia zaświeci ponownie. - Widać było, że rozpaczliwie pragnie uwierzyć, iż tak się stanie.

Próbował się uśmiechnąć.

– Taak, byłoby wspaniale.

Mimo pełnych nadziei słów wyraz ich twarzy nie pozostawiał wątpliwości.

Jack nigdy nie zobaczy Pałacu.

Wieczorem teść pomógł mu usiąść na wózku inwalidzkim, który wtoczył do salonu, gdzie stało małe sztuczne drzewko. Było pokryte srebrzystą lametą oraz niebieskimi i czerwonymi ozdobami. Na święta Bożego Narodzenia Jack zwykle kupował prawdziwą choinkę, ale z oczywistego powodu nie zrobił tego w tym roku.

Dzieci dostały gorącą czekoladę i przekąski. Mikki zagrała nawet kilka kolęd na gitarze, choć wyglądała na bardzo zakłopotaną. Cory powiedział tacie o przedstawieniu, a Lizzie krzątała się po pokoju, pilnując, żeby wszyscy mieli to, czego potrzebują. Później odtworzyła dla Jacka nagranie DVD, aby mógł obejrzeć szkolne przedstawienie. W końcu teściowie zaczęli się szykować do wyjścia. Powiedzieli, że droga staje się coraz bardziej oblodzona i chcą jak najszybciej wrócić do domu. Ojciec Lizzie pomógł Jackowi położyć się do łóżka.

Lizzie przytuliła rodziców na progu. Jack usłyszał, jak Bonnie mówi córce, żeby się trzymała. Zawsze było najciemniej przed świtem.

– Najważniejsze są dzieci - powiedział jej tata. - Kiedy to się skończy, będziemy do twojej dyspozycji.

Następną rzeczą, którą usłyszał, były słowa Lizzie:

– Zastanawiałam się, czy nie pomówić z Cee - powiedziała, mając na myśli swoją babcię Cecilie.

– O czym? - spytała szybko Bonnie tonem zdradzającym raczej zaniepokojenie niż entuzjazm.

– Myślałam o tym, żeby następnego lata zabrać dzieci do Pałacu. Może na całe wakacje. Chciałam się upewnić, że Cee nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Do Pałacu! - zawołała Bonnie po chwili milczenia. - Lizzie! Przecież wiesz...

– Nie, mamo.

– Nie jest ci to potrzebne, nie teraz. To zbyt bolesne.

– To było dawno temu - odparła cicho Lizzie. - Teraz jest inaczej. Będzie dobrze. Nic mi nie jest. Od dłuższego czasu, jeśli zdążyłaś zauważyć.

– Nigdy nie jest wystarczająco długo - odparła matka.

– Nie rozmawiajmy o tym dziś wieczór. Nie dzisiaj - poprosiła Lizzie.

Kiedy jej rodzice wyszli, Jack usłyszał zbliżające się kroki żony. W drzwiach stanęła Lizzie.

– To była miła Wigilia.

Nieznacznie skinął głową, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Tykanie budzika stojącego na nocnym stoliku boleśnie rozlegało mu się w głowie.

– Nie pozwól, żeby odwiodła cię od wyjazdu do Pałacu, Lizzie. Twardo obstawaj przy swoim.

– Mama bywa czasem odrobinę...

– Wiem, ale zrób to mimo wszystko. Pojedź do Pałacu. Obiecasz mi, że to zrobisz?

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego.

– Zgoda. Obiecuję. Potrzebujesz czegoś jeszcze? - zapytała.

Jack spojrział na zegarek i wskazał na rurkę poniżej obojczyka, przez którą podawano mu leki.

– Jezu, twoje lekarstwa! Już leczę! - Podbiegła do małego kredensu w rogu pokoju, gdzie trzymała lekarstwa, ale nagle stanęła jak wryta i spojrzała na niego z przerażeniem.

– Zapomniałam odebrać twoje recepty. To całe szkolne przedstawienie... na śmierć o nich zapomniałam. -Spojrzała na zegarek. - Apteka jest jeszcze otwarta. Zaraz po nie pojedę.

– Nie wychodź, Lizzie. Dam sobie radę bez leków. Nie potrzebuję ich.

– To zajmie tylko kilka minut. Wrócę, zanim się obejrzysz. Później zostaniemy sami. Chcę z tobą jeszcze pogadać o planach na lato.

– Lizzie, nie musisz...

Ale Lizzie już zniknęła.

Usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi. Włączyła silnik vana i ruszyła ulicą.

Obudził się lekko zagubiony. Przekręcił się wolno na drugi bok i zauważył, że Mikki drzemie w fotelu obok jego łóżka. Musiała przyjść, kiedy spał. Wyjrzał przez okno. Obok domu przesuwwały się smugi światła. Przez głowę przeszła mu absurdalna myśl, że przybył Święty Mikołaj. Później próbował się podnieść, bo usłyszał jakieś dźwięki na dachu.

Renifer? Co się, u diabła, dzieje?

Dźwięk rozległ się ponownie. Teraz zdał sobie sprawę, że nie był to odgłos uderzeń o dach. Ktoś walił do drzwi.

– Mamo? Tato? - To był Cory. Jego głos się zbliżał. Po chwili chłopiec wetknął głowę przez drzwi. Miał na sobie pidżamę i spoglądał zdenerwowany. - Ktoś puka do drzwi.

Mikki też się obudziła. Przeciągnęła się i zobaczyła Cory'ego.

– Ktoś stoi pod drzwiami - powtórzył jej brat.

Mikki popatrzyła na ojca. Jack spoglądał przez okno na wir świateł. Pomyślał, że na trawniku przed ich domem wylądował statek kosmiczny. W Cleveland? Chyba ma halucynacje. Popatrzył na Mikki i zrozumiał, że widzi to samo. Jack uniósł dłoń i wskazał frontowe drzwi, a później skinął córce głową.

Była przerażona, ale podbiegła do drzwi i otworzyła. Na progu stał potężny mężczyzna w policyjnym mundurze z pistoletem u pasa. Wyglądał na zmarzniętego, zmęczonego i skrepowanego. Przede wszystkim skrepowanego.

– Czy twój tata jest w domu? - spytał Mikki.

Cofnęła się i wskazała pokój. Policjant otrząsnął buty ze śniegu i wszedł do środka. Skrzypienie skózanego pasa z bronią brzmiało jak cichy krzyk. Ruszył do pokoju wskazanego przez Mikki, zobaczył Jacka z rurkami i mruknął coś pod nosem. Później spojrzał na Mikki i Cory'ego.

– Rozumie, co się do niego mówi? Czy naprawdę jest taki chory?

– Tata jest chory, ale rozumie - odparła Mikki.

Policjant podszedł do łóżka, a Jack podniósł się na łokciach. Ciężko dyszał. Niepokój sprawił, że jego chore płuca potrzebowały więcej powietrza, niż mógł dostarczyć reduktor.

– Panie Armstrong... - Policjant przełknął ślinę.

Przerwał, gdy Jack na niego spojrzał.

– Obawiam się, że doszło do wypadku z udziałem pana żony.

Jack siedział przypięty pasami do wózka inwalidzkiego, wpatrując się w trumnę Lizzie. Obok siedziały jego dzieci. Właściwie tylko Mikki i Cory. Jackie był zbyt mały.

Zaopiekowała się nim sąsiadka. Po chwili podszedł do nich ksiądz, podając komunię Jackowi i dzieciakom. Jack omal się nie zakrztusił, ale w końcu zdołał ją przełknąć. Jak na ironię był to pierwszy stały pokarm od wielu miesięcy.

Na pogrzebie mojej żony.

Dzień był chłodny i pochmurny. Lodowaty wiatr przenikał przez najgrubsze kurtki. Drogi były nadal oblodzone i zdradzieckie. Z domu pogrzebowego zawieźli ich na cmentarz sedanem przeznaczonym dla członków rodziny. Jego teść, Fred, jechał obok kierowcy, a on z dziećmi i matką Lizzie, Bonnie, stłoczyli się z tyłu. Bonnie nie wypowiedziała żadnego słowa od czasu, gdy usłyszała, że jej najmłodsza córka zginęła w wypadku, przejeżdżając na czerwonym świetle. Staranował ją pług śnieżny nadjeżdżający z boku.

Na szczęście nabożeństwo żałobne było krótkie. Ksiądz najwyraźniej rozumiał, że gdyby nie skrócił uroczystości, niektórzy ze starszych mogliby jej nie przeżyć.

Jack spojrział na Mikki. Upięła nastroszone włosy z tyłu, włożyła czarną sukienkę sięgającą za kolana i wpatrywała się pustym wzrokiem w trumnę. Cory nie spojrział na nią ani razu. Na koniec przysunęli jego wózek do trumny. Położył dłoń na wieku, wymamrotał kilka słów i opadł na siedzenie całkiem zdezorientowany. Odgrywał tę scenę w głowie steki razy. Tylko że to on miał leżeć w drewnianej skrzyni, a Lizzie wypowiadać słowa ostatniego pożegnania. Nic nie było jak należy. Miał wrażenie, jakby cały świat przewrócił się do góry nogami.

– Wkrótce do ciebie dołączę, Lizzie - powiedział niepewnym głosem. Słowa wydawały się puste i wymuszone.

Upadłby, gdyby nie chwyciła go silna dłoń.

– Już dobrze, Jack. Odwieziemy cię do samochodu. - Podniósł głowę i ujrzał twarz Sammy'ego Duvalla.

Sammy zawiózł go do sedana w rekordowym czasie. Zanim zamknął drzwi, położył dłoń na ramieniu Jacka.

– Nie zostawię cię, przyjacielu.

Odwieźli ich do domu. Brak Lizzie był jak zaogniona rana, której nie da się wyleczyć. Sąsiadka przyprowadziła Jackiego, a po chwili zaczęli się zjawiać goście z talerzami jedzenia na zaimprovizowaną stypę. Zdruzgotani ludzie rozmawiali ze sobą przyciszonym głosem. Jack kilka razy przyłapał ich na tym, że na niego patrzą, jakby się zastanawiali: Boże, co teraz?

Myślał o tym samym. Co teraz?

Dwie godziny później w domu pozostali jedynie Jack, dzieci i teściowie. Dzieciaki natychmiast zniknęły. Kilka minut później Jack usłyszał dźwięki gitary dochodzące z sypialni Mikki. Melancholijne urywane melodie. Cory i Jackie dzielili ze sobą pokój, ale nie dochodziły z niego żadne dźwięki. Jack pomyślał, że Cory płacze, a zdezorientowany Jackie próbuje go pocieszyć.

Bonnie i Fred O'Toole wyglądali na równie zagubionych jak Jack. Zaproponowali, że w okresie przejściowym pomogą córce z dziećmi, dopóki nie przyzwyczai się do bycia wdową i

nie poukłada sobie życia. Brak Lizzie sprawił, że Jack zrozumiał, jak powierzchowna była jego relacja z teściami.

Fred był potężnym mężczyzną, ale jego szeroki obwód w pasie zapowiadał mnóstwo problemów zdrowotnych. Mężczyzna polegał na żonie we wszystkich sprawach z wyjątkiem sportu i sprzedaży samochodów, bo właśnie to zajęcie sprowadziło go do Cleveland. Należał do ludzi, którzy wolą gapić się w podłogę niż w oczy innych ludzi, chyba że próbują im sprzedać najnowszego fordą f-150. Był wówczas ożywiony, przynajmniej do chwili, gdy klient nie złożył podpisu w wykropkowanym miejscu i nie sfinalizował transakcji. Bonnie była niższa od córki. Na niej.

sześćdziesięcioletniej matce czwórki dorosłych dzieci, czas odcisnął piętno. Miała krótko przycięte siwe włosy, a okulary zajmowały większą część jej kwadratowej twarzy. Fred nie przestawał wzdychać, przesuwając wielkimi dłońmi po odprasowanych spodniach od garnituru, jakby próbował zetrzeć z nich brud. Bonnie trzymała dłonie na czarnej sukni. Siedziała nieruchomo na kanapie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w róg sufitu.

Frank westchnął, wrywając Bonnie ze stanu odrętwienia.

– Cóż - powiedziała. - No cóż... - Frank i Jack na nią spojrzeli.

Odwróciła głowę i rzuciła mu krótkie nieprzeniknione spojrzenie.

Fred pomógł Jackowi położyć się do łóżka. Leżał teraz w ciemności, wpatrując się w sufit. Dni po śmierci Lizzie były znacznie gorsze od tych, które nastąpiły po otrzymaniu własnego wyroku śmierci. Zaakceptował swoją śmierć, ale z jej śmiercią się nie pogodził. Nie potrafił. Mikki i Cory ledwie się odzywali. Jackie łąził po domu, szukając mamy i płacząc, gdy nie mógł jej znaleźć.

Jack otworzył szufladę nocnego stolika i wyjął sześć listów. Nie napisał listu w Boże Narodzenie. Pisząc je, otworzył serce przed osobą, którą kochał nad życie. Spoglądając na kartki, które teraz zdawały się niepotrzebne, pograżył się w jeszcze głębszej w rozpacz.

Rzadko płakał. Widział towarzyszy ginących straszną śmiercią na Bliskim Wschodzie, patrzył, jak ojciec umiera na raka płuc, i oglądał pogrzeb własnej żony. Przy każdej okazji uрониł kilka łez, ale nigdy długo nie płakał i zawsze nad sobą panował. Teraz, wpatrując się w sufit i myśląc o milionie rzeczy, z których żadna nie była miła ani pocieszająca, cicho zapłakał, bo dotarło do niego, że Lizzie naprawdę odeszła.

Następnego ranka Bonnie objęła dowodzenie. Przyszła porozmawiać z Jackiem, holując za sobą Freda.

– To nie będzie łatwe, Jack - ostrzegła, by po chwili dodać: - Ale nie zostało nam wiele czasu. - Wyprostowała się, próbując spojrzeć na niego przyjaźnie. - Oczywiście najważniejsze są dzieci. Rozmawiałam o tym kilka razy z Becky i Frances.

Frances i Becky były jej starszymi siostrami mieszkającymi na Zachodnim Wybrzeżu. Jedyny brat Bonnie rozwiódł się i zamieszkał w Europie. Nie zdołał przyjechać na pogrzeb.

– Becky może wziąć Jacka juniora, a Frances zgodziła się zaopiekować Corym. Pozostaje tylko Michelle. - Bonnie nigdy nie nazywała jej Mikki.

– Tylko Michelle? - spytał Jack.

Jego słowa zbiły ją z tropu. Kiedy odezwała się ponownie, jej ton głosu był mniej kategoryczny i bardziej pojednawczy.

– To trudne dla nas wszystkich. Jak wiesz, Fred i ja planowaliśmy przenieść się za rok do Tempe, kiedy Lizzie i dzieci ułożą sobie życie. Chcieliśmy się przeprowadzić w tym roku, ale zachorowałeś. Postanowiliśmy zostać, bo w takich chwilach rodzina powinna trzymać się razem. Staraliśmy się ze wszystkich sił, dla was wszystkich.

– Doceniam to, Bonnie. Nie poradzilibyśmy sobie bez was. Wiem o tym.

Jego słowa ją ucieszyły. Uśmiechnęła się i uścisnęła mu dłoń.

– Dziękuję. To dla mnie wiele znaczy.

– Zabierzemy Michelle do siebie - ciągnęła dalej. - Ponieważ Jack junior zamieszka w Portland u Becky, a Cory w Los Angeles u Frances, wszyscy będą przynajmniej w rejonie Zachodniego Wybrzeża. Innego rozwiązania nie widzę.

– Kiedy? - spytał Jack.

– Świąteczna przerwa dobiega końca. W ciągu miesiąca chcemy przenieść wszystkie dzieci. Uznaliśmy, że z kilku powodów nie warto czekać do jesieni. Tak będzie dla nich najlepiej.

– Dla was również - zauważył Jack. Natychmiast pożałował, że wypowiedział te słowa. Pojednawczy ton Bonnie zniknął.

– Tak, dla nas również. Zaopiekujemy się wszystkimi dziećmi. Każde znajdzie dom u ludzi, których kochają i którzy darzą je miłością. Nie możesz zaprzeczyć.

– A co ze mną? - spytał, dotykając piersi.

– Cóż... zamierzałam do tego przejść. - Wstała, nie patrząc na niego. Utkwiła wzrok w ścianie nad jego głową. - Umieścimy cię w hospicjum. Zatrószymy się o szczegóły. - Gdy na niego spojrzała, nie wyglądała na uszczęśliwioną. - Chcielibyśmy się tobą zaopiekować, ale nie jesteśmy młodzi, poza tym weźmiemy Michelle, a...

– Lizzie umarła - dodał Fred.

Jack i Bonnie spojrzeli na niego równocześnie, zaskoczeni jego obecnością, a jeszcze bardziej tym, że zabrał głos.

Jack wziął głęboki oddech i zebrał siły.

– Moje dzieci, moja decyzja - powiedział.

Fred spojrział na Jacka, a później na swoją żonę, ale Bonnie nie oderwała wzroku od

zięcia.

– Nie możesz się zatroszczyć o dzieci - rzekła. - Nie możesz się zatroszczyć nawet o siebie. Lizzie się wszystkim zajmowała. Teraz odeszła... - W jej oczach błysnęły łzy, a głos stał się ponownie chropawy.

– Mimo to decyzja należy do mnie - odrzekł buntowniczo. Nie miał pojęcia do czego to doprowadzi, ale słowa same wychodziły mu z ust.

– Kto inny weźmie do siebie troje dzieci? Jeśli nic nie zrobimy, trafią do rodzin zastępczych i pewnie nigdy więcej się nie zobaczą. Czy tego chcesz?

Usiadła tuż obok niego.

– Naprawdę tego chcesz?

Zaczerpnął więcej powietrza, czując, że wraz z energią opuszcza go determinacja.

– Czemu nie mogę tu zostać? - zapytał, biorąc kolejny długi wdech. - Czemu nie mogę tu zostać, dopóki dzieci się nie przeprowadzą?

– Hospicjum jest znacznie tańsze. Przykro mi, jeśli zabrzmiało to bezdusznie, ale dysponujemy ograniczonymi środkami. Trzeba podjąć trudne decyzje.

– Mam umierać samotnie?

Bonnie spojrzała na męża. Wyraz jego twarzy wskazywał, że w tej sprawie jest po stronie Jacka.

– To nie jest właściwe, Bonnie. Nie można odbierać mu rodziny po tym wszystkim, co się stało.

Jack spojrzał na niego z wdzięcznością.

Bonnie drgnęła niespokojnie.

– Też o tym pomyślałam - przyznała z westchnieniem. - Nie jestem pozbawiona serca, Jack. Zależy mi na tobie. Nie chcę robić żadnej z tych rzeczy, ale dzieci niedawno straciły matkę... - Bonnie przerwała, lecz nie podjęła na nowo.

Jack zaczął powoli rozumieć, do czego zmierza.

– Nie chcesz, żeby patrzyły, jak umieram? Żeby przechodziły przez to ponownie, tak szybko po śmierci Lizzie?

Bonnie rozłożyła ręce.

– Z drugiej strony przyznaję, jesteś ich ojcem. Pozostawię ci decyzję. Zrobię, co zechcesz, Jack. Dzieci mogą tu zostać do... do twojej śmierci. Wezmą udział w pogrzebie, a później zorganizujemy przeprowadzkę. Mogą być z tobą do końca. - Spojrzała na Freda, który wyglądał, jakby nie miał nic do dodania.

Jack był zaskoczony, kiedy teść wyjąkał:

– Podejmij decyzję, Jack. Zrobimy, jak będziesz chciał, zgoda?

Jack milczał tak długo, że Bonnie w końcu się podniosła, owijając sweter wokół ramion mocniej trzeba.

– Dobrze, wprowadzimy się tu z dziećmi. Możemy załatwić dochodzącą pielęgniarkę. Lizzie miała ubezpieczenie na życie. Możemy wykorzystać te środki, żeby...

– Zabierzcie dzieci.

Fred i Bonnie spojrzeli na niego.

– Zabierzcie dzieci - powtórzył. - W jakim celu miałyby patrzeć, jak umieram? Były już na jednym pogrzebie. Czemu zmuszać je do udziału w kolejnym?

– Jesteś pewien? - spytała Bonnie. Wydawała się mówić szczerze, choć Jack wiedział, że dzięki temu zostanie uwolniona od ogromnej presji.

– Przygotujcie wszystko. Jak najszybciej. - To nie potrwa długo, pomyślał. Nie teraz, gdy odeszła Lizzie.

Bonnie odwróciła się do wyjścia i zamarła. W drzwiach stali Mikki i Cory.

– Sądziłam, że jesteście na gorze - rzuciła nerwowo.

– Myślałaś, że ta sprawa nas nie dotyczy? - spytała zuchwale Mikki.

– Sądziłam, że dorośli podejmują decyzję z myślą o tym, co najlepsze dla dzieci.

– Nie jestem dzieckiem! - prychnęła Mikki.

– Michelle, to trudna decyzja dla nas wszystkich. Staramy się zrobić to, co najlepsze w trudnych okolicznościach... - Przerwała, by po chwili dodać: - Ty straciłaś matkę, a ja córkę. - Jej głos się załamał. - Jedno ani drugie nie jest łatwe, kochanie.

Mikki spojrzała na ojca, który posłał jej bezradne spojrzenie. Czuł gniew, który z niej promieniował.

– Wszyscy jesteście do bani! - krzyknęła, odwróciła się i wybiegła z domu, trzaskając drzwiami.

Bonnie pokręciła głową, otarła oczy i spojrzała na Jacka.

– To wielkie poświęcenie dla nas wszystkich. - Po tych słowach wyszła z pokoju, a Fred ruszył posłusznie w ślad za nią. Cory stał bez ruchu, wpatrując się w ojca.

– Cor... - zaczął, ale syn odwrócił się i pobiegł na górę.

Jack leżał minutę nieruchomo, czując się jak przewrócony na plecy żółw.

– Jack?

Podniósł głowę i ujrzał Bonnie trzymającą coś w ręku.

– Policja przywiozła to wczoraj. - Podniosła jakiś przedmiot. - Była to torba z lekarstwami Jacka. - Znaleźli ją w vanie. Szkoda, że Lizzie musiała wyjechać w taką ciężką noc, kiedy drogi było obludzone. Gdyby tego nie zrobiła, pewnie żyłaby do dziś.

– Mówiłem jej, żeby została w domu. Nigdy jej do tego nie namawiałem.

– A jednak pojechała - odrzekła Bonnie.

Kiedy pospiesznie wychodziła z pokoju, na jej policzkach lśniły łzy.

Pokój był czysty, ale mały. Nie to było problemem. Jack spał całymi miesiącami w metalowym baraku wraz z dziesięcioma żołnierzami piechoty na środku pustyni, gdzie było albo za zimno, albo za gorąco. Tym, czego nie lubił w nowym miejscu, były dźwięki. W ostatnich dniach życia ludzie nie wydają zbyt przyjemnych odgłosów. Kaszlą, krztuszą się i krzyczą z bólu, ale najczęściej jęczą. Dźwięki nigdy nie ustawały. Później słyszał pisk kół noszy, gdy ktoś umarł i wywozili jego ciało, a pokój sprzątano na przybycie kolejnego umierającego z listy oczekujących.

Choć większość pacjentów stanowili starzy ludzie, Jack nie był najmłodszym pacjentem. Gdy przewozili go do jego pokoju, dostrzegł małe ciało leżące na łóżku. Pozbawiona włosów głowa, puste oczy i płatanina rurek. Biedak ledwie oddychał, czekając, żeby to wszystko się skończyło. Jego rodzina przychodziła codziennie, a matka właściwie nie opuszczała hospicjum. Gdy z nim byli, uśmiechali się, ale gdy tylko wychodzili, zaczęli płakać. Jack widział to, bo mijali jego drzwi. Zgarbieni, wypłakujący oczy ludzie. Oni też czekali, żeby to wszystko dobiegło końca. Czekali, a jednocześnie obawiali się tej chwili.

Jack sięgnął pod poduszkę i wyciągnął kalendarz. Jedenasty stycznia. Skreślił kolejny dzień. Był tu już piątą dobę. Słyszał, że przeciętny okres pobytu w hospicjum wynosi trzy tygodnie. Bez Lizzie oznaczało to o trzy tygodnie za długo.

Ponownie sięgnął pod poduszkę i wyciągnął sześć pogniecionych kopert z listami, które napisał do żony. Poprosił Sammy'ego, żeby mu je przyniósł przed sprzedaniem domu. Teraz trzymał je w ręku. Papier był poplamiony jego łzami, bo wyciągał je kilka razy dziennie. Co innego miałyby robić z czasem, który mu pozostał? Listy ciążyły mu na sercu z prostego powodu - Lizzie nigdy ich nie przeczytała. Nigdy nie dowie się, co czuł w ostatnich dniach swojego życia. Nie dowie się o miłości, jaką ją darzył. Z drugiej strony listy były jedyną rzeczą, która pozwalała mu umrzeć w spokoju, z pewną dozą godności. Schował koperty i położył się nieruchomo, nasłuchując pisku kółek towarzyszącego ostatniej podróży kolejnego pacjenta. Nosze miały jego pokój z przerażającą regularnością. Niebawem sam nimi pojedzie.

Odwrócił głowę, gdy weszły jego dzieci, a za nimi Fred. Był zaskoczony, widząc Cecilie w balkoniku, z butlą tlenu umieszczoną w bordowym nosidełku. Jackie natychmiast wgramolił się na kolana taty, a Cory usiadł w nogach łóżka. Mikki stała w drzwiach, buntowniczo założywszy ręce na piersi i trzymając się jak najdalej od pozostałych. Miała na sobie wypłowiałe džinsy z dziurawymi kolanami, ciężkie buciory i pozbawioną rękawów rozpiętą parkę z czarnym podkoszulkiem z długimi rękawami, na którym widniał napis Pamiętaj o Darfurze. Jej włosy miały teraz pomarańczowy kolor i były bardziej nastroszone niż zwykle. Barwa włosów ostro kontrastowała z podkrążonymi oczami.

Cory coś do niego mówił, a Jack skupił całą uwagę na jego słowach.

– Tato, będziemy z dala od ciebie!

– Widać tata tego chce! - rzuciła ostrym tonem Mikki.

Przekręcił się, żeby na nią popatrzeć. Odwróciła wzrok, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Cory przysunął się bliżej.

– Posłuchaj tato, myślę, że powinniśmy z tobą zostać. Tylko to ma sens.

Jackie, który uczył się załatwiać do nocnika, kołysał się niespokojnie na łóżku, ściskając w kroczu.

– Dziadku, Jackie musi się załatwić - powiedziała Mikki. - Tym razem go nie wyprowadzę.

Fred spojrzał Jackiego i pobiegł z nim do ubikacji na korytarzu.

– Musisz wyjechać, Cor - powiedział Jack, kiedy Fred i Jackie wyszli. - Wszyscy musicie - dodał, nie patrząc na Mikki.

– Wtedy nie będziemy razem, tato - zaprotestował Cory. - Nie będziemy się widywali.

Cecilia, która przysłuchiwała się rozmowie, przemówiła cichym głosem:

– Obiecuję ci, Cory, że będziesz często widywał brata i siostrę.

Mikki wyszła do przodu. Ponurą minę zastąpił grymas buntu.

– W porządku, a co będzie z tatą? Ma tu zostać sam? To niesprawiedliwe.

– Będę z tobą. I twoją mamą... duchowo - dodał niezręcznie.

– Mama nie żyje. Nie może z nikim być - prychnęła Mikki.

– Mikki - zganiła ją Cecilia. - To nie było konieczne.

– Cóż, powiedziała prawdę. Nie musimy się okłamywać. Jakby mało było tego, że muszę wyjechać i mieszkać z nimi w Arizonie.

W oczach Cory'ego błysnęły łzy i chłopak zaczął szlochać.

Po powrocie Jackiego i Freda z toalety wizyta trwała jeszcze pół godziny. Cecilia została najdłużej. Odwróciła się i spojrzała na Jacka.

– Nigdy nie będziesz sam, Jack. Wszyscy nosimy cię w sercu.

Wiedział, że były to życzliwe i szczerze słowa.

Sęk w tym, że Jack Armstrong już dawno przestał wierzyć w cuda. Przestał wierzyć, ale miał pytania.

– Cecilio?

Odwróciła się zdumiona nagłą natarczywością jego głosu.

– Słucham, Jack?

– Lizzie powiedziała mi, że następnego lata chciałaby zabrać dzieci do Pałacu.

Cecilia przysunęła się bliżej.

– Tak ci powiedziała? - zdziwiła się. - Do Pałacu? Boże, po tym wszystkim?

– Wiem, ale... ale może dzieciaki mogłyby tam kiedyś pojechać.

Cecilia kiwała głową.

– Dopilnuję tego, Jack. Przyrzekam.

Przyszli go odwiedzić ostatni raz. Tego dnia mieli wyjechać do swoich nowych domów. Przyszli także Bonnie i Fred. Cory i Jackie stłoczyli się wokół łóżka, obejmując go, całując i mówiąc jedno przez drugie.

Jack miał na sobie świeżą koszulę. Jego twarz i ciało były wyniszczone. Urządzenia zapewniały mu komfort jedynie wówczas, gdy były nastawione na cały regulator. Powiedział już Bonnie, że chce zostać skremowany.

– Żadnego pogrzebu - powiedział. - Nie chcę, żeby dzieci ponownie przez to przechodziły.

– Zadzwoń, gdy tylko dojadę na miejsce, tato - obiecał Cory, nie odwracając głowy.

– Ja też! - wtrącił Jackie.

Jack wziął kilka głębokich oddechów, przygotowując się do tego, co musiał zrobić. Za kilka minut jego dzieci odejdą na zawsze, a on chciał, żeby zapamiętały ostatnie chwile jako w miarę możliwości szczęśliwe.

– Przygotowałem coś dla was - oznajmił. Wcześniej poprosił Sammy'ego, żeby przywiózł mu z domu trzy pudełeczka. Powoli wyjął je z szafki stojącej przy łóżku i wręczył po jednym Cory'emu i Jackiemu. Sięgnął po ostatnie i spojrzał na Mikki.

– To dla ciebie.

– Co to takiego? - spytała, udając, że nie jest zainteresowana, choć zauważył, iż prezent ją zaintrygował.

– Chodź, sama zobacz.

Westchnęła, podeszła do łóżka i wzięła pudełko z rąk ojca.

– Otwórzcie je - powiedział.

Cory i Jackie otworzyli pudełka i spojrzeli na metalowe odznaczenia z purpurową wstążką.

W pudełku Mikki było coś innego.

– To Brązowa Gwiazda - wyjaśnił Fred. - Za odwagę na polu walki. Twój tata jest bohaterem. Dwa pozostałe to Purpurowe Serca za... za rany odniesione na wojnie - dokończył, spoglądając z zakłopotaniem na Cory'ego i Jackiego.

– Pomyślcie o mnie, gdy je otworzycie - poprosił Jack. - W ten sposób zawsze będę z wami.

Bonnie otarła oczy chusteczką, głęboko poruszona tym gestem, ale Jack na nią nie patrzył. Obserwował swoją córkę. Dziewczyna ostrożnie dotknęła metalu i jej usta zaczęły drżeć. Kiedy podniosła głowę i zauważyła, że ojciec na nią patrzy, zamknęła pudełeczko i szybko wsunęła je do torebki.

Cecilia została dłużej. Usiadła obok i uściśnęła jego dłoń swoją pomarszczoną ręką.

– Jak się czujesz, Jack? Szczerze...

– Pytasz o umieranie czy pożegnanie z dziećmi? - spytał słabym głosem.

– Chodziło mi o to, czy chcesz już odejść?

Odwrócił się ku niej. Jego zakłopotanie, a nawet gniew spotkały się z jej promienną spokojną twarzą.

– Leżę w hospicjum, Cee. Jestem martwy.

– Nie, nadal żyjesz.

Jack odwrócił głowę, oddychając z wysiłkiem.

– To tylko kwestia czasu. Dni. Do diabła, może godzin.

– Chcesz odejść?

– Tak, do licha! Tak!

Zostawiła go leżącego na łóżku. Pożegnał się z rodziną. Nie musiał już skreślać kolejnych dni w kalendarzu. Bo nie będzie kolejnych. Przysunął dłoń do guzika. Czas nadszedł.

Wcześniej omówił wszystko z lekarzem. Urządzenia podtrzymujące go przy życiu zostaną wyłączone. Zrobił to, co sobie zaplanował. Nadszedł czas, by odejść. Pragnął jedynie ujrzeć Lizzie. Widział jej twarz oczami duszy.

– Już pora - powiedział. - Czas na mnie. - Ogarnęło go wyczuwalne poczucie ulgi. Jednak cofnął dłoń, bo Mikki wróciła do pokoju z medalem w rękę.

– Chciałam powiedzieć, że... że ten medal jest spoko. Spojrzenia ojca i córki się spotkały jak spojrzenia dwóch dawno zaginionych przyjaciół, którzy połączyli się za sprawą przypadku. W jej oczach było coś, czego od dawna nie widział.

Znowu jest moją małą dziewczynką.

– Mikki? - wyjąkał łamiącym się głosem.

Podbiegła i go objęła. Jej oddech zapiekł na zimnym karku, przesyłając ładunek energii do wszystkich zakamarków ciała. Uścisnął ją tak mocno, jak na to pozwalały jego mizerne siły.

– Bardzo cię kocham... Tak bardzo cię kocham - powiedziała.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz bólu, trauma dziecka, które niebawem zostanie sierotą.

Wstała i odwróciła głowę.

– Zegnaj, tato - powiedziała chropawym głosem. Odwróciła się i wybiegła z pokoju.

– Zegnaj, Michelle - wymamrotał w pustym pokoju.

Leżał godzinami, obserwując, jak dzień zamienia się w noc. Zegar tykał, a on trwał nieruchomo. Jego oddech był jednostajny, ustabilizowany przez urządzenie zastępujące płuca i podtrzymujące go przy życiu. Coś zapiekło go w piersi. Nie umiał określić ani nawet dokładnie zlokalizować tego doznania. Skupił wszystkie myśli na ostatnim objęciu z córką. Na błaganiu, żeby jej nie opuszczał. Kiedy jego życie dobiegnie kresu, kiedy wyda ostatnie tchnienie, dzieci Armstrongów zostaną bez rodziców. Jego palec cały dzień wisiał nad przyciskiem, którym mógł przywołać pielęgniarkę. Wezwać lekarza, żeby pomógł mu odejść. Ale nigdy go nie użył.

Zegar tykał, a pieczenie w piersi narastało. Nie było bolesne. Właściwie ogrzewało jego krtań, ramiona i nogi, stopy i dłonie. Oczy stały się załzawione, a później wyschły.

Pielęgniarki przychodziły i odchodziły. Karmiły go zastrzykami z substancjami odżywczymi, które przeszywały jego ciało jak kule. Zegar tykał, a aparat nadal wtłaczał w niego powietrze. Dokładnie o północy Jack zaczął się dziwnie czuć. Jego płuca naprężyły się jak wtedy, gdy Jackie wyciągnął rurkę z urządzenia.

Pomyślał, że naciskanie guzika może okazać się zbędne. Nawet skomplikowany sprzęt medyczny nie zdoła go dłużej utrzymać przy życiu. Myślał o tym, jak będzie się czuł w ostatniej chwili. Zastanawiał się nad tym, gdy tkwił uwięziony w rozpalonej metalowej pułapce w Iraku, gdy wjechał na bombę swoim humvee. Czy przeżyje ostatnie chwile na ziemi z dala od Lizzie i dzieciaków? Jak będzie się czuł, umierając? Co będzie na niego czekało po drugiej stronie?

Kto nie byłby wystraszony? Nawet przerażony. Czekala go ostatnia podróż, w którą wszyscy wybieramy się samotnie. Bez pocieszenia płynącego z obecności bliskich. Bez wiary dostarczającej pewności, że po drugiej stronie coś na niego czeka.

Wziął głęboki oddech, a po nim kolejny. Jego płuca wyraźnie słabły. Nie potrafił zaczerpnąć dość tlenu, by podtrzymać tłące się w nim życie. Sięgnął ręką do rurki tkwiącej w nosie i zrozumiał, na czym polega problem. Nie było w niej powietrza. Zapalił lampkę przy łóżku, odwrócił się do ściany i znalazł przyczynę: rurka wysunęła się z otworu w ścianie, jednak pierścień uszczelniający pozostał na miejscu, bo nie słyszał, by powietrze dostawało się do pokoju. Już miał nacisnąć guzik, żeby wezwać pielęgniarkę, ale postanowił sprawdzić, czy sam zdoła wsunąć ją na miejsce.

Wtedy uderzyła go nieoczekiwana myśl.

Jak długo samodzielnie oddychałem?

Spojrzał na monitor obrazujący główne funkcje życiowe. Alarm się nie włączył, chociaż powinien. Później sprawdził poziom tlenu i zdał sobie sprawę, że nie uległ zmianie. Jak to możliwe?

Zdołał wsunąć rurkę na miejsce i zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Chwilę później wyciągnął rurkę z nosa i zaczął samodzielnie oddychać tak długo, jak zdołał. Dziesięć minut później płuca zaczęły pracować. Dopiero wtedy włożył rurkę na miejsce.

Co się dzieje, u licha?

W ciągu dwóch kolejnych godzin wyciągał rurkę i oddychał o własnych siłach, dochodząc do piętnastu minut. Jego płuca, które wcześniej przypominały worki wilgotnego cementu, teraz wydawały się pracować niemal normalnie.

O trzeciej nad ranem usiadł na łóżku i zrobił coś niewyobrażalnego. Opuścił boczną poręcz łóżka i zwiesił nogi. Pochylił się do przodu, dotykając palcami chłodnych płytek podłogi. Każda cząstka jego ciała napięła się z wysiłku, gdy powoli podniósł się i oparł ciężar ciała na nogach. Po kilku sekundach runął na prześcieradła. Chociaż dyszał z wyczerpania, a jego osłabione płuca piekły z bólu, powtórzył to jeszcze dwukrotnie. Z wysiłku wszystkie mięśnie przeniknął bolesny skurcz.

Jednak gdy na jego czole wystąpił zimny pot, miał powód, by uśmiechnąć się do siebie.

Pierwszy raz od wielu miesięcy stanął o własnych siłach.

Następnego ranka, gdy pielęgniarka zrobiła obchód, ponownie przysiadł na krawędzi łóżka, dotykając palcami podłogi. Później jego ręce ześliznęły się z prześcieradła i osunął się. W pierwszej chwili spanikował, wyciągając dłoń w kierunku przycisku, ale ten znajdował się daleko poza zasięgiem jego ręki. Wtedy się uspokoił. Odzyskał dawną metodyczną naturę, dzięki której wrócił bezpieczne z Iraku i Afganistanu.

Chwycił za krawędź łóżka. Wzmocnił uchwyt i podciągnął się. Później leżał w milczącym triumfie, a pot plamił jego szpitalną koszulę. Tej nocy zdołał dojść do łazienki i spojrzeć w lustro pierwszy raz od miesiący. Nie był to szczególnie piękny widok. Nie wyglądał na swoje trzydzieści cztery lata, przypominał raczej osiemdziesięcioczworoletka. Ogarnęło go poczucie beznadziei. Okłamywał samego siebie. Nadal wpatrywał się w lustro, gdy w jego głowie rozległ się znajomy głos.

– Możesz to zrobić, Jack.

To była Lizzie. Niemożliwe, a jednak.

Zamknął oczy.

– Naprawdę? - spytał.

– Tak - odpowiedziała. - Musisz, Jack. Dla dzieci.

Dowlóknął się do łóżka i opadł na prześcieradło. Czy Lizzie naprawdę do niego przemówiła? Nie miał pojęcia. Wiedział, że to niemożliwe. Choć równie niemożliwe było to, co się z nim działo. Zamknął oczy, wyobraził sobie jej twarz i uśmiechnął się do siebie.

Następnego nocy usłyszał pisk kółek noszy. Pacjent z pokoju obok nie będzie już cierpieć. Znalazł się w lepszym świecie. Jack widział duchownego przechodzącego korytarzem z Biblią w rękę. Lepsze miejsce. Ale Jack nie myślał już o umieraniu. Pierwszy raz od chwili, gdy usłyszał wyrok śmierci, skoncentrował się na życiu.

Następnego nocy, gdy zegar wybił północ, podniósł się z łóżka i zaczął wolno chodzić po pokoju, opierając dłoń o ścianę. Czuł się silniejszy, a jego płuca pracowały nieco bardziej regularnie, jakby jego ciało leczyło się samo, z minuty na minutę. Usłyszał burczenie w żołądku i zrozumiał, że jest głodny. Nie miał ochoty na płynny pokarm podawany przez rurkę. Chciał prawdziwego jedzenia. Jedzenia, które trzeba gryźć.

Co jakiś czas trącał się w ramię, żeby się upewnić, że to nie sen. W końcu zdołał przekonać samego siebie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie była to jednak zwyczajna rzeczywistość.

Zdarzył się cud.

Minęły dwa tygodnie. Jack uczcił tydzień swoich trzydziestych piątych urodzin, tyjąc cztery funty i całkowicie obywając się bez tlenu. Cud czy nie, nadal czekała go długa droga, bo w ciągu ostatnich miesięcy jego ciało bardzo osłabło. Musiał odzyskać siły i przybrać na wadze. Siedział na wózku po kilka godzin i dzięki balkonikowi samodzielnie chodził do łazienki. Kolejny tydzień przyniósł kolejne cztery funty.

Rzeczy, które jak większość ludzi uważał wcześniej za oczywiste, stanowiły małe, ale znaczące zwycięstwa w jego nieprawdopodobnym powrocie do zdrowia. Trzymanie widelca i wkładanie jedzenia do ust. Mycie twarzy i korzystanie z toalety zamiast kaczki. Dotykanie palców stóp i oglądanie własnej twarzy w lustrze.

Personel hospicjum okazywał mu wiele wsparcia, kiedy stało się jasne, że jego stan się poprawia. Może dlatego, że mieli już dość widoku ludzi opuszczających to miejsce na noszach, przykrytych prześcieradłem.

Rozmawiał z dziećmi, kiedy tylko miał ku temu okazję, używając starej komórki. Jackie był pełen życia i mamrotał nieskładnie, ale Jack czuł, że starsze dzieci są zdumione tym, co się dzieje.

– Nie mógłbyś z nami zamieszkać, tatusiu? - spytał Cory.

– Zobaczymy. Nie trzeba się spieszyć.

Z pomocą pracowników hospicjum Jack nauczył się korzystać ze Skype'a, by móc oglądać swoje dzieci na monitorze komputera, który przyniósł mu jeden z techników. Cory i Jackie byli podnieceni, widząc, że ich tata lepiej wygląda.

Mikki wydawała się bardziej opanowana i ostrożniejsza od braci, ale Jack czuł, że jest zaintrygowana.

– Twój głos jest mocniejszy, tato.

– Czuję się lepiej.

– Co to znaczy? - przerwała. - Chcesz powiedzieć, że...

Chociaż wierzył, że to, co się z nim dzieje, jest cudem,

lękał się, iż poprawa okaże się jedynie przejściowa. Nie chciał, by dzieci ponownie przechodziły przez koszmar. Nie oznaczało to jednak, że nie mógł z nimi rozmawiać ani ich oglądać.

– Nie wiem, kochanie. Sam staram się to zrozumieć.

Raz, kiedy Mikki wyszła z pokoju, na ekranie komputera ukazała się Bonnie. Zadała bardziej bezpośrednie pytanie, gdy ujrzała Jacka siedzącego na łóżku.

– Co się dzieje?

– Nadal żyję.

– Twój lekarz z hospicjum nie chce ze mną rozmawiać. Zasłania się tajemnicą lekarską.

– Wiem - powiedział Jack. - Czuję się lepiej. Nabieram sił. Jak wam idzie z Mikki?

– W porządku. Zadzwoń mi, ale musimy się zająć twoją sytuacją.

– Już to robię. Codziennie.

Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Jack korzystał ze Skype'a i telefonu, odpowiadając na wszystkie pytania dzieciaków. Zauważył, że nawet Mikki stopniowo oswoiła się z nową sytuacją. Za każdym razem, gdy widział jej uśmiech, stawał się coraz mocniejszy.

Był chłodny, wietrzny lutowy poniedziałek, gdy Jack pokonał korytarz o własnych siłach.

Przytył kolejne pięć funtów, jego twarz się zaokrągliła, a włosy odrosły. Na dobre odzyskał apetyt. Przestali mu też podawać środki przeciwbólowe.

Lekarz pracujący w hospicjum zajrzał do niego pod koniec tygodnia.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje, Jack. Poprosiłem o wykonanie nowych badań krwi i przeprowadzenie innych testów, żeby zorientować się w sytuacji. Nie chcę budzić w tobie próżnej nadziei.

Jacka patrzył na niego z łyżką zupy przy ustach.

– Będzie wspaniale, jeśli ten proces się utrzyma - ciągnął dalej lekarz. - Nikt nie będzie szczęśliwszy ode mnie. Mówiąc wprost, wszyscy moi pacjenci umierają, Jack. Pomagamy im jedynie odejść z godnością...

– Taak - zachęcił go Jack.

– Chorujesz na ciężką chorobę. Nieuleczalną. Może to pozorna remisja.

– To możliwe. Też o tym myślałem.

– Cóż, nie chcę przekreślać twoich nadziei, ale pewnie tak jest.

– Czy inni pacjenci w moim stanie mieli remisję?

Lekarz wydawał się wyraźnie zbity z tropu.

– O ile wiem, nie.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Spojrzał na niego z zakłopotaniem.

– O czym chciałeś wiedzieć?

– Wiem, że jeszcze niedawno umierałem, a teraz już nie umieram.

– Skąd masz pewność?

– Czasami człowiek po prostu to wie.

– Jack, z medycznego z punktu widzenia to, co się z tobą dzieje, jest niemożliwe.

– Medycyna to nie wszystko.

Lekarz spojrzał na niego. Zauważył pełniejszą twarz i intensywnie płonące oczy.

– Jak sądzisz, czemu cię to spotkało, Jack? - spytał w końcu.

– Jest pan lekarzem, nie zrozumie pan.

– Jestem także człowiekiem i bardzo chciałbym wiedzieć.

Jack sięgnął do szuflady i wyciągnął fotografię. Podał ją lekarzowi.

Było to zdjęcie Lizzie i dzieciaków.

– To z ich powodu - powiedział.

– Sądziłem, że twoja żona umarła.

Jack potrząsnął głową.

– To bez znaczenia.

– Co?

– Jeśli kogoś kochasz, kochasz go na zawsze.

Dwa dni później Jack zjadł pełny posiłek w swoim pokoju. Przytył kolejne trzy funty. Lekarz zajrzał do środka i przysiadł na krawędzi łóżka.

– Słuchaj, muszę oficjalnie oznajmić, że wierzę w cuda. Badanie krwi dało negatywny wynik. Ani śladu choroby, jakby coś ją wymiotło. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Nie znam medycznego wyjaśnienia tego, co się stało.

Jack przełknął porcję tłuczonych ziemniaków i uśmiechnął się do niego.

– Cieszę się, że w końcu pan do tego doszedł.

Tej nocy ponownie ujrzał dzieci na ekranie komputera. W końcu zdołał wytłumaczyć Jackiemu, że czuje się coraz lepiej.

– Tatusz wyzdrowiał - zaszczębiotał malec.

– Kiedy do mnie przyjedziesz?! - krzyknął Cory.

– Mam nadzieję, że już niedługo, wielkoludzie. Dam ci znać. Czeka nas jeszcze długa droga, ale jestem coraz bliżej.

Reakcja Mikki nieprzyjemnie go zaskoczyła.

– To jakaś sztuczka? - spytała.

Jack powoli podniósł się z krzesła i spojrzał na nią.

– Sztuczka?

– Kiedy się rozstawaliśmy, umierałeś. Po to są hospicja, tato. Pożegnałeś się ze wszystkimi. Kazałaś mi zamieszkać z dziadkiem i z nią!

– Kochanie, to nie sztuczka. Mój stan się poprawił.

Rozpłynęła się we łzach.

– Zabierzesz nas do domu? Nienawidzę tego miejsca.

– Zrobię, co będę mógł, kochanie.

Mikki wcisnęła jakiś klawisz i ekran zgasł.

Powoli usiadł. Nie usłyszał pisku kółek, gdy kobieta z pokoju po drugiej stronie korytarza wyruszyła w ostatnią podróż.

Dzień zamienił się w noc, a on siedział nieporuszony. Nie jadł, nie pił i nie odzywał się do ludzi, którzy przychodzili, żeby go odwiedzić.

Poruszył się dopiero o drugiej nad ranem. Wstał z łóżka i przekonał pielęgniarkę, żeby pozwoliła mu pójść do kuchni po coś do jedzenia. Jadł, obserwując swoje odbicie w lustrze.

Przyjadę, Mikki. Tata przyjedzie po ciebie.

Tydzień później ważył już ponad sto sześćdziesiąt funtów i przez godzinę chodził korytarzem. Jak małe dziecko uczył się ponownie władać rękami i nogami. Zginał palce rąk i stóp, uginał i prostował ramiona, poruszał nogami. Pielęgniarki obserwowały go uważnie, nienawykłe do takiego widoku. Z równym zaciekawieniem przyglądali mu się członkowie rodzin innych pacjentów hospicjum. Początkowo obawiał się, że będą zdruzgotani jego postępami, bo ich ukochane osoby umierały. Myślał tak, dopóki nie podeszła do niego jakaś kobieta. Jack wiedział, że jej mąż umiera na raka. Przeszedł obok jego drzwi i ujrzał wyschnięte ciało leżące pod prześcieradłami. Czekał na śmierć, jak inni pacjenci.

Jak wszyscy z wyjątkiem mnie.

Kobieta wsunęła mu rękę pod ramię i powiedziała:

– Niech ci Bóg błogosławi.

Spojrzał na nią pytająco.

– Dajesz nam wszystkim nadzieję.

Ogarnął go strach.

– Nie wiem, czemu mnie to spotkało - odrzekł szczerze. - To przypadek.

– Nie to miałam na myśli. Wiem, że mój mąż umiera, a jednak dajesz nam wszystkim nadzieję, kochany.

Wrócił do pokoju i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Ostatnio bardziej przypominał siebie. Linia szczęki stwardniała, włosy stały się gęstsze. Podszedł wolno do okna i wyjrzał na zewnątrz na ziemię, która nadal pozostawała w okowach zimy, choć wkrótce miała zacząć się wiosna. Spędził kilka zim z dala od rodziny, walcząc za kraj. Leżąc w barakach na przedmieścia Bagdadu lub Kabulu, zamykał oczy i wyobrażał sobie święta Bożego Narodzenia z rodziną. Słyszał śmiech Mikki i Cory'ego otwierających prezenty w bożonarodzeniowy poranek.

Później przypomniał sobie uśmiech Lizzie, gdy spojrzała na skromne prezenty, które przywiózł jej z pierwszej tury. Było wtedy lato, więc podarował jej krem z filtrem przeciwsłonecznym, kostium kąpielowy i książkę o grillowaniu. Później przesłała mu w e-mailu swoje zdjęcie w kostiumie kąpielowym, jak przyrządza hot dogi na grillu w hibachi, ze śnieżnymi zaspami w tle. Jego żona. Jej uśmiech. Tak bardzo pragnął do niej wrócić. Było to tak dawno temu, jakby zdarzyło się w innym życiu.

Zrozumiał, że nadeszła pora, aby zrobić to, co sobie zaplanował. Od początku miał taki zamiar, ale nie potrafił skoncentrować się dość długo, by go zrealizować.

Podszedł do stolika i wyciągnął plik kopert z numerami. Odnalazł kopertę oznaczoną jedyneką i wyciągnął kartkę. List nosił datę dziewiętnasty grudnia. Pierwszy list, który napisał do Lizzie. Spojrzał na swoje odręczne pismo zmienione przez chorobę, która go osłabiła. Czasami musiał oprzeć długopis na kartce, bo nie miał siły go utrzymać. Jednak pismo było czytelne. List, w którym zawarł to, co pragnął jej przekazać, miał być ostatnią rzeczą, jakiej dokonał w tym życiu.

Droga Lizzie

Chciałbym Ci powiedzieć o pewnych sprawach, ale nie mam dość tchu w piersi. Dlatego postanowiłem napisać. Chcę, żeby te listy Ci pozostały, kiedy odejdę. Nie smuć się, ale potraktuj je jako okazję posłuchania mnie jeszcze raz. Gdy byłem zdrowy, czyniłaś mnie bardziej szczęśliwym, niż miałem prawo oczekiwać. Kiedy dzieliło nas pół świata, wiedziałem, że spoglądam w to samo niebo co Ty, myślę o tych samych rzeczach, pragnę z Tobą być i czekam z niecierpliwością na powtórne spotkanie. Dałaś mi troje wspaniałych dzieci, choć nie zasługiwałem na taki dar. Choć dobrze o tym wiesz, piszę to, bo ludzie często nie rozmawiają o takich sprawach. Chcę, abys wiedziała, że gdybym mógł z Tobą pozostać, na pewno bym to uczynił. Walczyłem z całych sił. Nigdy nie rozumiałem, czemu muszę tak szybko od Ciebie odejść, choć z tym się pogodziłem. Chcę, żebyś wiedziała, że nie ma dla mnie nikogo ważniejszego od Ciebie. Kochałem Cię od chwili, gdy Cię ujrzałem. Moim najszcześniejszym dniem był ten, w którym zgodziłaś się dzielić ze mną życie. Obiecałem, że zawsze będę Ci służył. Że moja miłość do Ciebie jest tak silna, iż nawet jeśli odejdę, będę Ci towarzyszył w każdy możliwy sposób. Że będę Cię strzegł. Że będę przy Tobie, jeśli zechcesz porozmawiać. Że nigdy nie przestanę Cię kochać. Że nawet śmierć nie jest dość potężna, by na rozdzielić.

Kocham Cię, Jack

Schował list do koperty i wsunął paczkę do szuflady. Wyciągnął zdjęcie z kieszeni szlafroka i spojrzał na nie uważnie. Z kolorowej fotografii uśmiechnęli się do niego członkowie rodziny. Pomyślał o innych, którzy przebywali w tym miejscu i nie opuścili go żywi. On został oszczędzony.

Kilka dni później Jack Armstrong został wypisany z hospicjum i odesłany do ośrodka rehabilitacyjnego. Przewieźli go szpitalną karetką. Podczas drogi przyglądał się światu z dziecinnym zaciekawieniem, którego nie spodziewał się ponownie doświadczyć. Obserwował lecącego ptaka, listonosza dostarczającego pocztę i dzieci biegnące do szkolnego autobusu. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie uzna niczego za oczywiste.

Kierowcą był starszy mężczyzna. Miał miękką filcową czapkę na głowie i krótko przystrzyżoną siwą brodę. Jack był jego jedynym pasażerem.

Gdy zajechali przed budynek, w którym mieścił się ośrodek rehabilitacji, mężczyzna powiedział:

– Jeszcze nigdy nie przywiozłem tutaj nikogo z hospicjum.

– Domyślam się. - Jack skinął głową, podnosząc marynarski worek z kilkoma ubraniami, parą tenisówek i listami do Lizzie. Kiedy znalazł się w swoim nowym pokoju, rozejrzał się po prostych meblach i spojrzął w okno, z którego rozciągał się widok na pokryte śniegiem podwórko. Usiadł na łóżku po odłożeniu swojego skromnego dobytku.

Podniósł głowę, gdy do pokoju weszła znajoma postać.

– Sammy? Co tu robisz?

Sammy Duvall miał na sobie szary dres.

– A jak ci się zdaje, do licha? Przyjechałem, żeby doprowadzić cię do porządku. Wygląda, że się z tego wykaraskać. Lekarze powiedzieli, że twój stan się poprawił, ale wyglądasz na kompletnie wyplutego.

– Nie rozumiem. Nie odwiedziłeś mnie w hospicjum, chociaż nagrałem ci wiadomości na telefonie.

Oczy Sammy'ego posmutniały.

– Wiem, że cię zawiodłem - powiedział, siadając na łóżku obok Jacka.

– Co ty wygadujesz? Zrobiłeś dla mnie wszystko, co mogłeś.

– Nie. Na cmentarzu obiecałem, że zawsze będę przy tobie i nie dotrzymałem słowa. - Przerwał na chwilę. Jack nigdy nie widział Sammy'ego tak zdenerwowanego. Potężny mężczyzna rzadko okazywał emocje. Niewiele mogło wstrząsnąć Sammym Duvalliem. - Powinienem być cię odwiedzić, chłopie - powiedział drżącym głosem Sammy. - Zobaczyć, jak czekasz na... - Jack oparł dłoń na ramieniu starszego mężczyzny.

– W porządku, Sammy. Rozumiem.

Sammy otarł oczy i powiedział:

– W końcu przyszedłem. Pewnie pożałujesz, że to zrobiłem.

– Czemu?

– Jestem twoim nowym instruktorem musztry.

– Co?!

– Dogadałem się z miejscowymi.

– Jak to?

– Powiedziałem im, że jesteś specjalnym przypadkiem i potrzebujesz specjalnego traktowania. Jeśli się zgodzisz, nie będą mieli żadnych zastrzeżeń.

– Jasne, że się zgadzam. Między innymi dlatego do ciebie dzwoniłem. Chciałem, żebyś pomógł mi odzyskać formę.

– To będą twoje słynne ostatnie słowa, bo mam zamiar skopać ci tyłek.

Tygodnie szybko mijały. Szybko i boleśnie.

Podczas jednego z mozolnych treningów Jack powiedział Sammy'emu, czując, jak pot leje się z niego strumieniami:

– Nie dam rady zrobić ani jednej cholernej pompki więcej! Nie dam rady!

– Nie dasz rady czy nie zrobisz? Bo to ogromna różnica, synu.

Jack zrobił kolejną pompkę, a po niej drugą i trzecią, aż stracił czucie w rękach. Wycisnął już tysiące funtów i biegł na bieżni, dopóki nie mógł znieść zapachu własnego potu. Robił tyle pompek, że czuł, jakby ramiona miały mu za chwilę odpaść, i ćwiczył na skakance, aż kolana odmówiły posłuszeństwa.

Przeklinał Sammy'ego, który odpowiadał śmiechem, zmuszając go do kolejnych ćwiczeń.

– Byłeś komandosem? Sam junior potrafi pracować ciężiej od ciebie, chociaż jest dużym tłuściochem.

Sammy nie tylko wydawał polecenia Jackowi. Siadał na podłodze i ćwiczył razem z nim.

– Jeśli potrafi to zrobić taki stary człowiek jak ja, z pewnością ci się uda - powtarzał szydery refren.

I tak bez końca. Sammy wrzeszczał mu w twarz, a Jack zaciskał zęby, marszczył brwi i podciągał się na drążku kolejny raz, robił następną pompkę, przebiegał jeszcze jedną milę na bieżni, wykonywał jeszcze jedną serię brzuszaków i wyciskał kolejne sto funtów na sztandze. Z każdym powtórzeniem stawał się coraz silniejszy.

Codziennie rozmawiał z dziećmi. Wiedziały, że przenieśli go do ośrodka rehabilitacji.

Podczas jednej ze wspólnych sesji na Skypie Jack pokazał Cory'emu i Jackiemu swoje mięśnie.

– Masz wspaniałe mięśnie, tato - powiedział Cory.

– Wspaniałe - powtórzył nieporadnie Jackie.

Tej samej nocy ujrzał Mikki. Dziewczyna od jakiegoś czasu nie chciała z nim rozmawiać przy użyciu Skype'a, ale odbierała telefony. W końcu Sammy przekonał ją, żeby zgodziła się skorzystać z komputera.

– Wyglądasz super, tato - wyjąkała.

– Zeszczuplałaś - zauważył.

– Fakt. Babcia pilnuje wagi, a to oznacza, że wszyscy jemy jak ptaszki.

– Pójdziemy na cheesburgera.

– Kiedy? - spytała szybko.

– Prędzej, niż sądzisz, kochanie. Wiem, że powinienem stąd wyjść, żeby się z wami zobaczyć. Bardzo za wami tęsknię, ale... ale chcę zrobić wszystko jak należy. Kiedy byłem w wojsku i wyjeżdżaliśmy na patrol, zawsze analizowałem wszystkie możliwości. Inni lubili improwizować. Iść na żywioł. Czasami tak trzeba na wojnie, ale najlepszym sposobem, żeby przeżyć, jest przygotowanie się na każdą sytuację. Mam nadzieję, że to zrozumiesz, Mikki.

– Rozumiem, tato. - Po chwili dodała żartobliwie: - Czy Skype ci pomoże, gdy wyjadę do college'u i będzie ci mnie naprawdę brakowało?

W końcu nadszedł ciepły wiosenny poranek. Jack pakował swój worek, kiedy Sammy wszedł do jego pokoju.

– Czas na nas.

– Wiem - odparł Sammy.

– Nie dokonałbym tego bez ciebie.

– Dałbyś radę, ale wiem, że nie byłoby to tak zabawne.

Jack siedział na łóżku, obserwując wypełnianie ostatnich dokumentów. Minione miesiące zamazały się w jego pamięci. Wziął głęboki oddech, starając się zebrać myśli. Wyrzwał przez okno, gdzie miejsce zimy zajęła wiosna. Zakwitły krokusy, a na drzewach pojawiły się pączki. Świat budził się z długiej zimowej drzemki, a on razem z nim. Otworzył worek i wyciągnął kopertę oznaczoną numerem dwa, w której znajdował się list z datą dwudziesty grudnia.

Droga Lizzie

Za pięć dni nadejdą święta Bożego Narodzenia. Obiecuję Ci, że do nich dotrwam. Nigdy Cię nie zawiodłem, więc i tym razem dotrzymam słowa. Trudno się żegnać, ale czasem człowiek musi robić rzeczy, których nie chce. Jackie zajął do mnie niedawno i odbyliśmy rozmowę. Właściwie to on gaworzył, a ja słuchałem. Lubię go słuchać, bo wiem, że niedługo nie będę do tego zdolny. Bardzo szybko rośnie i pewnie nie będzie pamiętał swojego taty. Z drugiej strony mam pewność, że pozostanę w Twojej pamięci. Żałuję, że nie będę mógł rzucić mu piłki ani patrzeć, jak gra w koszykówkę. Wiem, że czeka go udane życie.

Cory to wyjątkowy chłopak. Odziedziczył Twoją wrażliwość i współczucie. Wiem, że moja choroba dotyka go najbardziej z wszystkich dzieci. Ostatniej nocy przyszedł do mnie i usiadł na łóżku. Pytał, czy bardzo mnie boli. Powiedziałem, że nie. Poprosił, żebym pozdrowił od niego Boga, kiedy go zobaczę. Obiecałem, że to zrobię.

No i Mikki.

W tym momencie dłoń Jacka lekko zadrżała. Przypomniawszy sobie, że przerwał, gdy pisał te słowa. Dawna łza rozmazała atrament. Zaczął ponownie czytać.

Mikki jest najbardziej skomplikowana z nich wszystkich. Nie jest już małą dziewczynką, ale nie stała się jeszcze kobietą. To dobre dziecko, choć wiem, że czasem masz z nią kłopoty. Jest bardzo inteligentna, opiekuńcza i kocha swoich braci. Kocha Cię, choć czasami nie chce tego okazywać. Najbardziej żałuję, że pozwoliłem, aby się ode mnie oddaliła. To moja wina, nie jej. Teraz wyraźnie to widzę. Żałuję, że w porę tego nie dostrzegłem. Kiedy odejdę, powiedz Mikki, że gdy ją ujrzałem po powrocie z Afganistanu, gdy byłem jeszcze w mundurze, nie było ojca bardziej dumnego ode mnie. Kiedy patrzyłem na jej maleńką twarz, odczuwałem najczystsza radość daną człowiekowi. Pragnąłem ją chronić i nie pozwolić, żeby spotkała ją coś złego. Oczywiście, w życiu jest inaczej. Powiedz Mikki, że ojciec był zawsze jej największym fanem i że nim pozostanie niezależnie od tego, co będzie robiła w życiu.

Kocham Cię, Jack

Po wypisaniu z ośrodka rehabilitacji Jack pojechał z Sammym do jego domu. Po drodze poprosił go, żeby przejechał obok jego starego domu, który został sprzedany. Jack ze zdumieniem spostrzegł swoją furgonetkę pod wiatą.

– Słyszałem, że sprzedano ją razem z domem - wyjaśnił Sammy.

– Bonnie i agent nieruchomości się tym zajęli. Czy z tyłu jest moja skrzynka z narzędziami?

– Taak. Ją również sprzedano. Wszystko stało się tak szybko. - Spojrzał na Jacka. - Wiedziałem, że pokonasz tę cholerną chorobę. Nadal masz te bilety do Disney World?

– Mam - odrzekł Jack, wyglądając ponuro przez okno.

Pięć sztuk.

Później pojechał do banku. Nie zlikwidowali jego konta, żeby można było płacić rachunki. Nadal zostało na nim kilka tysięcy dolarów. Wystarczy na początek. Miał pieniądze w portfelu, a jego karty kredytowe powinny być nadal ważne. Prawo jazdy też było aktualne, podobnie jak licencja budowlana. Później wrócił do swojego starego domu i zaproponował właścicielowi osiemset dolarów za samochód i narzędzia. Po negocjacjach zgodzili się na osiemset pięćdziesiąt. Właściciel nie krył radości, że pozbył się grata ze swojego podwórka. Jack pojechał do banku i dostał potwierdzony czek. Jeszcze tego samego dnia podpisali umowę, a on odjechał swoim starym wozem.

Później zadzwonił do dzieci i powiedział im, że opuścił ośrodek rehabilitacji i szuka miejsca, w którym mogliby zamieszkać. Następnie zadzwonił do Bonnie i wyjaśnił sytuację.

– To wspaniale, Jack - powiedziała, ale jej głos wydawał się chłodny. Spytała go, co zamierza.

– Wspominałem, że chcę odzyskać dzieci. Wkrótce po nie przyjadę.

– Myślisz, że to rozsądne?

– Jestem ich ojcem, Bonnie. Ich miejsce jest przy mnie.

Wieczorem zaprosił Sammy'ego na obiad. Sammy zjadł jednego średniego burgera z frytkami i wypił czarną kawę. W tym czasie Jack trzy razy poszedł do baru sałatkowego, zanim usadowił się, by opróżnić do czysta talerz pełen mięsa i owoców morza.

– Jakie masz plany, szefie?

– Chcę jak najszybciej odzyskać dzieciaki, ale muszę znaleźć miejsce, w którym moglibyśmy zamieszkać.

– Możecie zatrzymać się u mnie tak długo, jak zechcecie.

W domu Sammy'ego była tylko jedna sypialnia z łazienką oraz jedno wyjście. Harley Sammy'ego stał w pomieszczeniu, które nazywał „salonem”, a jego „szczeniak”, Sam junior, miał cielsko wielkości hondy.

– Mnie by wystarczyło, ale mam trójkę dzieciaków, więc przydałoby się coś większego.

Późnym wieczorem ruszył wolno wąskimi drogami prowadzącymi cmentarza. Poszedł tam tylko raz w mroźny zimowy dzień, gdy ziemię pokrywał lód i śnieg. Choć był wówczas ciężko chory, zapamiętał każdy szczegół. Nigdy nie zapomni, gdzie pochowano jego żonę, tak jak nie zapomni własnego imienia.

Szedł między kamieniami, aż dotarł do jej grobu oznaczonego prostą mosiężną tabliczką wetkniętą w ziemię porośniętą trawą. Uklęknął i odgarnął kilka zeschniętych liści. Do tabliczki

przyspawano wysoki metalowy flakon na kwiaty. Były w nim wyschłe róże. Jack wyjął je, przykucnął i przeczytał napis widniejący na tabliczce.

„Elizabeth Lizzie Armstrong, ukochana żona, matka i córka. Pozostaniesz na zawsze w naszym sercu i pamięci”.

Przesunął palcami po literach, czując łzy w oczach.

– Przywiozę dzieci, Lizzie. Przywiozę je do domu i ponownie będziemy rodziną. - Stłumił szloch. - Żałuję, że nie ma cię przy mnie, Lizzie. Żałuję bardziej niż czegokolwiek. Byłaś przy mnie w szpitalu, kiedy cię potrzebowałem. Obiecuję, że dobrze zaopiekuję się dziećmi. Dopilnuję, żeby były dumne. Wychowam je jak należy. Jak ty.

Kiedy odjęło mu mowę, upadł na miękką trawę, głośno płacząc. Był tak wyczerpany, że zasnął. Kiedy się obudził, przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, dopóki nie podniósł głowy i nie ujrzał grobu. Słońce zaczęło wschodzić, a powietrze było chłodne. Spojrzał w niebo i ujrzał stadko ptaków zapowiadających wiosnę.

Jego ubranie było mokre od rosy. Odchrząknął, żeby oczyścić gardło. Oczy i twarz bolały go od płaczu. Z oddali doleciały pierwsze odgłosy porannego ruchu na drogach graniczących z cmentarzem. Wrócił w milczeniu do furgonetki i odjechał bez tej jednej osoby, której potrzebował bardziej niż kogokolwiek innego.

Następnego dnia znalazł dom należący do starszego małżeństwa, które przeprowadziło się niedawno do ośrodka opieki. Nie mogli sprzedać domu, bo wymagał wielu napraw. Sprzedaż dodatkowo utrudniał fakt, że w okolicy były inne puste domy. Jack zadzwonił do agenta nieruchomości i zaproponował, że wyremontuje dom, jeśli będzie mógł w nim zamieszkać. Ponieważ nieruchomość i tak nie przynosiła żadnego dochodu, małżeństwo szybko przystało na jego propozycję. Dom nie był doskonały, ale takiego nie szukał. Jack chciał, żeby dzieci zamieszkały z nim pod jednym dachem. Następnego dnia podpisał jednostronicową umowę i przewiózł do niego swój skromny dobytek. Dokonał kilku szybkich kosmetycznych napraw i kupił parę używanych mebli.

Nadszedł czas.

Kartą kredytową zapłacił za bilety lotnicze, spakował torbę i udał się na lotnisko. Najpierw pojechał po Mikki, bo wiedział, że gdyby udał się do domu jednej z sióstr, ta zadzwoniłaby do matki, zanim zdążyłby opuścić ich podjazd. Uznał, że będzie lepiej, jeśli Bonnie dowie się od niego. Zastanawiał się, czy nie użyć Skype'a, żeby pokazać dom dzieciom, ale zdecydował, że lepiej zrobić to osobiście.

Wylądował w Phoenix, wynajął samochód i pojechał do Tempe. Dostał adres od Mikki. Przejechał obok ich domu, zaparkował w pewnej odległości i czekał. Godzinę później na podjazd zajechał samochód, z którego wysiedli Fred i Mikki. Córka niosła szkolną torbę. Serce go zabiło, kiedy ją zobaczył. Jeszcze bardziej urosła, a jej twarz się zmieniła. Miała na sobie szkolny mundur, białą koszulkę polo i spódniczkę w kratę. Włosy związała w kucyk. Wyglądała żałośnie.

Weszli do domu. Jack wjechał na podjazd, odetchnął głęboko, wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi.

– Tata?

Mikki spojrzała na niego z otwartymi ustami. Kiedy otworzył ramiona, by ją przytulić, niepewnie wyciągnęła ręce. Pogładził jej włosy i delikatnie pocałował w czubek głowy.

– To naprawdę ty, tato?

– Tak, kochanie. To naprawdę ja.

Za plecami Mikki stanęli Bonnie i Fred, ujrzeni go i zamarli.

– Jack? - spytał Fred. - To naprawdę ty, synku? Dobry Boże...

Bonnie stała nieruchomo z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Jack wszedł do domu z Mikki. Fred uścisnął wyciągniętą dłoń. Spojrzał na Bonnie, która sprawiała wrażenie oszołomionej.

– Mój Boże - wyszeptała za mężem. - To prawda. To szczerza prawda. Rozmawialiśmy przez telefon... widziałam cię na ekranie komputera, ale to nie to samo.

– Co się stało? - Cecilia weszła do pokoju, podpierając się balkonikiem i ciągnąc za sobą rurkę z tlenem. Na widok Jacka zamarła, jak Fred i Bonnie.

– Wiedziałam! - krzyknęła po chwili. Ruszył do przodu tak szybko, jak potrafiła, i przytuliła go z całej siły. - Wiedziałam, Jack. Wiedziałam, kochany - powtórzyła, spoglądając na niego.

Usiedli przy kuchennym stole nad szklanką mrożonej herbaty.

– Lekarze wystawili mi świadectwo zdrowia - zaczął, spoglądając na Bonnie.

Teściowa nie przestawała kręcić głową, ale Fred poklepał go po ramieniu.

– Jesteśmy tacy szczęśliwi, Jack.

Później, kiedy zostali sami, Bonnie zapytała:

– Jak długo masz zamiar u nas zabawić?

– Pojadę stąd do Los Angeles, a później do Portland.

– Chcesz zobaczyć się z dziećmi?

– Nie, chcę je zabrać, Bonnie. Powiedziałem Mikki, żeby zaczęła się pakować.

– Rok szkolny kończy się za niecałe dwa miesiące.

– Może chodzić do szkoły w Cleveland.

– Przecież sprzedaliśmy dom.

– Wynająłem inny.

– Jak zdołasz utrzymać rodzinę?

– Wróciłem do pracy w firmie.

– Kto będzie się nimi opiekował, kiedy pójdziesz do roboty?

– Mikki i Cory cały dzień przebywają w szkole. Są wystarczająco duzi, by po powrocie być kilka godzin sami. Jackie będzie chodził do przedszkola. Jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego, poradzimy sobie, jak inne rodziny.

Bonnie wydeła wargi.

– Michelle zaczęła tu nowe życie.

Jack nie wspomniał ani słowem o tym, jak żałośnie wyglądała.

– Nie sądzę, żeby miała coś przeciwko temu - odrzekł zwyczajnie.

– Mogłeś wcześniej zadzwonić.

– To prawda. Może i powinienem zadzwonić, ale nie sądzę, żeby spowodowało to jakąś szkodę.

– Szkodę? Oczekujesz, że oddamy ją bez uprzedzenia? Bez przygotowania? Po tym, co zrobiliśmy?

– Od paru miesięcy mamy stały kontakt. Informowałem cię na bieżąco o moim zdrowiu. Do licha, widziałas na monitorze, jak wyglądam. Uprzedziłem, że przyjadę po dzieci. Powiedziałem, że niebawem to zrobię. Nie powinnaś być zaskoczona. Przecież będziesz mogła je widywać... - Przerwał na chwilę, a później ton jego głosu uległ zmianie. - Chociaż zostawiłaś mnie samego.

– Zgodziłeś się. Kazałeś nam to zrobić. Sądziliśmy, że umierasz.

– Cóż, nie umarłem. Co miałem ci powiedzieć w tamtych okolicznościach? Dodam, że umieranie w samotności to parszywa sprawa.

Natychmiast pożałował, że wypowiedział te słowa. Bonnie wstała z twarzą poczerwieniałą od gniewu.

– Jak śmiesz mówić mi o umieraniu w samotności! Moja Lizzie leży martwa w grobie! W ostatnich chwilach nie było przy niej nikogo! Nikogo! A z pewnością nie było tam ciebie!

Jack spojrzał na nią gniewnie.

– Czemu tego nie powiesz, Bonnie? Wiem, że masz ochotę.

– To ty miałaś umrzeć, a nie ona. - Przerwała, zaskoczona własnymi słowami. - Przepraszam, nie miałam tego na myśli. - Jej twarz zapłonęła rumieńcem. - Bardzo mi przykro.

– Oddałbym życie, gdyby dzięki temu można było wskrzesić Lizzie. Niestety to niemożliwe. Mam trójkę dzieci, które mnie potrzebują. Nie ma niczego ważniejszego. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

– Rozumiem, że zabierasz dzieci ze zdrowego, bezpiecznego środowiska do czegoś całkiem nieznanego.

– Jestem ich ojcem - powiedział żarliwie.

– Samotnym rodzicem.

– Potrafię się o nie zatroszczyć.

– Czyżby? Nie sądzę, abyś wiedział, co cię czeka.

Jack chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

Czy Bonnie mogła mieć rację?

– Pan Armstrong?

Jack spojrzął z drabiny, na której naprawiał zewnątrz deskowanie domu. Słońce stało wysoko, powietrze było gorące, a skórę oblepiał mu lepki pot. Miał na sobie poplamiony potem bezrękawnik, brudne ciemnoniebieskie szorty, białe skarpetki i znoszone buty robocze o stalowych czubkach. Kobieta stojąca na dole była ładna, o jasnobrązowych, krótko przyciętych kręconych włosach.

Była ubrana w czarne spodnie i białą bluzkę, a obcasy jej butów tonęły w wilgotnej trawie.

– Czym mogę pani służyć?

– Jestem Janice Kapłan. Pracuję jako reporterka. Chciałabym z panem porozmawiać.

Jack zszedł z drabiny i otarł dłonie o szorty.

– O czym?

– O cudzie, który się panu przydarzył.

Jack zmrużył oczy.

– Co proszę?

– Pan Jack Armstrong? Ten, u którego wykryto śmiertelną chorobę?

– A tak! Faktycznie byłem chory.

– Nie wygląda pan na umierającego.

– Rzeczywiście, mój stan się poprawił.

– Zatem wydarzył się cud. Tak przynajmniej powiedział lekarz, z którym rozmawiałam.

Jack spojrzął na nią z rozdrażnieniem.

– Rozmawiała pani z moim lekarzem? Sądziłem, że to prywatna sprawa.

– Jesteśmy zaprzyjaźnieni. Wspomniał przelotnie o panu. Wyrażał się bardzo pozytywnie.

Zainteresowałam się, poszperałam i oto jestem.

– Po co pani przyszła? - Jack spojrzął na nią ze zdumieniem.

– Chcę opisać pana historię. Ludzie z wyrokiem śmierci rzadko dostają drugą szansę.

Chciałabym porozmawiać o tym, co pan przeżył. Wiem, że moi czytelnicy byliby tym zainteresowani.

Jack mieszkał z dziećmi niemal od czterech tygodni. Ponieważ samotnie wykonywał rodzicielskie obowiązki i zapewniał rodzinie środki na utrzymanie, ledwie znajdował czas na jedzenie i sen. Przepowiednia Bonnie okazała się prawdziwa. Nie miał pojęcia, co go czeka. Mikki zachowywała się jak należy, pomagając mu z gotowaniem i sprzątaniami, robieniem zakupów i w opiece nad chłopcami. Dopiero teraz w pełni docenił Lizzie. Jego żona robiła to wszystko sama - wozila dzieciaki do szkoły, przygotowywała posiłki, robiła zakupy i sprzątała dom. Jack ciężko pracował, ale zdał sobie sprawę, że nie dorównywał żonie, która oprócz zajmowania się domem pracowała na cały etat. W nocy leżał odrętwiały na łóżku, wyczerpany i pełen pokory, wiedząc, że Lizzie jeszcze kręciłaby się po domu.

– Moją historię? - Pokręcił głową, robiąc otwór w mierzwię czubkiem buta. - Nie ma w niej nic szczególnego.

– Proszę nie być przesadnie skromnym. Wiem, że w pana życiu dokonał się całkowity zwrot, że odbudował pan firmę, wynajął dom i odzyskał dzieci, które zostały umieszczone u rodziny, kiedy pana żona zginęła w tragicznym wypadku. - Po chwili dodała: - Dowiedziałam

się o tym akurat w wigilię Bożego Narodzenia...

Irytacja Jacka przerodziła się w gniew.

– Nie dowiedziała się pani tego od lekarza! Narusza pani moją prywatność!

– Proszę się nie gniewać, panie Armstrong. Jestem reporterką. Na tym polega moja praca. Pewnie nie wytłumaczyłam się jak należy. - Wzięła głęboki oddech, a Jack patrzył na nią z dłońmi zaciśniętymi w pięści. - Pana historia budzi pozytywne uczucia. Samotny człowiek pokonuje przeciwności losu, rodzina ponownie się jednoczy. Żyjemy w trudnych czasach, szczególnie tutaj. Cały czas słyszymy jedynie złe wieści. Piszę o tym dzień w dzień i choć są to newsy, wydają się bardzo, bardzo przygnębiające. Pana historia jest inna. To wspaniała opowieść, która wywoła uśmiech na ludzkich twarzach. Tylko o to mi chodzi. Żeby ludzie choć raz poczuli się dobrze.

Gniew Jacka szybko minął. Rozejrzał się wokół, zastanawiając się nad jej prośbą. Zauważył, że stojący na drugiej drabinie Sammy bacznie go obserwuje. Pomachał mu ręką, by powiedzieć, że wszystko jest w porządku, a później ponownie na nią spojrzął.

– Czego pani ode mnie oczekuje?

– Żeby usiadł pan ze mną i opowiedział swoją historię. Będę notowała. Później zrobię szkic artykułu i wrócę do pana. Wspólnie wygładzimy tekst, który później ukaże się w gazecie i na naszej stronie internetowej.

– To wszystko?

– Tak, to wszystko. Naprawdę wierzę, że wielu ludziom to pomoże. Wielu widzi przed sobą przeciwności losu nie do pokonania. Przeczytanie o tym, jak poradził sobie pan z własnymi, powinno przynieść dużo dobrego. Naprawdę.

– Sam nie wiem. Myślę, że po prostu miałem szczęście.

– Może tak, a może nie. Z tego, czego się dowiedziałam o pana chorobie, wynika, że szansa wyzdrowienia była zerowa. Dotąd nikomu się to nie udało.

– Cóż, cieszę się, że byłem pierwszy. Możemy się spotkać jutro po kolacji?

– Świetnie. Około ósmej?

Jack podał jej swój adres. Spojrzała na odsłonięte prawe ramię, a później na pokryte bliznami łydki.

– Widzę, że był pan w wojsku. Tam się pan tego nabawił? - Wskazała okrągłą bliznę na ramieniu i siateczkę blizn na nogach.

– Blizny na ramieniu są z Afganistanu, a te na nogach z Iraku.

– Dostał pan dwa Purpurowe Serca?

– Taak. Była pani w wojsku?

– Mój syn niedawno wrócił stamtąd w jednym kawałku. Na szczęście bez żadnych odznaczeń.

– Myślę, że oboje mamy za co dziękować.

– Do zobaczenia jutro.

Kilka dni później Janice Kaplan odezwała się ponownie.

– Ci z AP wybrali mój artykuł, Jack.

Armstrong właśnie skończył zmywać po obiedzie.

– Co to znaczy? - spytał.

– AP to agencja Associated Press. To znaczy, że opowieść o tobie i twojej rodzinie ukaże się w gazetach w całym kraju. Mój naczelny nadal nie może w to uwierzyć.

– Gratuluję, Janice.

– To ja powinnam ci podziękować. Nie chodzi o styl, ale o historię. Ten artykuł to wspaniały obraz ciebie i dzieciaków. Myślę, że wiele rodzin będzie zachęconych twoimi zmaganiem i zwycięstwem. Pomyślałam, że powinnam cię uprzedzić. Stałeś się sławny. Bądź na to przygotowany.

Słowa Janice Kaplan okazały się prorocze. Do Jacka zaczęły napływać liczne listy, otrzymywał też wiele propozycji wystąpienia w telewizji i opowiedzenia swojej historii reporterom głównych magazynów. Pewien wydawca zaproponował nawet, żeby napisał książkę. Przytłoczony błyskawicznym zwycięstwem i marzący o normalnym rodzinnym życiu odrzucił je wszystkie. Uznał, że wraz z upływem czasu pojawią się inne historie, które odwrócą od niego uwagę. Z niecierpliwością czekał, aż minie piętnaście minut jego sławy. Wiedział, że nie był żadnym cudem, ale prostym facetem, który miał szczęście.

Kiedy dwie noce później leżał w łóżku, doleciały go głosy z dołu. Nałożył spodnie i wszedł na dół.

– Nie! Przestań, Chris!

Jack pokonał ostatnie trzy schody jednym susem. Mikki stała na progu, a jakiś kilkunastoletni chłopak ją obmacywał. Wystarczyły dwie sekundy, żeby uniósł młodzieńca i przyparł do ściany.

– Nie rozumiesz słowa „przestań”, głupku? - Spojrzał na Mikki. - Co się tu dzieje, u licha?

– Mieliśmy się pouczyć... puść go, tato.

– Idź na górę - burknął.

– Tato!

– Ale już!

– Dam sobie radę. Nie jestem dzieckiem.

– Taak, właśnie widziałem. Na górę.

Podreptała do swojego pokoju, a Jack odwrócił się do młodego mężczyzny.

– Jeśli tkniesz ją choćby jednym palcem, nie będą mogli znaleźć wszystkich części, żeby cię poskładać. Zrozumiałeś?

Przerażony chłopak ledwie skinął głową.

Jack wyrzucił go na zewnątrz i zatrzasnął drzwi. Stał w korytarzu, czekając, aż gniew minie. Później pomaszerował na górę i zapukał do drzwi córki.

– Zostaw mnie!

Nie posłuchał, ale otworzył drzwi na oścież i wszedł do środka. Mikki siedziała na podłodze z gitarą na kolanach.

– Musimy ustalić parę zasad - powiedział.

Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

– Jakich zasad? Takich, które zniszczą mi życie?

– Miałem pozwolić, żeby ten gnojek cię obmacywał?

– Powiedziałam, że sobie poradzę.

– Nie poradzisz sobie ze wszystkim. Po to są rodzice.

– To ich udajesz?

Zamurowało go.

– Udaję? Sprowadziłem was tutaj, żebyśmy byli razem. Myślisz, że zrobiłem to, żeby udawać?

– Nie mam pojęcia. Nawet mnie nie spytałeś, czy chcę wrócić. Po prostu powiedziałaś, żebym się spakowała, jakbym była dzieckiem.

- Sądziłem, że nie lubisz mieszkać u babci. Powtarzałaś to wiele razy.
- Tego domu też nie lubię.
- Czego ode mnie chcesz? Staram się, jak umiem.
- Długo cię nie było.
- Przecież ci to wyjaśniłem. Nie pamiętasz? O tym, jak było w armii? Żeby przygotować cię na wszystko.
- To brednie.
- Co?
- Zauważyłeś, że nie jesteśmy w wojsku, tato? Stanowimy rodzinę.
- Sprowadziłem was, żebyśmy mogli być rodziną - odparł.
- Rodziną? Nie masz pojęcia, co z nami robić! Przyznaj się! Nie jesteś mamą!
- Wiem o tym, uwierz mi. Zapomniałaś, że ciągle się kłóciłyście?
- To nie znaczy, że nie doceniałem tego, co dla nas robiła. Teraz to głównie ja gotuję, sprzątam i piorę. Twoje umiejętności robienia zakupów są śmiechu warte.

Jack poczuł, że jego gniew narasta.

– Słuchaj, wiem, że nie mogę się równać z mamą, ale staram się wykonywać swoją robotę. Kocham was.

– Naprawdę? Cory'emu dokuczają w szkole. Wiedziałaś o tym? Ma coraz gorsze stopnie, choć to naprawdę bystry chłopak. Nauczycielka przesyła mnóstwo uwag w jego zeszytach, ale ty nigdy ich nie czytasz, prawda? A wiesz, że za dwa tygodnie są urodziny Jackiego? Zaplanowałeś coś? Kupiłeś mu prezent? Pomyślałeś o torcie?

Twarz Jack pobladła.

- Za dwa tygodnie?
- Za dwa tygodnie, tato. Może spróbuj się bardziej postarać.
- Mik, ja...
- Możesz zostawić mnie samą?

Kiedy wyszedł z pokoju córki, Cory stał na korytarzu w samej bieliźnie.

Jack spojrzał na niego z zakłopotaniem.

– Cor, czy dokuczają ci w szkole?

Cory zamknął drzwi, zostawiając ojca samego na korytarzu.

Po długim dniu pracy Jack i Sammy rozładowywali ciężarówkę Jacka na podjeździe, kiedy ten omal nie upuścił dwuręcznego młota na nogę. Sammy spojrzał na niego z z troskaniem.

– Wszystko w porządku? Od kilku dni nie jesteś sobą.

Jack powoli podniósł narzędzie i rzucił je na skrzynię.

– Co Jackie mógłby pragnąć na urodziny? To już niedługo, a chciałem zrobić mu niespodziankę.

Sammy wzruszył ramionami.

– Może karabin zabawkę?

Jack spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Nie sądzę, żeby Lizzie to zaaprobowała. Wiesz, gdzie można kupić tort i jakieś urodzinowe dekoracje? Czapeczki i... takie tam?

– W sklepie spożywczym przy tej ulicy jest cukiernia.

– Skąd wiesz?

– Po drugiej stronie sprzedają piwo.

Jack pojechał do sklepu i kupił rzeczy na urodziny Jac-kiego. Stał w kolejce do kasy, kiedy to zobaczył. Jeszcze nigdy w życiu tak go nie замуrowało. Patrzył na swoje zdjęcie na okładce jednego z brukowców, które leżały przy kasie, żeby klienci kupili je pod wpływem impulsu.

Wolno wyciągnął rękę i wziął jeden.

Artykuł nosił tytuł: „Cudowny człowiek utyłany błotem”.

Co u licha? Odwrócił kartkę i przeczytał artykuł. Z każdym słowem jego gniew narastał. Teraz zrozumiał tytuł. Autor wszystko przekręcił. Napisał, że Jack zmusił Lizzie, by pojechała oblodzoną ciemną drogą po leki przeciwbólowe dla niego. Co gorsza, sugerował, że Jack podejrzewał, iż jego żona miała romans z sąsiadem. Zrozpaczona Lizzie przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle i zginęła pod kołami pługą śnieżnego. Żadne słowo nie było prawdą, ale teraz miliony ludzi miały go pewnie za potwora.

Zostawił zakupy na taśmie i pojechał do domu.

Po drodze domyślił się, co zaszło.

Źródłem informacji była Bonnie. Tylko skąd mogła wiedzieć? Wtedy zrozumiał. Pewnie Lizzie zadzwoniła do niej w drodze do apteki i wyjaśniła, co robi. Może wspomniała o Billu Millerze, a Bonnie błędnie odczytała jego reakcję, choć wydawało się to trudne. Mogła nawet przekręcić słowa Lizzie, tak by odpowiadały jej intencjom.

Wyobraził sobie jej gniew. On stawał się sławny, zyskiwał podziw i sympatię ludzi, podczas gdy Lizzie leżała przez niego w grobie, a przynajmniej Bonnie była o tym przekonana. Nie mógł jej o to winić, ale otworzyła puszkę Pandory, który trudno będzie zamknąć.

Najbardziej martwiło go, co się stanie, gdy dowiedzą się dzieci. Chciał być pierwszym, który z nimi porozmawia, szczególnie z Mikki. Dodał gazu.

Niestety przyjechał za późno.

Mikki czekała na werandzie z numerem innego brukowca z artykułem opatrzonym podobnym tytułem. Dygotała i zaatakowała go, gdy tylko wysiadł z samochodu.

– Pełno tego w całej szkole! Jak mogłeś kazać mamie jechać po swoje lekarstwa? Jak mogłeś pomyśleć, że cię zdradza?

– To wszystko kłamstwo. Nigdy nie oskarżyłem o nic twojej mamy. Widziałem, jak

zdziałała Billa Millera po twarzy. Oboje się z tego śmialiśmy, bo facet był pijany. I nie nalegałem, żeby tamtej nocy pojechała po lekarstwa. Przeciwnie, powiedziałem jej, żeby tego nie robiła.

– Nie wierzę!

– To prawda, Mikki. Przysięgam. Brukowce są pełne takich bredni. Przecież wiesz.

– W porządku, ale nie doszłoby do tego, gdybyś się nie zgodził na ten głupi artykuł o człowieku, który przeżył cud. To twoja wina.

– Masz rację. Teraz tego żałuję, ale...

– Teraz wszyscy myślą, że mama się puszczała, a ty jesteś draniem. Do końca roku ludzie będą szeptać za moimi plecami.

– Posłuchaj mniej przez chwilę...

Zanim zdążył dokończyć, uciekła do domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Kiedy ruszył za nią, usłyszał szcęk zamka. Przez boczne okno dostrzegł Cory'ego. Chłopak rzucił mu wściekłe spojrzenie i uciekł.

Skończyło się na tym, że zabrał Cory'ego i Jackiego do restauracji Chucky E. Cheese na przyjęcie urodzinowe Jackiego. Siedział przy stoliku w bejsbolówce i okularach, żeby ludzie nie rozpoznali go podczas piętnastu minut jego „niesławy”. Na stole leżała zjedzona do połowy serowa pizza i urodzinowy tort ze sklepu. Kiedy Jackie wskoczył do pomieszczenia z pitkami wraz z gromadą innych dzieciaków, Cory zwiesił ramiona, jakby raczej wolał zostać pożarty przez rekina, niż znajdować się w tym miejscu. Jack nie miał nawet pojęcia, gdzie była Mikki. Straszniejszą chwilę przeżył tylko wówczas, kiedy policjant powiedział mu, że Lizzie nie żyje.

Gdy wrócili do domu, Jackie zaczął się bawić dużą ciężarówką, którą Jack kupił mu poprzedniego wieczoru. Cory uciekł na tylne podwórko.

– Podoba ci się samochód? - spytał cicho Jack.

Jackie wydawał gardłowe odgłosy przypominające dźwięk pracującej ciężarówki, przesuając pojazd po ramieniu ojca.

Przynajmniej jedno dziecko mnie nie nienawidzi.

Wziął na ręce najmłodszego syna, wszedł na górę i zajrzał do sypialni Mikki. Mały pokój był oświetlony słabym górnym światłem, a na podłodze wałały się rozrzucone ubrania. Do połowy opróżniony słoik nutelli stał na skrzynce na rzeczy. W kącie dostrzegł gitarę i keyboard. Na podłodze leżało urządzenie do miksowania ścieżek muzycznych. Wszędzie leżały rozrzucone nuty. Zauważył też stary sfatygowany mikrofon i składany metalowy stolik, którego Mikki używała jako biurka.

Postawił syna na podłodze, wszedł do środka i podniósł jakieś nuty. Właściwie były to puste pięciolinie ze znakami nakreślonymi ołówkiem, pewnie przez jego córkę. Jack nie umiał czytać nut i nie wiedział, co oznaczały, choć wyglądały na skomplikowane. Znała się na nutach, a nie potrafiła dostać piątki z matematyki lub przyrody? Przypomniał sobie, że też nie był idealnym uczniem, jeśli nie liczyć przedmiotów, które go interesowały.

Wziął Jackiego za rękę i zaprowadził do wspólnej sypialni chłopców. Pokój był bardziej zagracony od sypialni Mikki, bo był mniejszy i mieszkały w nim dwie osoby. Łóżka niemal się ze sobą stykały. Wbudowana w ścianę półka była pełna zabawek, książek i śmieci, które lubią zbierać chłopcy. Cory schludnie włożył swoje rzeczy do używanej małej komody kupionej przez Jacka. Na wierzchu leżały nieliczne rzeczy Jackiego.

Zauważył pudło pełne papierów stojące na podłodze obok łóżka Cory'ego. Zajrzał do

środku. Kiedy przeczytał pierwszą stronę, zaczął przeglądać resztę. Były to wydrukowane informacje na temat jego choroby. Zauważył notatki syna naniesione odręcznym piśmem.

– Pewnie miał nadzieję znaleźć lekarstwo.

Odwrócił się i zobaczył Mikki.

Podeszła do niego.

– Chciał cię ocalić. Idiotyczne, nie? Jest tylko dzieckiem, ale miał dobre intencje.

Jack powoli się podniósł.

– Nie wiedziałem.

– Nie mogłeś. - Usiadła na jednym z łóżek, a Jackie podbiegł do niej, wyciągając ciężarówkę. - Jest naprawdę super, Jackie. - Objęła brata i dodała: - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, wielkoludzie.

– Wielkoludzie - powtórzył Jackie z szerokim uśmiechem.

Mikki spojrzała na ojca.

– Ładny prezent.

– Dziękuję. - Spojrzał na nią uważnie. - Z nami w porządku?

– Nie myśl, że jest w porządku, kiedy mówimy głupie rzeczy, obejmujemy się i robimy cielece oczy, kiedy wszystko jest spoko i słuchamy idiotycznej muzyki. Żyje się z dnia na dzień. Tak już jest. Są różne dni, udane i do niczego. Czasem patrzę na ciebie i jestem wściekła, a kiedy indziej czuję się paskudnie, bo się na ciebie wściekłam.

Bywają dni, gdy niczego nie czuję, ale nadal jesteś moim tatą.

– Widzisz, to ja miałem odejść, a nie mama... Pogodziłem się z tym, ale twoja mama umarła, a ja cudownie ozdrowiałem. To nie powinno było się stać.

– Ale się stało. Jesteś z nami, a mama odeszła.

– Co z nami będzie?

– Pytasz mnie?

– Wygląda, że wiesz o rodzinie znacznie więcej ode mnie.

Nagle zadzwoniła jego komórka. Na ekranie wyświetlił się numer Bonnie. O co chodzi? Czy nie wyrządziła dość szkód?

– Słucham? - zapytał, szykując się do walki.

Dzwonił Fred. Sprawiał wrażenie zmęczonego, a w jego głosie było coś, co sprawiło, że Jack zeszywniał.

– Wszystko w porządku, Fred? - zapytał.

– Niezupełnie, Jack. Nie...

– Co się stało? Bonnie?

– Nie. - Przerwał na chwilę. - Chodzi o Cecilię. Zmarła dwie godziny temu.

Choć z wyjątkiem krótkiego pobytu w Arizonie ostatnie dziesięć lat Cecilia Pinckney przeżyła w Ohio razem z córką i zięciem, pozostała typową obywatelką Południa. Poprosiła, żeby pochowano ją w rodzinnym grobowcu w Charlestonie, w Karolinie Południowej. Jack zapakował dzieciaki do jasnoniebieskiego volkswagena z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku z białym dachem, który Sammy odnowił z niezwykłą pieczołowitością, i wyruszył na południe. Mimo piekącego słońca i wilgotnego powietrza na cmentarzu zebrał się duży tłum. Bonnie skurczyła się i przygarbiła, jakby postarzała się dziesięć lat. Jednak Jack nie potrafił się zdobyć na nic więcej oprócz krótkich kondolencji.

– Dziękuję, że przyjechałeś - powiedziała.

– Cecilia była wspaniałą kobietą.

– To prawda.

– Będziemy musieli pogadać, kiedy upłynie trochę czasu. Nie chcę podsycać tej wojny.

Wolno skinęła głową.

– Zgoda. Powinniśmy pogadać.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, Jack odwiózł dzieci do hotelu, gdzie mieszkali słoczeni w jednym pokoju. Właśnie zdejmował krawat i marynarkę, gdy odezwał się hotelowy telefon. Podniósł słuchawkę, sądząc, że to Fred, ale usłyszał obcy głos.

– Pan Armstrong? Jestem Royce Baxter.

– Czym mogę panu służyć?

– Miałem przyjemność być adwokatem pani Cecyli Pinckney przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Jej adwokatem?

– Tak. Czy moglibyśmy się spotkać? Moja kancelaria znajduje się przecnicę od hotelu.

Fred O'Toole powiedział mi, gdzie się pan zatrzymał. Pomyślałem, że wkrótce wyruszy pan do Ohio, więc doszedłem do wniosku, że powinienem złapać pana przed wyjazdem. Wiem, że pora nie jest najlepsza, ale mam ważną sprawę, która nie zajmie nam dużo czasu.

Jack spojrzął na dzieci. Jackie zasnął w fotelu, a Cory i Mikki oglądali telewizję.

– Proszę podać mi adres.

Pięć minut później siedział naprzeciw zadbanego dystyngowanego pana Royce'a Baxtera ubranego w czarny garnitur. Mężczyzna miał sześćdziesiąt kilka lat, około pięciu stóp i dziesięciu cali wzrostu, maty brzuszka i dobronny wyraz twarzy.

– Przejdźmy do rzeczy. - Baxter wyciągnął dokument z teczki. - To ostatnia wola i testament pani Cecyli.

– Jeśli coś mi zostawiła, nie sądzę, żebym powinien to przyjąć.

Baxter spojrzął na niego znad dokumentu.

– Dlaczego?

– To skomplikowana sprawa.

– Dokonała zmiany w testamencie całkiem niedawno. Powiedziała, że nawet jeśli pan nie skorzysta z propozycji, zawsze będzie dla pana otwarta.

– O co chodzi? - spytał z zaciekawieniem Jack.

– O stary dom Pinckneyów w Karolinie Południowej, nad morzem, w odległości około godziny jazdy stąd, w miasteczku Channing. Tam się urodziła.

– Mówi pan o Pałacu?
– Tak, zatem pan o nim wie?
– Lizzie mi wspomniała. Nie byłem tam. Po przeprowadzce do Ohio nigdy tam nie wróciła.

– Chciałbym pana ostrzec, że chociaż dom jest na plaży, nie znajduje się w najlepszym stanie. To duże stare domostwo, które nigdy nie zostało zmodernizowane, ale okolica jest wspaniała. Równiny nadmorskie są wyjątkowo piękne. Mówię to mimo uprzedzeń dumnego mieszkańca Karoliny Południowej. Pani Cecilia powiedziała mi, że jest pan świetnym majstrem. Sądziła, że będzie pan idealną osobą, która się o niego zatroszczy.

– Nad morzem? Nie stać mnie na zapłacenie podatków.
– Nie ma żadnych podatków. Wiele lat temu pani Cecilia przekazała dom Nature Conservancy, więc nie można go sprzedać ani rozbudować. Ona i jej potomkowie mogą używać nieruchomości, ale nie mogą jej sprzedać. W zamian zniesiono wszelkie podatki.
– Mamy dom w Cleveland. Dzieci chodzą tam do szkoły.
– Pani Cecilia wspominała, że może mieć pan pewne obawy, ale skoro lato przed nami, kwestia szkoły nie wchodzi w grę.

Jack rozsiadł się na krześle.

– W porządku, rozumiem. Mimo to nie sądzę...

Baxter mu przerwał:

– Cecilia powiedziała, że wspominał pan, iż Lizzie chciała tam zabrać dzieci na lato...
– To prawda, Lizzie o tym myślała. Wspomniała mi o tym. Pomyślałem, że to dobry pomysł, ale... - Urwał w pół zdania. Przypomniał sobie, że wymusił na niej obietnicę, iż zabierze dzieci do Pałacu. Teraz nie mogła tego zrobić.

Baxter przesunął dokument w palcach i przyjrzał się mu uważnie.

– Chciałby pan zobaczyć dom przed podjęciem decyzji?

– Tak - odparł szybko Jack.

Niecałe dwie godziny po opuszczeniu kancelarii Royce'a Baxtera zjechali w krętą gruntową drogę biegnącą między bujnymi zaroślami, kierując się wskazówkami prawnika. Jack bacznie obserwował okolicę. W pobliżu rozciągały się mokradła, a zapach słonej wody był tak silny, że niemal odurzający.

– Wow! - krzyknął Cory, gdy ich oczom ukazał się stary dom.

Jack zajechał przed wejście, zatrzymał samochód i wysiedli. Ujął dłoń Jackiego, gdy ruszyli do drzwi ocienionych dwiema imponującymi palmami karłowatymi. Dom był długą, obitą deskami budowlą o szerokiej zadaszanej werandzie ciągnącej się na trzech czwartych długości fasady. Podwójne drzwi z litego drewna zapraszały gości do środka. Deski były wypłowiałe i zniszczone, ale wytrawne oko Jacka uznało je za mocne i budzące zaufanie. Okiennice pomalowano czarną farbą, która w większości się złuszczyła, wystawiając drewno na działanie sił przyrody. Do frontowych drzwi prowadziło pięć częściowo zbutwiałych stopni.

Meble na werandzie były osłonięte pokrowcami. Kiedy pod nie zajrzeli, znaleźli śmieci i zwierzęce gniazda. Spod jednego wyskoczyła wiewiórka i wdrapała się po słupku na dach, w którym brakowało wielu dachówek, czego Jack nie omieszkiał odnotować. Wąż wysunął się spod sterty drewna, powodując, że starsze dzieci krzyknęły ze strachu i uciekły. Jackie podszedł do gada, próbując go złapać, ale Jack odciągnął go na bok. Spojrzał na pozostałych, którzy schowali się za volkswagenem.

– To wąż smugowy. Nie jest jadowity, ale może ukąsić, więc trzymajcie się od niego z daleka. - Patrzył, jak wąż wolno ześlizguje się po stopniach i znika w krzakach rosnących wokół domu.

– W Cleveland nie ma takich wielkich węży - wyszeptał bez tchu Cory.

– Ten miał zaledwie trzy stopy, synku. W Ohio są węże.

Ta wiadomość najwyraźniej nie poprawiła nastroju Cory'emu.

– Chodź, rozejrzyjmy się, skoro już tu jesteśmy.

Otworzył drzwi kluczem otrzymanym od prawnika i wszedł do środka razem z Jackiem. Odwrócił się, by zobaczyć, co robi dwójka pozostałych.

– Pamiętajcie, że węże zostały z wami na zewnątrz, a nie z nami w domu.

Chwilę później dwójka maruderów wpadła na schody, wyprzedzając ojca. Cory wrzeszczał i oglądał się za siebie w poszukiwaniu ogromnego, przerażającego węża.

Jackie i ojciec wymienili spojrzenia.

Chłopak wskazał na brata i powiedział:

– Cory jest śmieszny.

– Tak, przezabawny - przytaknął Jack, kiwając głową.

W środku były duże, wysokie pomieszczenia o pochyłych sufitach, z których zwisały nieruchome stare wiatraki. Pośrodku salonu dostrzegli ogromny kamienny kominek sięgający sufitu i wielki zniszczony stół. Pokoje służyły różnym celom, były wśród nich pralnia i mała biblioteka. Na niższym poziomie znajdowały się stoły bilardowe z wytartym zielonym filcem oraz stół do ping-ponga z dziurawą siatką. W komórce leżały wodne zabawki, płetwy i plażowe piłki bez powietrza.

Chociaż meble były stare, znajdowały się w dobrym stanie. Podłogi pokrywały deski

różnej szerokości, a ściany - porządny tynk. Jack opukał mur, dziwiąc się solidności roboty, jednak gdy ruszył dalej, wciągnął głęboko powietrze z wrażenia. Tył domu składał się w większości z okien i oszklonych drzwi. Na piętrze była weranda ze stopniami prowadzącymi do ogrodu. Rozciągał się z niej wspaniały widok na Atlantycką wyspę oddaloną zaledwie dwieście stóp od domu. Piaszczysta plaża zaczynała się o połowę bliżej.

Jack zaczerpnął w płuca morskiego powietrza i wskazał ocean.

– Pomiedzy tą ziemią a Europą lub Afryką nie ma ani skrawka lądu - powiedział. - Nic, tylko woda.

Kiedy dzieciaki podziwiałały widoki, Jack obejrzał tylne podwórko. Było piaszczyste, z wydmami porośniętymi skąpą roślinnością. Wrócił do środka i poczuł starą woń palonego drewna.

Później wdrapali się na piętro i obejrzelili sypialnie, które się tam znajdowały. Żadna nie była wyjątkowa, ale wszystkie wydawały się funkcjonalne. Tam gdzie inni ludzie dostrzegliby ograniczenia, Jack budowniczy widział możliwości. Ze wszystkich pokoi rozciągał się widok na ocean, a największa sypialnia miała nawet mały balkon.

– Jak sądzisz, co tam jest? - spytała Mikki. Wskazała schody na końcu korytarza prowadzące pół piętra w górę.

– Pewnie strych.

Otworzył drzwi i pomacał w poszukiwaniu włącznika. Kiedy go przekreślił i nic się nie stało, zrozumiał, że pewnie odłączono prąd, kiedy lokatorzy się wyprowadzili. Pomieszczenie na górze przykrywał wysoki dwuspadowy dach. Było duże i miało dwa okna, które rano wpuszczały do środka dużo światła, choć teraz słońce przesunęło się nad domem, zmierzając ku zachodowi. W pokoju stało stare łóżko z kutego żelaza z baldachimem oraz duże biurko i pusta szafa. Jack stanął ostrożnie na deskach podłogi, żeby sprawdzić, czy są bezpieczne.

– W porządku - powiedział po zakończeniu oględzin. - Zobaczmy, co jest w środku.

Cory ruszył prosto do skrzyni, a Jack zaprowadził najmłodszego syna do biurka i pomógł mu otworzyć szuflady. Spojrzał za siebie na Mikki, która nie ruszyła się z progu.

– Chcesz się rozejrzeć?

– Po co? Chyba nie zamierzasz się tu przeprowadzić?

– Kto wie.

Jej twarz zapłonęła z gniewu.

– Niedawno się przeprowadziłam z Arizony. Moi przyjaciele mieszkają w Cleveland. Mam tam zespół. Wszystko.

– Tylko się rozejrzę, dobrze? - powiedział, choć po cichu planował już naprawy i ulepszenia.

Przypomniał sobie Lizzie siedzącą obok niego na łóżku w dzień, który miał się okazać jednym z ostatnich dni jej życia.

Kto wie, Jack, może tobie też się tam spodoba. Znasz się na tym, więc może zdołasz ją naprawić. Może latarnia zaświeci ponownie.

- Babcia zostawiła ci ten dom? - spytała Mikki.

Jack otrząsnął się ze wspomnień.

– Tak.

– Czemu go nie sprzedasz? Przydałyby się nam pieniądze.

– Nie mogę. To nielegalne. Nawet gdybym mógł, nie sądzę, żebym miał do tego prawo. Mikki wzruszyła ramionami i oparła się o drzwi, robiąc znudzoną minę.

Jack spojrział na Cory'ego buszującego w dużej skrzyni, którą przed chwilą otworzył. Chłopak wyskoczył ze środka w staromodnym kapeluszu na głowie, czarnej pelerynie i masce zasłaniającej górną połowę twarzy.

– Au! - ryknął niskim dramatycznym głosem.

– To Cory? - spytał niepewnie Jackie, przywierając do ojca.

– Cory się wygłupia - powiedział zachęcająco Jack, delikatnie wyplątując swoje włosy z zaciśniętych palców najmłodszego syna.

Jack sięgnął po książkę, otworzył ją i znieruchomiał.

– Co to takiego? - spytał Cory, widząc jego reakcję.

Jack podniósł książkę. Na wewnętrznej stronie okładki widniał ekslibris.

– Własność Lizzie O'Toole - przeczytał. - Ta książka należała do waszej matki - oznajmił.

- Może one wszystkie. - Z podnieceniem rozejrzał się wokół. - Założę się, że wasza mama mieszkała w tym pokoju, kiedy była małą dziewczynką.

Mikki weszła do środka i przyłączyła się do nich.

– To pokój mamy?

Jack wskazał z przejęciem biurko.

– Popatrz na to.

Na drewnianym blacie wyryto litery EPO. Mikki spojrzała pytająco na ojca.

– Elizabeth Pinckney O'Toole - wyjaśnił z ożywieniem. - To pełne nazwisko twojej mamy.

Pinckney to panięskie nazwisko babci. Używała go jeszcze po ślubie.

– Czemu mama zostawiła swoje książki? - spytała Mikki.

– Może myślała, że kiedyś tu wróci - odrzekł niepewnie Jack.

– Opowiadała mi o domu na plaży, w którym dorastała, ale nigdy nie dowiedziałam się o nim niczego więcej. Skąd tyle o nim wiesz?

– Wspominała mi o nim, ale ani razu tu nie byłem.

– Czemu nigdy nas tu nie przywiozła? - zdziwiła się Mikki.

– Wiem, że chciała to zrobić. Planowała was tu przywieźć tego lata, po mojej... w każdym razie takie miała plany.

– Czy dlatego tu przyjechaliśmy? Żeby spełnić życzenie mamy?

– Między innymi...

Jackie pociągnął ojca za ucho.

– To Cory? - zapytał, wskazując brata, który wystroił się w różowe boa, długie białe rękawice i diadem.

– Tak, to Cory - przytaknął Jack, uśmiechając się szeroko. - Widzę, że jest pewny swojej męskości.

Spojrzał na Mikki, która przesuwała palcami po inicjałach matki.

– Popatrzcie, co za widok! - zawołał, wyglądając przez okno.

Dzieci podbiegły do niego i zamarły z podziwu na widok starej latarni wznoszącej się na skalistym cyplu przy domu.

– Jest naprawdę blisko - zauważyła Mikki.

– Czy latarnia jest też nasza? - zapytał Cory.

– Tak, mama mi o niej wspominała - odparł Jack. - Była jednym z jej ulubionych miejsc.

Wybiegli na dwór i ruszyli w kierunku skalistego cypla. Latarnia była pomalowana w czarno-białe pasy i miała około czterdziestu stóp wysokości. Jack spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte, ale zdołał zajrzeć do środka przez szybkę w górnej części drzwi. Dostrzegł

kręte drewniane schody. Obok jednej ze ścian stały skrzynie, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

– Ależ bałagan. - Mikki westchnęła, zaglądając przez drugi szklany panel.

Na zewnętrznej ścianie latarni widniał stary wyblakły znak. Jack zeszkrobał odrobinę brudu i przeczytał:

– Latarnia Lizzie. - Cofnął się i spojrzał z szacunkiem na budowlę.

Cory rzucił okiem na ręcznie wymalowany znak,

– To latarnia mamy?

– Już powiedziałem, że była jej ulubionym miejscem - odrzekł Jack, obchodząc budowlę i sprawdzając, czy nie ma innego wejścia. - Czyż nie jest wspaniała?

– To tylko stara latarnia, tato - odparła Mikki.

Odwrócił się do niej.

– Nie, to była latarnia twojej mamy. Uwielbiała ją.

Jackie uchwycił się ponownie spodni ojca, wskazując latarnię.

– Co to?

– To latarnia - odpowiedział Cory. - Wielkie światło, Jackie.

– Wielkie światło - powtórzył malec.

Jack rozejrzał się po posiadłości.

– Kupuję to - powiedział.

– Co?! - krzyknęła Mikki.

– To wspaniałe miejsce na lato.

– Tatusiu! - zaprotestowała dziewczyna. - To nora, a moi przyjaciele...

– To nie nora. W tym domu dorastała twoja matka - burknął. - Przeprowadzimy się tutaj... -

Przerwał, by po chwili dodać spokojniejszym tonem: - przynajmniej na jedno lato...

Po powrocie do Cleveland wyprowadzili się z wynajętego domu, przenosząc meble do Sammy'ego, który zdecydował, że pojedzie z nimi do Karoliny Południowej.

– Co miałbym tu robić całe lato? - zapytał, kiedy usłyszał o planach Armstrongów. - Poza tym Sam junior bez przerwy czeka na dzieciaki. Wyje cały czas, gdy ich nie ma. Poradziłbym sobie bez was, ale nie wytrzymam z tym przeklętym psem.

Zamknęli domek Sammy'ego, wepchnęli wielki tyłek Sama juniora do volkswagena i ruszyli w drogę. Sammy prowadził volkswagena, a Jack jechał za nim furgonetką z harleyem przywiązany do skrzyni. Po drodze zatrzymali się przy grobie Lizzie. Jack wiedział, że będzie to dla wszystkich ciężkie przeżycie, ale nie chciał, by dzieci wyjechały bez odwiedzenia grobu mamy.

Wstawili świeże kwiaty do wazonu i każde powiedziało coś matce, choć słowa Mikki były niesłyszalne. Jack stał za nimi, powstrzymując łzy. Kiedy Jackie spytał, gdzie jest mama, Mikki powiedziała mu, że zasnęła. Chłopiec położył się przy grobie i zaczął szeptać różne rzeczy, jakby nie chciał jej obudzić.

Podzielili podróż na dwa dni, spędzając noc w sąsiednich pokojach motelu na przedmieściach Wiston-Salem w Karolinie Północnej. Zostawili Sama juniora w furgonetce z otwartymi oknami i wielkim rondlem wody. Był zbyt duży, żeby wygramolić się przez okno. Około północy zwierzak zaczął tak żałośnie wyc, że Jack i Sammy musieli wybiec na zewnątrz i zaprowadzić go do swojego pokoju, aby ktoś go nie zobaczył. Tę noc Sam junior przespał na podłodze, zwinięty na kocu Jackiego.

Jack obudził się wczesnym rankiem i wyszedł na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Mikki stała oparta o volkswagena.

– Co się stało? - zapytał, rozprostowując kości.

– Czemu to robimy? - spytała opryskliwie.

– Co?

– Przecież wiesz!

Podszedł do niej.

– Z czym masz problem?

– Nie mam żadnego problemu, a ty?

– O co ci chodzi?

– Kiedy ułożyłam sobie życie w Cleveland, przenosisz nas do Karoliny Południowej.

– Taak, do domu, w którym dorastała twoja mama.

– Rozumiem, ale chcę ci przypomnieć, że jej tu nie ma.

Odwróciła się i poszła do swojego pokoju.

Jack zaczął za nią iść, ale po chwili pokręcił głową i ruszył, by przygotować się do pozostałej części podróży.

Wyruszyli wcześniej i przed lunchem dojechali do Channing w Karolinie Południowej. Zanim dotarli na miejsce Jack, zadbał o włączenie prądu i wody w domu na plaży. Znalazł również sieć telewizji kablowej, żeby podłączyć telewizor, który przywieźli. Jackie i Cory byli niezmiernie wdzięczni z tego powodu.

Rozpakowanie rzeczy zajęło im niewiele czasu. Wstawili harleya pod boczną wiatę. Kiedy wnosili rzeczy, Jack znalazł kopertę na sękatym sosnowym stole w kuchni. Na kopercie

widniało jego nazwisko i karteczka od prawnika Royce'a Baxtera. Adwokat napisał:

Pani Cecilia zostawiła ten list, prosząc, żeby ci go przekazać, gdy wprowadzisz się do domu przy plaży.

- Człowieku! - zawołał Sammy, rzucając na podłogę stary wojskowy worek i rozglądając się dookoła. - To niezwykle miejsce!

- Niezwykłe i wymagające sporo roboty - odpowiedział Jack. - Ale szkielet ma wspaniały. Zrobiłem listę, kiedy tu przyjechałem. Będzie potrzeba materiałów i sporo potu. Prawnik polecił mi sklep z artykułami budowlanymi w okolicy.

Sammy spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Chcesz naprawić ten dom? Powiedziałeś, że nie można go sprzedać.

- To prawda, nie mogę go sprzedać.

- Czemu więc chcesz go naprawić?

- Z powodu Lizzie... możemy tu zamieszkać.

- Zamieszkać? Na długo?

Jack nie odpowiedział, ale wskazał za okno.

- To latarnia?! - wykrzyknął Sammy.

- Taak.

- Jest czynna?

- Nie, ale kiedyś działała. To latarnia Lizzie.

- Latarnia Lizzie?

- Tak, była jej ulubionym miejscem.

Sammy spojrzał na list, który Jack trzymał w rękach.

- Co to takiego?

- List od prawnika Cecylii. - Jack wsunął kopertę do kieszeni. Kilka następnych godzin spędzili na wyrzucaniu rzeczy, sprzątaniu i poznawaniu domu. Później przebrali się w kostiumy kąpielowe i popędzili na plażę. Dzieciaki pognały do wody z Mikki na czele. Cory biegi za nią, a Jackie włókł się na końcu. Sam junior dotrzymywał kroku trzylatkowi drepczącemu na pulchnych nóżkach. Sammy i Jack nieśli ręczniki, plażowy termos, leżaki i parasol, który można było wetknąć w piasek. Leżaki i parasol znaleźli w piwnicy.

Po lunchu Cory wrócił z domu ze sfatygowaną piłką.

- Hej, tato! - zawołał. - Porzucasz ze mną?!

Jack był zmęczony, więc nie uradowała go propozycja syna, ale coś sobie przypomniał, zanim odmówił.

Miał kiedyś piłkę, taką do koszykówki. Kiedy jego ojciec wrócił z roboty, odbijał ją na podjeździe przed domem. Poprosił tatę, żeby z nim zagrał. Nie był nawet pewien, czy ojciec odpowiedział. Zapamiętał jedynie trzaśnięcie bocznych drzwi. Zachował tę scenę w pamięci przez tyle lat?

Podniósł się z leżaka i powiedział:

- W porządku, Cor.

- Śmiało, brachu! Pokaż staremu parę sztuczek - rzeki Sammy.

Grali ponad godzinę. Jack nie zapomniiał, czego się nauczył w ogólniaku, a po puszczeniu kilku piłek Cory zaczął chwytać wszystkie, które leciały w jego stronę. Jack dostrzegł mięśnie wyłaniające się spod pulchnej sylwetki syna, który już niedługo miał wejść w okres dojrzwania. Kiedy Jackie i Mikki do nich się przyłączyli, Jack nauczył ich paru sztuczek, które zapamiętał z gry w licealnej drużynie futbolu.

W końcu zmęczony Cory powiedział:

– Dziękuję, tato. To było wspaniałe.

Jack zmierzwił mu włosy na głowie.

– Masz silne ręce. Żałuję, że nie grałeś w mojej drużynie, kiedy chodziłem do ogólniaka.

Cory się rozpromienił, a Jackie zapiszczał:

– A ja?!

Jack podniósł syna i popędził do wody.

– Ty też.

Po kilku godzinach słońce zaczęło zachodzić, a dzieciaki bawiły się nadal w wodzie po kolana i budowały zamki z piasku, uganiały się za Samem juniorem i rzucały znalezione w domu fresbee. Sammy i Jack siedzieli na sfatygowanych plażowych leżakach przyniesionych z piwnicy. Jack pił colę, a Sammy piwo Corona.

W końcu Sammy nasunął bejsbolówkę na oczy, odchylił się do tyłu i pogrążył tak głęboko w leżaku, że dotknął siedzeniem piasku. Jack wyciągnął z kieszeni kopertę i rozwinął list. Pełnym zawijasów pismem Cecilia opowiadała mu o swojej miłości i nadziei, że on i dzieciaki będą mieli tyle radości i zadowolenia z domu, ile ona i Lizzie. Czytając, miał wrażenie, jakby przemawiała do niego ze swoim kojącym południowym akcentem. Pisała:

Jeśli czytasz ten list, mój czas dobiegł kresu. Miałam długie szczęśliwe życie, robiłam wszystko, co chciałam i, do licha, wcale nie potrzebowałam tego, co mnie ominęło. Nigdy nie spotkałam młodej dziewczyny, która kochałaby ocean i piasek bardziej niż Lizzie. Lizzie uwielbiała ten stary dom, choć, jak pewnie wiesz, wiązały się z nim także złe wspomnienia. Kochała także latarnię. Bez przerwy w niej przesiadywała. Myślę, że Mikki, Cory i słodki Jackie również pokochają to miejsce, a przynajmniej mam taką nadzieję. Mam przeczucie, że znajdziesz odrobinę pociechy i spokoju w miejscu, gdzie dorastała Lizzie. Wiem, że kochałeś ją bardziej od innych, a ona odwzajemniała ci podobną miłością. Los obszedł się z wami okrutnie, tak wcześnie was rozdzielając, ale każdego ranka pamiętaj, że trójka wspaniałych dzieci jest najcenniejszą rzeczą, które wspólnie stworzyliście. Dlatego nigdy nie będziesz oddzielony od swojej ukochanej. Choć teraz możesz to uznać za niewystarczające, bo bardzo za nią tęsknisz, po pewnym czasie zrozumiesz, że dzieci sprawiają ogromną różnicę. Nie chodzi o to, że czas leczy rany, mój drogi, ale że upływ lat pozwala nam na swój sposób pojednać się z bólem. Wiem, że po wyzdrowieniu ludzie nazywali Cię cudownym człowiekiem, ale ja uważałem Cię za cud od chwili, gdy pojawiłeś się w życiu Lizzie. Wiem, że ona czuła podobnie. Dostałeś drugą szansę, synu, więc staraj się wykorzystać ją jak należy. Lizzie będzie na Ciebie czekała, kiedy Twój czas dobiegnie końca, a i ja wpadnę pewnie na kawę. Tymczasem przytulaj swoje wspaniałe dzieci i dbaj o siebie.

Z wyrazami miłości,

Cecilia

Jack wsunął list do kieszeni, wziął głęboki oddech i otarł oczy. Chociaż nigdy wcześniej nie był w tym miejscu, czuł się tu jak w domu. Wstał, ściągnął buty i pobiegł do baraszkujących w wodzie dzieci. Kiedy się zmęczyli i wrócili do domu, Jack spacerował plażą, aż słońce zniknęło na horyzoncie rozświetlonym różem i czerwienią. Ciepłe wody Atlantyku obmywały jego stopy. Spojrzał w kierunku morza, macając dłonią list w kieszeni. Pierwszy dzień był wspaniały.

– Tato!

Odwrócił się i zobaczył, że Cory macha do niego jak oszalały z tylnej osłoniętej werandy.

– Co się stało? - krzyknął w jego stronę.

– Jackie odkręcił szlauch!

– Co?!

– Wcześniej włożył drugi koniec do domu.

Jack ruszył w kierunku Pałacu.

– Gdzie jest Sammy?!

– Czyta w łazience!

Jack zaczął biec truchtem.

– A Mikki?!

Cory potrząsnął bezradnie głową.

– Nie mam pojęcia.

– Nie możesz zakręcić wody albo wyciągnąć szlauchu z domu?! - zawołał, biegnąc.

– Zrobiłbym to, ale pokrętko odpadło, a Jack nie chce puścić węża. Jest znacznie silniejszy, niż wyglądał - Cory wytrzeszczył oczy. - Rzeczy zaczęły pływać, tato. Czy to bardzo źle?!

Jasny szlag!

Puścił się sprintem, wznosząc za sobą tumany piasku.

– Jackie!

Trójka wspaniałych dzieciaków. Chętnie oddam ci jednego, Cecilio.

Następnego dnia Sammy został z dziećmi, a Jack i Mikki pojechali furgonetką do sklepu budowlanego w Channing, oddalonego o trzy mile od domu na plaży. Po drodze mijali wspaniałe wille nad oceanem. Jack pomyślał, że właściwie były to rezydencje. Zainwestowano w nie duże pieniądze. Byłoby dobrze, gdyby udało mu się znaleźć robotę u zamożnych sąsiadów.

– Czy to kondominia? - spytała Mikki.

– Raczej rezydencje. To najlepsze działki nad brzegiem morza. Każda nieruchomość jak warta grube miliony.

– Cóż za marnotrawstwo! Kto potrzebuje tylu pokoi? - rzuciła pogardliwie.

Spojrzał na nią uważnie.

– Czy twój nastrój się poprawił?

– Nie.

Kiedy mijali jeden z większych domów, na wybrukowany podjazd wyszła kilkunastoletnia dziewczyna ubrana w top od bikini i kuse szorty z napisem „obejmij je” na pośladkach. Miała jasne włosy, była opalona i miała figurę modelki. Wsiadła do kabrioletu marki Mercedes w chwili, gdy wysoki szczupły mężczyzna o potarganych włosach wybiegł z domu. Był ubrany w szorty i bezrękawnik. Kiedy wskoczył na fotel pasażera, wóz ryknął i zajechał drogę starej furgonetce Jacka, który musiał niemal zjechać na pobocze.

Mikki opuściła szybę i krzyknęła:

– Idioci!

Dziewczyna zrobiła nieprzyzwoity gest.

– Dogoń ich, tato! Chcę skopać jej tyłek!

– Odkąd masz takie problemy z gniewem, słoneczko?

– Co? - Przerwała, widząc, że się uśmiecha. - Zamknij się - mruknęła.

Dotarli do Channing i wysiedli z furgonetki. Jack miał na sobie dżinsy, biały podkoszulek i tenisówki. Mikki włożyła bawełniane szorty do kolan i czarny T-shirt. Była blada, a jej włosy były teraz zielono-purpurowe. Zapas farb do włosów jego córki wydawał się niewyczerpany.

Mikki rozejrzała się wokół, gdy Jack sprawdzał listę zakupów.

– Ulice jak z programu *Nick at Nite* - zauważyła. - Urocza stara miejscina.

Jack rozejrzał się wokół i przyznał jej rację, bo odniósł wrażenie, jakby cofnęli się w czasie. Ulice były szerokie i czyste, a wystawy sklepowe schludne i zadbane. Przy głównej ulicy znajdowały się przeważnie małe rodzinne sklepiki. Żadnych wielkich sieci handlowych. Bank, sklep spożywczy, duży magazyn z artykułami żelaznymi, zakład fryzjerski z pasiastym słupem, restauracje, sympatyczna lodziarnia i posterunek szeryfa z policyjnym radiowozem zaparkowanym w miejscu, z którego było wszystko widać. Zauważyli również bibliotekę publiczną ze znakiem informującym, że w środku jest darmowe połączenie Wi-Fi.

– Przynajmniej będzie tu można podpiąć się do Internetu - zauważyła Mikki.

Ludzie chodzili w szortach i sandałach, a niektóre starsze panie miały chustki na głowach. Jeden starszy pan miał spodnie z pomarszczonej tkaniny w paski, białe skarpety i białe sandały. Inni jeździli na rowerach z wiklinowymi koszami przymocowanymi do kierownicy. Kilku ludzi prowadziło psy na smyczy, a rozkrzyczane dzieciaki biegały ulicą. Wszyscy byli opaleni. Wszędzie wyczuwało się atmosferę dostatku. Samochody stojące przy krawężniku na

ogół były najnowszymi modelami luksusowych marek - drogimi sedanami i kabrioletami. Niektóre miały miejscowe numery, ale duża część pochodziła z Karoliny Południowej. Dopiero po chwili Jack zauważył wgniecione brudne furgonetki - stare ford i dodge. Pomyślał, że ludzie, którzy w nich siedzieli, są bardziej podobni do niego. Robotnicy.

Gdy mijali zniszczony budynek z markizą, na której wypisano „Channing Play House”, dostrzegli starszego mężczyznę zmiatającego chodnik przed podwójnymi drzwiami prowadzącymi do środka. Na ich widok przerwał robotę i przywitał się.

– Co to za miejsce? - zapytał Jack.

– Kiedyś mieścił się tu jeden z najlepszych prowincjonalnych teatrów w Low Country - wyjaśnił mężczyzna, który przedstawił się jako Ned Parker.

– To teatr? - zdziwił się Jack.

Parker skinął głową.

– Artyści przyjeżdżali z przedstawieniami z samego Nowego Jorku. Piosenkarze, tancerze i aktorzy. Gościliśmy wszystkich.

– A teraz? - spytał Jack.

– Czasem trafi się przedstawienie, ale to nie to, co kiedyś. Za wiele dziś gier wideo i wysoko budżetowych produkcji. - Wskazał Mikki. - To twoje pokolenie, panienko.

Mikki wskazała markizę z napisem „Konkurs talentów w Channing”.

– Co to za impreza?

– Od lat organizujemy w sierpniu konkurs talentów. Ludzie rywalizują ze sobą niezależnie od wieku i dziedziny uprawianej sztuki. Wywijają pałeczką tamburmajora, tańczą, grają na skrzypcach i śpiewają. Sporo przy tym zabawy. Można wygrać sto dolarów i zdjęcie w lokalnej gazecie.

Kiedy Jack i Mikki weszli do sklepu budowlanego, okazał się większy, niż sądzili. Mogli w nim kupić wszystko, czego potrzebowali. Młody sprzedawca pomógł Jackowi załadować towar na furgonetkę. Jack zauważył, że chłopak zwraca większą uwagę na Mikki niż na niego. Wszedł pomiędzy niego i córkę.

– Niektóre rzeczy nie zmieszczą się do wozu - przypomniał.

Zanim sprzedawca zdążył odpowiedzieć, korpulentny siedemdziesięcioletni mężczyzna o siwych włosach wyszedł przed sklep. Był ubrany w spodnie khaki i ciemnoniebieską koszulkę polo z nazwą i logo sklepu.

– Nie ma problemu - powiedział. - Dostarczymy towar pod wskazany adres. Mieszkacie w domu Pinckneyów, prawda?

Jack przyjrzał się mu uważnie.

– To prawda, skąd pan wie?

Mężczyzna wyciągnął rękę z uśmiechem.

– Ubiegłeś mnie. Zamierzałem wpaść do was dzisiaj i oficjalnie się przedstawić. Jestem Charles Pinckney, „mały” brat Ceciii. - Odwrócił się do Mikki i wyciągnął rękę. - Ty musisz być ta sławna Mikki. Cee często o tobie pisała. Wspominała, że świetnie grasz na gitarze i jesteś taka ładna jak matka. Nie słyszałem, jak grasz, ale Cee trafnie oceniła twoją urodę.

Mikki oblała się rumieńcem.

– Dziękuję - wymamrotała.

Pinckney spojrzał na swojego młodego pomocnika.

– Billy, przygotuj resztę towaru do dostawy.

– Tak, panie Pinckney - powiedział chłopak i szybko odszedł.

– Teraz sobie przypominam - westchnął Jack. - Byłeś na pogrzebie, ale nie mieliśmy okazji pogadać.

Pinckney wolno skinął głową.

– Zostałem sam. Sądziłem, że Cee mnie przeżyje, chociaż była znacznie starsza ode mnie.

– Było was dziesięcioro? Lizzie tak mi mówiła.

– To prawda. Mama i tata wypełnili swój obowiązek. Cee była mi najbliższa.

– Wspaniała kobieta. Bardzo mi pomogła.

– Nie spotkałem takiej jak ona - przytaknął Pinckney. - Była dumna ze swojego dziedzictwa. Niewiele kobiet z jej pokolenia zachowało panięskie nazwisko, ale ona nie miała w tej sprawie żadnych wątpliwości. Powiedziała mężowi, że jeśli chce, może zmienić nazwisko na Pinckney, bo ona nie ma zamiaru przyjmować jego nazwiska. -Zachichotał na wspomnienie tego wydarzenia.

– Cała Cecilia.

– Często o tobie myślała. Zapisła ci Pałac.

– Byłem zupełnie zaskoczony. Słyszałem o Pałacu, ale nigdy tu nie byłem.

– Cee mi o tym wspominała. Chciała, żebyś dostał ten dom, popierałem ją. Szczególnie po śmierci Lizzie. Lizzie kochała to miejsce.

– Skoro tak je kochała, czemu przeprowadziła się do Cleveland? - spytała zadziornie Mikki, uważnie przysłuchująca się rozmowie.

– Myślę, że to miało jakiś związek z pracą Freda - odparł Pinckney.

– Czy ludzie nie kupują tu samochodów?

– Daj spokój, Mikki - przerwał jej ojciec.

– Czemu nazwaliście ten dom Pałacem? - spytała.

Pinckney uśmiechnął się szeroko.

– To sprawa naszej matki. W odróżnieniu od niej nasza babka i dziadek byli zapalonymi głosicielami Biblii. Uznała, że nazwanie domu Pałacem skojarzy się im z kasynem albo saloonem. Podziałało. O ile wiem, rodzice nigdy jej tu nie odwiedzili - dodał z chichotem.

– Niezła baba - zauważyła cierpko Mikki.

Pinckney spojrział na materiały ułożone na skrzyni furgonetki.

– Masz zamiar naprawić dom?

– Tak.

– Cee wspominała, że masz do tego dryg.

– Daj mi znać, jeśli dowiesz się o kimś, kto potrzebuje naprawy domu. Nie stać mnie, by nie pracować całe lato. Mam dużo gąb do wykarmienia.

– Wspomnę o tobie gdzie trzeba. Życzę powodzenia w Pałacu. Będę rad, gdy stary dom odzyska dawny blask.

– Dzięki - odrzekł Jack. - Ma bardzo mocną konstrukcję, potrzebuje jedynie odrobiny czulej opieki.

– Tak jak my wszyscy - przytaknął Pinckney. - Tak jak my wszyscy.

– Mili ludzie - bąknęła niechętnie Mikki, gdy ruszyli dalej.

– Nazywają to gościnnością Południa. Może przed powrotem wstąpimy gdzieś na lunch?

– Tato, nie musisz...

– To tylko lunch, Mik. Mogłabyś choć trochę współpracować?

– Zgoda - odrzekła ponuro.

Kiedy skręcali na rogu, minął ich sportowy mercedes, który jakiś czas temu omal nie

spowodował wypadku. Głowa dziewczyny poruszała się w rytm muzyki ryczącej z samochodowego odtwarzacza CD.

– Hej! - krzyknęła Mikki.

– Mik! - rzucił ostrzegawczo ojciec.

Ale ona już wbiegła na ulicę, zagradzając drogę samochodowi. Dziewczyna nacisnęła hamulce i warknęła:

– Cholera! Co ty wyrabiasz?!

– Najpierw wyłącz tę chałową muzykę, której słuchasz! - rzuciła Mikki. Dziewczyna zrobiła minę, ale chłopak nacisnął przycisk i muzyka umilkła.

– Niedawno zajechałaś nam drogę. Omal nie dachowaliśmy.

Dziewczyna się roześmiała.

– Twoje włosy mają naprawdę taki kolor czy ktoś na nie zwymiotował?

Chłopak się skrzywił.

– Daj spokój, Tiff.

Tamta spojrzała lekceważąco na Mikki, a później roześmiała się pogardliwie.

– W porządku. Spadaj, mała. Idź się bawić gdzie indziej. - Dodała gazu i samochód ruszył przed siebie.

– Gnoje! - krzyknęła za nimi, a później spojrzała gniewnie na ojca. - Wow! To mi dopiero gościnność Południowców.

Kiedy chwilę później ujrzała szyld, jej twarz się rozpromieniła.

– To idealne miejsce na lunch.

Jack spojrzał na restaurację, którą pokazała.

- „Odrobina miłości. Bar z grillem” - przeczytał. - Co to za miejsce? Czemu akurat tu?

– Daj spokój, tato. Muszę sprawdzić, czy dobrze się domyśliłam.

Wbiegła o środka, a Jack powlókł się za nią. Wewnątrz stało dwadzieścia stolików w stylu retro przykrytych czerwonymi winylowymi obrusami oraz krzesła z żółtymi winylowymi obiciami. Podłoga była pokryta zwariowaną mozaiką czarnych i białych kwadratowych płytek. Za zajmującym całą ścianę barem stały akustyczne, basowe i elektryczne gitary oraz różne kostiumy członków zespołu osłonięte szybą z pleksi. Na innej ścianie za pomocą szablonu wymalowano słowa słynnych piosenek rockowych.

Mikki wyglądała tak, jakby doznała nirwany w maleńkim nadmorskim miasteczku Karoliny Południowej.

– Wiedziałam! Tu jest super!

Większość miejsc była zajęta, a przy barze panował ożywiony ruch. Kelnerzy i kelnerki w dżinsach i T-shirtach krążyli z tacami między kuchnią i stolikami. Wzdłuż ścian stały staromodne automaty do gry we flippera ozdobione muzycznymi motywami.

Po chwili podeszła do nich kobieta w wieku Jacka.

– Dwie osoby na lunch? - spytała.

Jack przyłapał się na tym, że na nią patrzy. Była wysoka i szczupła, o ciemnych włosach oplatających długą szyję.

Miała jasnoniebieskie oczy, a kiedy się uśmiechnęła, Jack poczuł, że w odpowiedzi kąciki jego ust się unoszą.

– Tak - odrzekł szybko. - Dzięki.

Poszli za nią do stolika, a gdy usiedli, podała mi kartę.

– Mogę przyjąć zamówienie na napoje?

Powiedzieli jej, na co mają ochotę.

– Nie widziałam was tu wcześniej - rzuciła, notując zamówienie.

Jack przedstawił siebie i Mikki.

– Nazywam się Jenna Fontaine - przestawiła się. - Jestem właścicielką tej budy.

– Wiedziałam, od chwili gdy ujrzałam szylc. - Mikki westchnęła.

Jack spojrział na nią z zaciekawieniem.

– O co ci chodzi?

Jenna i Mikki wymieniły uśmiechy.

– Def Leppard, prawda? Znam ich muzykę i słowa piosenek.

Ponieważ Jack nadal sprawiał wrażenie zdumionego, Jenna dodała tytułem wyjaśnienia:

- *Odrobina miłości* to piosenka zespołu Def Leppard.

– Zajmuje się pani muzyką? - spytał Jack.

– Tak, choć nie tak poważnie jak on.

Wskazała wysokiego chudego nastolatka o długich włosach, który stawiał talerze z jedzeniem na stoliku obok.

– To mój syn, Liam. Ma bzika na punkcie muzyki, największego w całej rodzinie. Kiedy postanowiłam zrezygnować z pracy prawniczki w wielkim mieście, przeprowadziłam się tutaj i otworzyłam restaurację, on wymyślił nazwę i wystrój lokalu.

Mikki spojrzała na Liama, by po chwili odwrócić się do Jenny.

– Gra na czymś?

– Na każdym instrumencie, jaki istnieje, ale jego specjalnością jest perkusja.

Oczy Mikki zabłyśły pierwszy raz od przyjazdu do Karoliny Południowej.

– Wiedzę, że też interesujesz się muzyką - zauważyła Jenna.

– Można tak powiedzieć - przytaknęła skromnie Mikki.

– Gdzie mieszkacie?

– Babcia zostawiła nam dom.

– O, to brzmi imponująco. Życzę przyjemnego lunchu. Odeszła, a Jack spojrział na menu niewidzącymi oczami. Kiedy Mikki w końcu dotknęła jego dłoni, omal nie podskoczył.

– Tato?

– Co?

– Jest naprawdę ładna.

– Tak? Nie zauważyłem.

– Tato, nie bądź...

– Zjedzmy coś, Mik, i wracajmy, dobrze? Czeka mnie dużo roboty.

Kiedy Mikki ukryła twarz za kartą z menu, Jack rzucił kolejne ukradkowe spojrzenie na Jennę, która właśnie usadzała kolejnych gości. Później odwrócił wzrok.

Potrzebowali kilku dni mozolnej pracy, żeby sprzątnąć dom. Wszystkie dzieci przyłączyły się do roboty, choć Mikki robiła to niechętnie, stale narzekając.

– To mają być wakacje? - spytała ojca, szorując kuchenne zlewy. - Pracuję jak niewolnica!

– Jeśli uważasz to za ciężką pracę, wstąp do wojska. Kaza ci czyścić podłogę szczoteczką do zębów, a po dwunastu godzinach poproszą, żebyś zrobiła to ponownie - odparł Jack. Rzuciła mu gniewne spojrzenie, gdy wychodził, żeby wyrzucić śmieci.

Później zaatakowali bezpośrednio otoczenie domu, porządkując rabatki kwiatowe, przycinając krzewy, wrywając uschnięte rośliny oraz myjąc wodą pod ciśnieniem deski werandy i meble ogrodowe. Reszta posiadłości była poza zasięgiem ich umiejętności i portfela Jacka.

Po sporej ilości szamotaniny i przekleństw Jack i Sammy zdołali w końcu otworzyć drzwi do latarni. Kiedy Jack wszedł do małego korytarza, w powietrzu unióś się tuman kurzu i pajęczyn. Zakaszał i rozejrzał się wokół.

Chybotliwe schody wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły się zawalić. Jack przejrzał kilka kartonów stojących przy ścianie. Przeważnie były w nich śmieci, choć znalazł parę małych różowych tenisówek z wypłowiałym imieniem „Michelle” wypisanych po bokach markerem. Wyjął je z szacunkiem, wyobrażając sobie żonę jako małą dziewczynkę paradującą w nich plażą. Zajrzał do kolejnych pudeł i znalazł kilka innych przedmiotów, które wzbudziły jego zainteresowanie. Zaniósł je wszystkie do swojej sypialni.

Po południu wszyscy poszli na plażę i zjedli lunch w podmuchach wiatru i promieniach słońca. Po posiłku Jack spojrzał na Mikki, uśmiechnął się i powiedział:

– Pozwól, że coś ci pokażę.

– Co?

– Wstań.

Posłuchała.

– Dobra, a teraz mnie złap.

– Co?

Mikki spojrzała z zakłopotaniem na pozostałych.

– Co ty robisz, tato?

– Po prostu mnie złap.

– Zgoda. - Podbiegła, próbując go złapać, ale chwilę później znalazła się na piasku.

Leżała chwilę nieruchomo, a później przekręciła się na plecy i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Dzięki, tato. Wspaniałe zakończenie pikniku na plaży.

Pomógł jej wstać.

– Spróbuj jeszcze raz, a pokażę ci, jak to zrobiłem.

– Dlaczego? - spytała. - Czy to narodowe święto „Skop Tyłek Własnej Córce”? Czemu nikt mnie nie uprzedził?

– Ojciec chce ci pokazać kilka podstawowych chwytów samoobrony, Mik - wtrącił się Sammy.

Mikki spojrzała na ojca.

– Żebyś potrafiła sobie poradzić w pewnych sytuacjach - wyjaśnił. - Bez mojej pomocy...

– Ach - westchnęła z wyrazem zrozumienia na twarzy.

Przećwiczyli chwyt kilkanaście razy, aż Mikki rzuciła na ziemię tatę, Sammy'ego, a nawet Cory'ego. W końcu Jackie zaczął błagać, żeby jego też rzuciła, więc to zrobiła, a wtedy zaczął płakać, bo piasek wpadł mu do oczu.

– Cześć!

Odwrócili się i ujrzeli Jennę Fontaine idącą ku nim plażą. Miała na sobie szorty, bezrękawnik i kapelusz słoneczny z szerokim rondem. Pomachała im, podnosząc koszyk piknikowy.

– Przyniosłam wam trochę rzeczy z restauracji.

Jack ruszył ku niej.

– Nie musiałaś tego robić.

– To żaden problem. Wiem, jak to jest, gdy człowiek przeprowadzi się w nowe miejsce. - Pokazała mu, co jest w koszyku, a później Jack przedstawił ją Cory'emu, Sammy'emu i Jackiemu. Przykucnęła i uśmiechnęła się do niego. - Witaj, mały człowieku. Wykapany tata.

– Jestem jak tatuś - powtórzył Jackie.

– Gdzie mieszkasz, Jenna? - spytała Mikki.

Wskazała na południe.

– Jakies pół mili stąd. Też mamy własną skałę. Kiedy wejdiesz na waszą, zobaczysz nasz dom - niebieskie gonty z wibrującym dachem.

– Wibrującym dachem? - zdziwiła się Mikki.

Jenna spojrzała na Jacka.

– To inny powód, dla którego wpadłam. Charles Pinckney powiedział, że jesteś prawdziwym czarodziejem budowlanym. To on wytłumaczył mi, gdzie mieszkacie. Muszę wyciszyć studio Liama, żeby go nie zamordować albo nie trafić do szpitala dla obłąkanych.

– Ma studio muzyczne?! - wykrzyknęła Mikki.

– Tak nazywa swój pokój. Ma sporo używanego sprzętu. Nie wiem, do czego służy większość tych rupieci, ale jestem pewna, że przez nie stracę słuch. - Spojrzała ponownie na Jacka. - Chciałbyś przyjść i oszacować koszt roboty?

– Jasne, z przyjemnością - odpowiedział po chwili wahania.

– Może wpadniesz jutro wieczorem? Liam będzie w domu i wszystko ci wyjaśni.

– To może sporo kosztować - zauważył Jack. - Kiedyś wytłumiałem pomieszczenia.

– Myślę, że ocalenie mojego słuchu i zdrowia psychicznego jest warte każdej ceny. Co powiesz na ósmą?

– W porządku. - Jack skinął głową.

Jenna podała mu swój adres, pomachała i odeszła.

Jack patrzył, jak idzie plażą. Kiedy odwrócił głowę, zauważył, że Mikki i Sammy na niego patrzą.

– Przepraszam, mam coś do zrobienia - rzucił nerwowo.

Podał koszyk piknikowy Mikki i powlókł się do Pałacu.

Sammy spojrzał na Mikki.

– Nic mu nie jest?

Mikki spojrzała w kierunku Jenny, a później na ojca, który właśnie wchodził do domu.

– Nie mam pojęcia - odrzekła.

Tego wieczoru Jack zasnął z parą maleńkich różowych tenisówek na piersi.

Mikki uparła się, żeby pójść z Jackiem do domu Fontaine'ów, więc Sammy został, by popilnować chłopców. Pojechali furgonetką Jacka. Dom był stary, ale dobrze utrzymany. Jenna powitała ich na progu i zaprosiła do środka. Wnętrze okazało się wspaniałe. Zamiast typowego wystroju nadmorskiego domu ozdobiono je w południowo-zachodnim stylu, z masywnymi, ciemnymi ręcznie wykonanymi meblami, ścianami pokrytymi łososiową i ciemnopomarańczową gruboziarnistą farbą oraz olejnymi obrazami przedstawiającymi pokryte śniegiem góry i szerokie pustynie, a także jaskrawymi dywanami ręcznie tkanymi w geometryczne wzory.

Jenna usiadła naprzeciwko nich. Jack spojrzał na nią, by po chwili odwrócić wzrok.

– Piękne wnętrze - zauważył.

– Dziękuję. Staraliśmy się, żeby było tu jak w domu.

– Czyli gdzie? - spytała Mikki, rozglądając się dookoła. - W Arizonie? Niedawno stamtąd przyjechaliśmy.

– Nigdy nie byłam w Arizonie ani na Południowym Zachodzie - odpowiedziała ze śmiechem Jenna. - Dlatego tak udekorowałam dom. Pewnie nie zapuszczę się tak daleko, ale uwielbiam te widoki. Pochodzimy z Wirginii.

Tam skończyłam college i szkołę prawniczą, ale w końcu trafiłam do Waszyngtonu.

– Wyglądasz bardzo młodo jak na matkę nastolatka -zauważyła Mikki.

– Mik! - upomniał ją ojciec, ale Jenna się roześmiała.

– To wielki komplement. Urodziłam Liama, kiedy chodziłam do ogólniaka. - Lekko wyduła wargi, ale po chwili się uśmiechnęła. - Liam to najbardziej udany owoc tego małżeństwa.

– W jaki sposób się tu znalazłaś? - zapytał Jack.

– Zmęczył mnie wyścig szczurów w Waszyngtonie. Dobrze zarabiałam i mądrze inwestowałam. Pewnego lata przyjechaliśmy do Charlestonu. Wybraliśmy się na przejażdżkę samochodem, przypadkiem trafiliśmy do Channing i zakochaliśmy się w tym miejscu. - Spojrzała badawczo na Jacka. - Kiedy rozmawiałam z Charlesem Pinckneyem, powiedział, że jego siostra zapisała ci Pałac. To wspaniały stary dom. Nigdy nie byłam w środku, ale zawsze podobała mi się latarnia.

– Taak, latarnia jest spoko - przytaknęła Mikki i spojrzała na ojca.

– Moja żona dorastała w tym domu - powiedział Jack.

– Charles wspomniał mi także o tym. - Przerwała i dodała poważnie: - Bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

– Dziękuję - odpowiedział Jack.

Jenna wstała, przywracając pogodną atmosferę.

– Chcecie zobaczyć pokój zwariowanego muzyka?

Mikki poderwała się.

– Oczywiście!

Wystarczył jeden rzut oka, aby Mikki zorientowała się, iż pomieszczenie pełniło funkcję studia nagrań, choć jego właściciel dysponował skromnym budżetem. Od razu wiedziała, że konsole, miksery, mikrofony i inne urządzenia są stare i zostały prowizorycznie podłączone. Wiedziała o tym, bo ona i jej zespół postępowali podobnie. Nowy sprzęt znacznie przekraczał

ich możliwości finansowe. Przy ścianie stał keyboard, a w rogu gitara basowa. Bandzo i skrzypce wisiały na hakach wbitych w ścianę. Dziwne było to, czego nie dostrzegła. W pomieszczeniu nie było żadnych kartek w pięciolinie. Żadnych nut z piosenkami.

– Gdzie jest Liam? - zapytała. - Powiedziałaś, że tu będzie.

– Już jedzie. Musiał zrobić inwentaryzację w restauracji. W której klasie będziesz w przyszłym roku? Przedostatniej?

– Taak.

– Liam również. Chodzi do ogólniaka w Channing. To jedyne liceum w mieście.

– Jest wysoki - zauważył Jack. - Gra w koszykówkę?

Jenna uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Ma talent do sportu, ale to... - wskazała pokój - to całe jego życie.

Mikki przesunęła dłoń po gitarze basowej.

– Nie miałyby nic przeciwko temu, gdybym coś zagrała?

– Śmiało.

Mikki założyła gitarę, ujęła gryf palcami i zaczęła grać.

– O! - powiedziała Jenna. - Naprawdę dobrze!

Mikki zaczęła odkładać gitarę, gdy ktoś powiedział:

– Zagraj jeszcze raz dwa ostatnie akordy.

Odwrócili się i ujrzeni, że Liam stoi w drzwiach. Miał druciane okulary na nosie i T-shirt z napisem Ocal naszą planetę, bo ciągle na niej mieszkam.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś - powiedziała matka. - Jak tam w restauracji? Wszystko w porządku?

– W knajpie jest miejsce na wszystko i wszystko jest na swoim miejscu. - Spojrzał ponownie na Mikki. - Zagraj dwa ostatnie akordy.

Zrobiła to zdumiona, a jednocześnie uradowana jego prośbą. Dźwięk ponownie wstrząsnął pokojem.

Liam podszedł do Mikki i lekko przesunął jej palec wskazujący na gryfie gitary.

– Spróbuj tego. Nadasz dźwiękowi więcej głębi - poradził.

Na twarzy dziewczyny pojawił się gniew.

– Wiem, jak układać palce. Gram, odkąd skończyłam osiem lat.

Wydawał się niewzruszony jej wrogością.

– Posłuchajmy, jak to zabrzmiało.

– Jak chcesz. - Spojrzała na nową pozycję palca i uderzyła akord. W jej oczach błysnęło zdumienie. Dźwięk był znacznie bogatszy. Spojrzała na niego z szacunkiem.

– Jak to wykombinowałeś?

Pokazał swoją dłoń. Miał niezwykle długie palce z odciskami na poduszczykach.

– Z anatomii.

– Co?

– Palce naciskają gryf z różną siłą. Kiedy to zrozumiesz i właściwie je ułożysz, skrócisz struny z większą siłą, a to nada dźwiękowi głębię, bo gryf będzie słabiej wibrować.

– Sam to odkryłeś?

– Nie, nie jestem taki sprytny. Przeczytałem o tym w „Rolling Stone” - wyjaśnił. - Jak się nazywasz?

– Mikki Armstrong. To mój tata.

Jack i Liam podali sobie ręce.

– Pan Armstrong przyszedł sprawdzić, czy zdoła ocalić mój słuch - wyjaśniła Jenna.

– Mów mi Jack - powiedział.

Liam się uśmiechnął.

– Zdołasz pomóc mamie? Nie chciałbym, że przeze mnie ogłuchła.

Jack obejrzał pokój, a następnie obszedł dookoła, opukując ściany.

– Gipsowa ścianka działowa na kołkach, szerokość standardowa. - Wyciągnął rękę i opukał niski sufit w równych odstępach. - Tutaj podobnie. Poradzę sobie, jeśli w sklepie z materiałami budowlanymi będzie to, co potrzebne.

Jenna spojrzała na niego z podziwem.

– Kiedy mógłbyś zacząć?

– Gdy kupię materiały. Przygotuję kosztorys, żebyś wiedziała, jak mocno cię to uderzy po kieszeni.

– Tata świetnie zna się na tej robocie! - zawołała Mik-ki. - Potrafi zbudować dosłownie wszystko!

– Wierzę - odpowiedziała z uśmiechem Jenna.

Mikki rozejrzała się po pokoju.

– Gdzie są twoje nuty, Liam?

Postukał się w głowę.

– Tutaj.

– A nowe utwory? Potrzeba nut, żeby się ich nauczyć.

– Nie potrafię grać z nut. Gram ze słuchu.

– Żartujesz?

Uśmiechnął się.

– Chcesz się przekonać?

Spojrzała na gitarę basową, którą trzymała w rękach i wykrzyknęła:

– To gibson eb trzy z końca lat sześćdziesiątych! Grał na takiej Jack Bruce z Creamów!

Skąd wytrzasnąłeś taki rarytas?! Jak ją zdobyłeś?!

– Kupiłem na eBayu. Oszczędzałem dwa lata. Udało mi się uzyskać bardzo atrakcyjną cenę. Pudło jest gładkie, a dźwięk czysty. Myślę, że to najlepsza czterostrunowa gitara, jaką kiedykolwiek zbudowano.

Jenna spojrzała na Jacka.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie rozumiem tego języka. Chcesz kawy, kiedy będą tak sobie gadać?

Jack się zawahał, ale widząc błagalne spojrzenie Mikki, odparł:

– Jasne.

Kiedy wyszli, Mikki powiedziała:

– W porządku, przekonajmy się, jak grasz ze słuchu. - Zagrała jednogminutowy fragment piosenki, którą niedawno skomponowała. Gdy skończyła, podała mu gibsona. -Zagraj to.

Wziął gitarę basową i zagrał jej utwór nuta w nutę, nie myśląc się ani razu.

– Jesteś Mozartem perkusji i gitary basowej! - wykrzyknęła Mikki. - Grasz w jakimś zespole?!

– W Channing nie ma żadnych zespołów - odrzekł drwiąco.

– Jaką muzykę lubisz?

– Hendrixa, AC/DC, Led Zeppelin, Planta, Aerosmith... to tylko część.

– Boże, zawsze byli moją ulubioną piątką!

Liam usiadł za perkusją.

– Chcesz zagrać kilka kawałków?

Ponownie wzięła gitarę basową.

– Taak. Chcę wypróbować silne punkty palców.

Jenna i Jack siedzieli na tylnym tarasie, kiedy zabrzmiała muzyka. Poczuli, że deski pod stopami zaczęły wibrować.

– Czy teraz rozumiesz, dlaczego muszę wytłumić jego pokój? - spytała.

Jack skinął głową i uśmiechnął się.

– Taak, wszystko jasne. W Cleveland musieliśmy skłonić Mikki, żeby zaczęła ćwiczyć w domu jednego z przyjaciół. Mimo to nie jestem pewny, czy nadal słyszę na prawe ucho.

– Rodzice muzycznych geniuszów cierpią w milczeniu. Chcesz wypić kawę na plaży? Bo mnie już boli głowa.

Ruszyli przed siebie po piasku. Chociaż minęła ósma, na dworze nadal było widno. Minał ich biegacz podążający w przeciwną stronę i starsza para rzucająca tenisową piłkę pulchnemu czarnemu labradorowi. Gdy pies gonił za piłką, kobieta i mężczyzna trzymali się za ręce i szli przed siebie.

Jenna spojrzała na nich i powiedziała:

– Tak to wszystko powinno się skończyć.

Jack popatrzył na nią i zapytał:

– Co?

– Życie. Małżeństwo. Wspólna starość. Człowiek powinien mieć kogoś, kogo mógłby trzymać za rękę. - Uśmiechnęła się. - I otyłego psa, któremu można rzucać piłkę. Razem.

Jack powiódł wzrokiem za starszą parą.

– Taak, masz rację.

– Twoja żona tu dorastała?

– Tak.

– Dlatego tu przyjechałeś? Z powodu wspomnień?

– Pewnie tak - odrzekł wolno Jack. Zatrzymał się i odwrócił do niej. - Żona planowała przywieźć tu dzieci tego lata. Pomyślałem, że zrobię to dla niej. Coś w tym stylu. Sam też pewnie chciałem zobaczyć to miejsce.

– Nie byłeś tu wcześniej?

Pokręcił głową.

– Żona miała siostrę bliźniaczkę, która zmarła na zapalenie opon mózgowych. Mieszkali tu jeszcze jakiś czas po jej odejściu. Później uznali, że nie jest to zbyt... zbyt dobre - zakończył nieporadnie.

– Przykro mi.

Zawrócili i ruszyli z powrotem.

– Jak dzieciaki zniosły przeprowadzkę?

– Każde z trójki inaczej.

– Moje zadanie jest łatwiejsze. Mam tylko jedno dziecko.

– Cóż, Miki jest bardzo niezależna. Jak jej matka.

– To fantastyczna dziewczyna. W sprawach związanych z muzyką trudno zrobić wrażenie na Liamie.

– Często się kłócimy. Typowa nastolatka. One potrzebują... rzeczy, o których ojcowie nie mają pojęcia.

– Z Liamem jest podobnie. Nie zawsze wiem, jak postępować z chłopcem.

– Wygląda, że świetnie sobie radzi.
– Mimo moich błędów.
– Jesteś rozwiedziona?
– Od dawna. Rozstaliśmy się zaraz po urodzeniu Liama. Mój były mąż przeprowadził się do Seattle i nie chciał mieć nic wspólnego z synem. To moja wina, kiepsko wybieram mężczyzn.

– Jak zdołałaś ukończyć college i szkołę prawniczą z dzieckiem na karku?
– Rodzice bardzo mi pomogli. Czasami zabierałam ze sobą Liama na zajęcia. Człowiek robi to, co musi.

Jack stanął, podniósł kamyk z plaży i cisnął go w nadpływającą falę.

– Tak, to prawda.

Jenna wypła łyk kawy i spojrzała na niego.

– Przyjechaliście tu tylko na lato?
– Taki mamy plan. Sporządzę kosztorys i jutro ci go przyniosę.
– Słuchaj, może po prostu wypiszę ci czek, żebyś mógł zapłacić za materiały i zacząć od razu.

– Nie chcesz kosztorysu? - spytał zaskoczony.

– Nie.

– Dlaczego?

– Mam do ciebie zaufanie.

– Przecież mnie nie znasz.

– Znam cię wystarczająco dobrze - odpowiedziała.

– W porządku, dzięki za kawę. - Uśmiechnął się. - I zaufanie.

– Zajrzyj kiedyś do „Odrobiny Miłości”. Musisz spróbować naszej wyśmienitej smażonej cebulki. Naprawdę mi przykro z powodu twojej żony - powiedziała, kiedy ruszyli.

– Ja również nad tym boleję. - Spojrzał ponownie na starszą parę, która nadal szła przed siebie, trzymając się za ręce. - Ja również.

Następnego ranka Mikki obudziła się w swojej sypialni na poddaszu. Przeciągnęła się, ziewnęła i ponownie opadła na łóżko, oplatając poduszkę ramionami. Później wstała, sięgnęła po gitarę i zaczęła grać nową piosenkę, nad którą pracowała, stosując nową technikę, podpatrzoną u Liama. Długie palce jej lewej dłoni naciskały bez wysiłku szyjkę instrumentu, a palce prawej uderzały struny. Po chwili odłożyła gitarę, podeszła do biurka, sięgnęła po kartkę i zaczęła zapisywać słowa. Później zaczęła ponownie śpiewać i grać na gitarze.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

Przestała śpiewać i spytała ze zdumieniem:

– Kto tam?

– Jesteś ubrana? - spytał Jack przez drzwi.

– Tak.

Otworzył i wszedł do środka. W rękach trzymał tacę ze śniadaniem. Bekon, jajka i angielską bułeczkę z nutellą oraz szklankę mleka. Postawił to wszystko przed nią.

– Skąd wiedziałeś, że lubię nutellę? - zapytała, odkładając gitarę.

– Przeprowadziłem rekonesans w starym stylu. - Jack sięgnął po chybotliwe krzesło i usiadł przy łóżku.

– Co?

– Zajrzałem do twojego pokoju w Cleveland. Zjedz, zanim ostygnie.

Mikki zabrała się do śniadania.

– Gdzie są wszyscy? - zapytała.

– Śpią. Jeszcze wcześnie. Dobrze bawiłaś się z Liamem ostatniego wieczoru?

Przełknęła kawałek bekonu i wykrzyknęła:

– Boże! Tato, on jest niesamowity! Pamiętasz, co mi powiedział o punktach nacisku palców? To naprawdę działa. Zagraliśmy razem parę kawałków. Liam lubi te same zespoły co ja, jest wesoły i...

– Czyli tak.

– Co tak?

– Miałaś udany wieczór, prawda?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tak. Jak ci poszło z Jenną?

– Postanowiłem przyjąć tę robotę. Dała mi czek, żeby mógł zacząć od razu. Dzisiaj kupimy materiały z Sammym i zabierzemy się do pracy.

– Jest fantastyczna, prawda?

– Miła babka. - Jack wyciągnął coś z kieszeni i podał córce. - Dziś rano znalazłem to w pudle w latarni.

– W latarni? Czy nie jest za wcześnie, żeby tam chodzić?

– Spójrz na to zdjęcie.

Mikki chwyciła je mocno za brzegi i zmarszczyła brwi.

– To mama?

– Taak. Z tyłu jest data. Twoja mama miała wtedy osiem lat. Zdjęcie zrobiono na plaży. Ostatniego lata, zanim przeprowadzili się do Cleveland. W tle widać latarnię. - Przerwał na chwilę. - Zauważyłaś to?

– Co?

– Że wyglądasz dokładnie jak ona.

Mikki przyjrzała się bliżej zdjęciu matki.

– Naprawdę?

– Bez dwóch zdań. Z wyjątkiem nastroszonych włosów i gockich ciuchów. Twoja mama wołała kucyki i pastele.

– Ha, ha, dobre sobie. Nie noszę gockich ciuchów. Były modne wieki temu.

– Przepraszam, ciągle się uczę. Skończ śniadanie. Może przejdziemy się plażą, zanim wszyscy wstaną?

– Starasz się być dobrym ojcem? - spytała zuchwale.

– Taak, próbuję.

– A poza tym?

– Kiedy wyjechaliście, byłem długo sam. Znienawidziłem to. Nigdy więcej nie chcę być samotny.

Gdy ruszyli plażą, słońce zaczęło się podnosić, a niebo nad ciemnym oceanem przybrało różowawą barwę. Wiatr rozwiął nocny żar, a mewy szybowały nad wodą i nurkowały w falach, uderzając o powierzchnię i wynurzając się ze śniadaniem w postaci szamoczącej się ryby.

– Tu jest naprawdę inaczej - zauważyła Mikki, w końcu przerywając milczenie.

– To ocean i piasek. W dodatku jest cieplej.

– Chodziło mi o coś innego.

– Pewnie byłoby inaczej niezależnie od miejsca, w którym byśmy zamieszkali - odpowiedział.

– Czasami budzę się i myślę, że mama nadal z nami jest.

Jack zatrzymał się i spojrzał na ocean.

– Ja budzę się co rano, oczekując, że ją zobaczę. Dopiero gdy jej nie widzę, uświadamiam sobie... - Ruszył ponownie. - Ale tutaj, tutaj jest inaczej. Tutaj czuję... czuję, że jest bliżej mnie.

Mikki spojrzała z zaniepokojeniem na ojca, ale nic nie odpowiedziała.

Puścili kilka kaczek na wodę i pozwolili, by fale ścięły ich stopy po piasku. Mikki znalazła muszelkę i wsunęła ją do kieszeni, żeby pokazać braciom.

– Masz piękny głos - powiedział Jack. - Dziś rano słuchałem za drzwiami.

– Jest spoko - odrzekła skromnie, choć zauważył, że komplement sprawił jej przyjemność.

– Chcesz studiować muzykę w college'u?

– Nie jestem pewna, czy chcę pójść do college'u. Ty nie poszedłeś.

– To prawda, ale mama skończyła szkołę.

– Nie jestem pewna, czy muzyka, która mnie interesuje, znajduje się w programie jakiegoś college'u albo w głównym nurcie muzyki rozrywkowej.

– Co to za gatunek?

– Pytasz z uprzejmości czy naprawdę chcesz wiedzieć?

– Słuchaj, czemu wszystko komplikujesz? Po prostu zapytałem.

– W porządku, to muzyka alternatywna. Wyraźny rytm, niecodzienne połączenie instrumentów. Nie chodzi o to, żeby wypłoszyć cię z domu przy użyciu tanich sztuczek z syntetyzatorami albo wzruszyć ckliwym tekstem. Słowa muszą coś znaczyć.

Jack był pod wrażeniem.

- Widzę, że dużo o tym myślałaś.
- Muzyka jest ważną częścią mojego życia. Jasne, że myślałam.
- To fajnie, gdy człowiek ma jakąś pasję.
- A ty ją miałaś?
- Nie, dopóki nie poznałem twojej matki. To ona się nią stała.

Mikki zrobiła minę.

- Nie powinieneś mówić tak własnej córce.
- Nie chciałem. Zanim pojawiła się twoja mama, po prostu dryfowałem przez życie.

Grałem w piłkę i na tym koniec. Mój tata umierał na raka.

- A twoja mama?
- Żyła, ale mieliśmy własne problemy.
- Źle się wam układało? Jak tobie i mnie? - dodała, spoglądając na niego kątem oka.
- Spędzałem znacznie więcej czasu w domu O'Toole'ów niż we własnym.
- Dlaczego?

Mina Jacka spoważniała.

- Nie rozmawiałem o tym z nikim oprócz twojej matki. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic.
- W porządku, zapytałam z ciekawości. Nie musisz odpowiadać.

Jack stanął, a ona poszła za jego przykładem.

- Zgoda, powiem ci w zaufaniu. Miałem wątpliwości, czy mama naprawdę mnie kocha.

Mikki spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Musiała cię kochać, przecież była twoją matką.
- Można by tak pomyśleć, prawda?
- Czemu sądziłaś, że cię nie kocha?
- Bo mnie zostawiła, kiedy miałem siedemnaście lat. Odeszła zaraz po śmierci ojca.
- Co? Nikt mi o tym nie powiedział. Wiedziałaś, że umarła, zanim przyszedłem na świat,

ale to wszystko.

- Takich rzeczy nie rozgłasza się światu.
- Co się stało?

– Poznała jakiegoś faceta i przeprowadziła się na Florydę. Kilka lat później zginęła w wypadku na łodzi. Zatrzymała dom w Cleveland, a ja mieszkałem w nim, dopóki nie poślubiłem twojej mamy i nie wstąpiłem do wojska.

Mikki spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Mieszkałeś sam?
- Tak, nie miałem innych krewnych.
- Przecież chodziłeś do ogólniaka.
- Ale skończyłem szesnaście lat. Rodzina zastępcza nie wchodziła w grę. Brałem

dorywcze prace, żeby pokryć wydatki.

- Boże, byłeś sam, tato, zdany wyłącznie na siebie.
- Ty też lubisz samotność.
- Taak, ale zawsze mogę zejść na dół i wszystkich zobaczyć.
- Cóż, ja miałem twoją mamę. Była moim najlepszym przyjacielem. Pomogła mi przejść

bardzo trudny okres.

- Dzięki za spacer i rozmowę - powiedziała po powrocie do Pałacu.
- Mam nadzieję, że będzie ich wiele tego lata.

Gdy wbiegła po stopniach przed ojcem, z boku domu wyłonił się Sammy.

– Wcześniej wstaliście. - Powiódł wzrokiem za znikającą w domu Mikki. - Małe pogaduszki ojca z córką?

– To wspomniała dziewczyna, Sammy. Pół życia walczyłem w obronie kraju, a drugie pół spędziłem na wbijaniu gwoździ. Muszę się o niej wiele dowiedzieć.

– Pewnie dlatego się nie ożeniłem - zauważył Sammy.

– Nigdy tego nie żałowałeś? Że nie masz dzieci i żony?

– Nie, dopóki nie zacząłem się zadawać z Armstrongami.

Kiedy ojciec wychodził do pracy, a Mikki musiała pilnować rodzeństwa, wkładała szorty, tenisówki i bezrękawnik, robiła kilka ćwiczeń rozciągających i szła na plażę, żeby pobiegać. Po ojcu odziedziczyła talent do sportu, choć nigdy nie występowała w szkolnych drużynach. Uważała sportowców ze swojej budy za okropnych. Nie lubiła także ducha rywalizacji, który cechował sport. Lubiła biegać, gdy nie musiała pokonać nikogo pędzącego obok niej.

Biegła plażą na południe, słuchając muzyki z iPod'a. Nasmarowała się dużą ilością kremu z filtrem, bo jej skóra była blada po pochmurnej zimie i chłodnej wiosnie w Ohio. Słońce było wspaniałe, a widoki zapierał dech w piersi. Poruszała rękami, a jej długie nogi szybko pożerały przestrzeń. Ludzie łowili z brzegu, dzieci bawiły się na piasku, a nastolatki surfowały na wysokich falach. Choć było jeszcze wcześniej, kilka osób już leżało na kocach plażowych, czytając i rozmawiając.

– Czego chcesz... - wysapała, gdy jakiś chłopak zaczął biec obok niej.

– Cześć - odpowiedział z uśmiechem.

Mikki zauważyła, że to chłopak z mercedesa kabrioletu. Miał na sobie szerokie szorty i był bez koszulki. Szczupły i umięśniony. Z bliska wyglądał jak model prezentujący kolekcję Ralphi Laury, co sprawiło, że od razu poczuła do niego pogardę.

Wyciągnęła słuchawki, ale nie przestała biec.

– Plaża jest szeroka - odpowiedziała, przybierając obojętny wyraz twarzy. - Biegaj sobie gdzie indziej.

– Jestem Blake Saunders. - Wyciągnął rękę, biegnąc u jej boku.

Zignorowała ją.

– Super.

– Moglibyśmy na chwilę stanąć?

– Po co?

– To ważne.

Zatrzymała się, a on zrobił to samo.

– O co chodzi? - zapytała.

– Chciałem cię przeprosić za wczorajszy dzień. Tiff potrafi być wkurzająca.

– Tiff?

– Tiffany. Tiffany Murdoch.

– Faktycznie, wygląda jak Tiffany - oburknęła Mikki.

– Taak, jest bardzo zepsuta. Jej ojciec był wielkim inwestorem w Nowym Jorku, zanim się tu przenieśli i zbudowali największy dom nad plażą.

– Czemu z nią łąsisz?

– Bywa zabawna.

Mikki spojrzała na niego pogardliwie.

– Nie mam wątpliwości. - Klepnęła się w siedzenie. - „Obejmij nas”?

– Nie, nie to miałem na myśli.

– Chciałabym dokończyć bieg - powiedziała Mikki.

– Mógłbym pobiec razem z tobą? Jestem rozgrywającym w licealnej drużynie futbolowej.

Staram się utrzymać formę.

– Jak sobie życzysz, rozgrywaczu.

– Jak ci na imię?

Po chwili wahania odpowiedziała:

– Mikki, Mikki Armstrong.

Ruszyli przed siebie.

– W której jesteś klasie?

– W przyszłym roku będę w przedostatniej.

– Ja w ostatniej. Przeprowadziliście się do Channing? - spytał Blake.

– Taak, z Cleveland.

– Wow, z Cleveland!

Spojrzała na niego uważnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuje.

– Taak, z Cleveland. Masz z tym problem?

– Nie, to fajne miasto. Mają zawodową drużynę futbolową i Jamesa LeBrona.

– I panteon gwiazd rock and rolla.

– Nie wiedziałem. To super. Grasz na czymś?

– Trochę, głównie na gitarze. I na basie.

– Chętnie posłucham.

– Czemu?

– Trudno się z tobą zapoznać.

– Fakt.

– Może się kiedyś spotkamy?

– Jeszcze raz? W jakim celu? Jeśli Tiffany jest w twoim typie, będzie to strata czasu, bo pod żadnym względem nie jesteśmy do siebie podobne.

– Bo przyjemnie jest poznawać nowych ludzi, którzy nie są stąd. Małe miasteczka bywają nudne.

– Planuję codziennie biegać plażą o tej porze.

– Wspaniale. Może następnym razem spojrzysz na mnie przychylniejszym okiem.

Dla żartu trącił ją w ramię, a Mikki lekko się uśmiechnęła.

– Pierwsza rysa w zbroi - zażartował.

– Znasz Liama Fontaine'a? - spytała.

– Tak, jest fajny, ale to dziwak.

– Dziwak? Dlaczego?

– Nie uprawia żadnego sportu, choć wiem, że ma do tego zdolności.

– Cóż, pracuje w restauracji i uwielbia muzykę. Nie ma czasu na inne zajęcia.

– Mówisz, jakbyś go znała.

– Poznaliśmy się. Jest fantastycznym muzykiem.

Blake się uśmiechnął.

– Może powinnaś zaprosić go na randkę?

– Błagam, nie znam faceta.

– Właśnie o to proszę. O szansę, żebym mógł cię poznać. Kiedy skończyli bieg, Blake powiedział:

– Do zobaczenia jutro.

- Zgoda.
- Dobrze biegasz.
- Ty również - przyznała.
- Udanego dnia.

Ruszył sprintem, a ona przyłapała się na tym, że podziwia jego opalone umięśnione plecy i nogi. Później odwróciła się i pobiegła do Pałacu.

Jack i Sammy załadowali na furgonetkę materiały kupione w sklepie budowlanym w Channing, żeby rozpocząć prace u Jenny Fontaine. Kiedy Charles Pinckney wyszedł przed sklep, Jack przedstawił mu Sammy'ego.

– Dziękuję, że mnie poleciłeś, Charles - powiedział, stawiając kolejne pudło na skrzyni. - I dzięki za szybkie przygotowanie materiałów. Wiem, że zwykle nie macie takich na składzie.

– Zrobiłem to z radością. Jenna to wspaniała babka. Do tego prowadzi najbardziej popularną knajpę w mieście. Przez nią będziesz mógł zdobyć wielu klientów.

– To znakomicie - przytaknął Sammy.

Obaj mężczyźni mieli na sobie szorty biodrówki, podkoszulki i buty robocze. Choć był ranek, temperatura sięgała dwudziestu siedmiu stopni.

– Mam pytanie, Charles - zaczął Jack. - Zastanawiałem się nad latarnią. Znasz jej historię?

– Mój pradziadek zbudował ją razem z domem. Kiedyś figurowała na oficjalnych mapach nawigacyjnych, ale od dawna już nie działa.

– Czy ktoś próbował ją ponownie uruchomić?

Pinckney spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nie, w jakim celu?

– Tylko spytałem - odparł Jack.

Pożegnali Pinckneya i pojechali do domu Fontaine'ów. Okazało się, że Jenna wyjechała do restauracji, ale zostawiła karteczkę na drzwiach informującą, że tylne drzwi na niższym poziomie są otwarte. Wnieśli do środka materiały i po przykryciu wszystkich instrumentów Liama oraz mebli płachtą malarską zaczęli rozbierać ścianki działowe. Zamierzali wstawić w ściany i przestrzeń pod sufitem materiały dźwiękochłonne, a następnie zastąpić starą ściankę działową płytą wykonaną z grubszego materiału tłumiącego dźwięk.

Około pierwszej usłyszeli hałas na górze.

– Halo? - Jack rozpoznał głos Jenny.

– Jesteśmy na dole! - odkrzyknął.

Zeszła po schodach z dużą białą torbą. Jack przedstawił ją Sammy'emu.

Pokazała im torbę.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie jedliście.

– Nie musiałaś tego robić.

– Cieszę się, że to zrobiłaś! Jestem głodny! - wykrzyknął Sammy.

Jenna uśmiechnęła się i położyła na stole przy ścianie dwie duże kanapki z indykiem, frytkami i piklami oraz ciasteczka i napoje. Robiąc to, rozejrzała się po pokoju.

– Widzę, że nie próżnowaliście, chłopaki.

Jack skinął głową.

– Idzie lepiej, niż sądziłem, a to oznacza, że remont będzie cię kosztował znacznie taniej.

Sammy odłożył narzędzia, otarł dłonie czystą szmatką, podszedł do stołu i zmierzył wzrokiem jedzenie, które przyniosła. Skłonił się kurtuazyjnie i oznajmił:

– Jesteś boginią zesłaną z niebios dwóm strudżonym wędrowcom.

Jenna się roześmiała.

– Miło spotkać faceta, który wie, jak traktować damę.

Jack umył dłonie wodą z butelki, wytarł szmatką i usiadł naprzeciw Sammy'ego. Spojrzał na Jennę.

– Przyniosłaś coś dla siebie?

– Zwykle jadam wcześniej, zanim przyjdą goście na lunch. Wtedy lokal jest pełen. Latem zawsze tak jest.

– Wygląda, że „Odrobina miłości” to istna kopalnia złota - zauważył Jack.

Jenna usiadła na małym pufie, skrzyżowała nogi i powiedziała:

– Radzimy sobie, ale zysk jest niewielki, a pracy dużo.

– Mój kumpel prowadził restaurację - wtrącił Sammy, przełknąwszy kawałek kanapki. - Mówił, że to najcięższa robota, jaką miał w życiu.

Jack ugryzł frytkę i powiedział:

– Czemu to robisz, Jenno?

Jenna miała na sobie czarną spódniczkę i białą bluzkę. Zdjęła buty na obcasie i masowała stopy. Jack spojrzał na jej długie nogi, ale szybko odwrócił wzrok. Jeśli to zauważyła, nie zareagowała.

– Jestem własnym szefem. Lubię przebywać z ludźmi. Muszę przyznać, że czuję dumę, gdy wchodzę do „Odrobiny miłości” i wiem, że to mój lokal. Będę mogła zostawić go Liamowi, jeśli zechce przejąć interes. Kiedy zaczniesz koncertować z zespołem, restauracja będzie na niego czekała.

– Piękne dziedzictwo. - Sammy westchnął.

– Znamy sytuację Jacka, ale nie wiem, czy ty masz rodzinę, Sammy?

– Nie. Moją rodziną był Wuj Sam. To mi wystarczało.

– Wuj Sam? Jak to?

– Sammy był żołnierzem - wyjaśnił Jack. - Służył w Wietnamie. Później w oddziałach Delta.

Jenna spojrzała na niego z podziwem.

– Imponujące.

Sammy otarł usta serwetką.

– Cóż, Jack nie powie ci o sobie, bo jest na to zbyt skromny, więc z przyjemnością zrobię to za niego.

– Daj spokój, Sammy - rzucił ostrzegawczo Jack.

– Dostał dwa Purpurowe Serca i Brązową Gwiazdę -ciągnął niewzruszony Sammy, spoglądając na Jacka buntowniczym wzrokiem. Wskazał bliznę po kuli na ramieniu Jacka. - Jedno Purpurowe Serce za to, a Brązową Gwiazdę za wyprowadzenie paru kumpli z zasadzki, co niemal przypłacił życiem.

Jenna spojrzała na Jacka, otwierając usta i robiąc wielkie oczy.

– To niesamowite.

– Dawne dzieje. - Jack dokończył posiłek, zwinął papier w kulkę i włożył to białej torby, którą przyniosła. -Naprawdę dziękuję za lunch, Jenna. - Wstał. - Musimy wracać do roboty, Sammy.

Zaczął ciąć jedną ze ścianek działowych.

Jenna spojrzała na Sammy'ego.

– Skomplikowany facet - szepnął cicho.

Kiedy Jenna obserwowała, jak Jack atakuje ścianę, powiedziała:

– Zaczynam to rozumieć.

Wieczorem, kiedy dzieci zasnęły, Jack wziął latarkę i poszedł do latarni. Otworzył drzwi i oświetlił wnętrze. Ponieważ przejrzał już pudła stojące wzdłuż ścian, wspinał się wolno po chybottliwych schodach, ostrożnie sprawdzając każdy stopień.

Usłyszał szmer pod nogami i skierował snop światła w dół, w samą porę, żeby zobaczyć mysz czmychającą spod jego stóp. Szedł dalej, choć stare drewniane stopnie trzeszczały pod jego ciężarem. W końcu dotarł na górę, pod poziom, na którym znajdował się reflektor.

Kiedy przesuwiał snop światła, z ciemności wyłaniały się różne kształty. Obrazy przesuwwały się niczym kadry czarno-białego filmu wyświetlanego na projektorze. W pewnej chwili zatrzymał się i przysunął bliżej. Zauważył stary materac. Uklęknął, żeby go dotknąć. Na materacu siedziała stara lalka oparta plecami o ścianę latarni. Chociaż jej twarz była brudna od kurzu i wody, spojrzał na nią, jakby była ze złota. Wiedział, że należała do Lizzie. Trzymała ją na starym zdjęciu.

Wstał i ponownie oświetlił wnętrze. Tym razem snop światła zatrzymał się na rysunku wymalowanym na ścianie czarnym markerem. Na rysunku małej dziewczynki z warkoczykami i szerokim uśmiechem. Pod postacią widniało imię „Lizzie”. Obok rysunku dziewczynki znajdował się rysunek latarni z promieniem światła, a pod nim napis „Niebo”. Jack zauważył, że obejmuje go snop światła reflektora.

Już miał ruszyć dalej, kiedy latarka wydobyła inny szczegół. Uklęknął i bliżej oświetlił ścianę. Rysunek był częściowo starty, ale mimo to domyślił się, co przedstawia. Przedstawiał inną małą dziewczynkę. Gdy przyjrzał mu się dokładniej, dostrzegł wyraźną różnicę. Druga dziewczynka się nie uśmiechała. Jej usta były wygięte ku dołowi.

– Smutna dziewczynka - wyszeptał. Spojrzał w dół. Schylił się niżej, żeby odczytać trzy litery napisane na ścianie. „T-i-L”.

Pomyślał, że musiały oznaczać Tillie, zmarłą siostrę bliźniaczkę Lizzie. Usiadł w kucki i ogarnął wzrokiem cały rysunek. Pozostałe litery tak wyblakły, że nie można ich było odczytać.

Promień latarni nie docierał do drugiego rysunku. Latarnia nie sięgała tak daleko. Tillie pozostała w mroku.

– Nigdy nie odnalazłaś nieba, Lizzie. I nigdy nie znalazłaś Tillie.

Jack poczuł, że łzy napływają mu do oczu, a jego płuca nagle nie mogą zaczerpnąć dość powietrza.

Wetknął lalkę pod pachę i otworzył drzwi prowadzące na pomost biegnący wokół wierzchołka latarni. Podniósł głowę i spojrzał w ciemną przestrzeń. Gdzieś tam musiało znajdować się niebo. Niebo i Tillie.

A teraz także Lizzie.

Wyciągnął rękę i jej pomachał. Później zrobiło mu się głupio, więc opuścił rękę, nie przestając spoglądać w górę. Miał wrażenie, że Lizzie jest bardzo blisko. Zamknął oczy i wyobraził sobie jej twarz. Jeszcze sześć miesięcy temu słyszał jej głos, jej śmiech, czuł jej skórę, obserwował uśmiech na twarzy.

To nie mogło być tak dawno temu, Lizzie.

Wyciągnął rękę. Jego palce zasłoniły gwiazdę, która musiała się znajdować miliony lat świetlnych od niego i być wielkości słońca. Mimo to palce zasłonił ją całą. Jak blisko musiała być Lizzie, skoro zdołał zasłonić palcem całą gwiazdę.

Tam musi być niebo. Może już niedługo je odnajdziesz, Lizzie. Gdy latarnia zacznie świecić.

Ostrożnie postawił lalkę i wyciągnął kopertę z kieszeni. Widniała na niej liczba trzy. List nosił datę dwudziesty pierwszy grudnia. Znał jego treść. Znał na pamięć słowa każdego listu. Skoro Lizzie nie mogła ich przeczytać, postanowił zrobić to dla niej.

Droga Lizzie

Święta Bożego Narodzenia za pięć dni, więc pora zastanowić się nad życiem. Nad Twoim życiem, Lizzie. Wiem, że będzie to dla Ciebie trudne. Trudno mi o tym pisać, a Tobie niełatwo będzie czytać, ale trzeba to wyraźnie powiedzieć. Jesteś młoda i masz przed sobą wiele lat. Cory i Jackie jeszcze długo będą z Tobą. Nawet Mikki z tego skorzysta. Piszę o tym, Lizzie, bo powinnaś kogoś sobie znaleźć.

Wiem, że początkowo nie będziesz chciała. Będziesz się czuła winna, że pomyślałaś o innym mężczyźnie, ale tak już musi być. Nie mogę pozwolić, żebyś spędziła samotnie resztę życia. To nie byłoby sprawiedliwe wobec Ciebie i nie miałyby nic wspólnego z miłością, którą się darzyliśmy. Bo nasza miłość będzie trwała wiecznie. Istnieje wiele rodzajów miłości, a ludzie mają zdolność kochania wielu osób. Jesteś wspaniałą kobietą, Lizzie, i możesz uczynić pięknym czyjeś życie. Miłością trzeba się dzielić, a nie ją ukrywać, zazdrośnie gromadząc dla siebie.

Jack przerwał na chwilę, gdy samotna łza kapnęła na papier.

Masz wiele miłości, którą możesz się podzielić. Nie oznacza to, że będziesz mnie darzyła mniejszą miłością. Ja na pewno nie będę kochał Cię bardziej niż do tej pory. Mimo to jestem przekonany, że w swoim sercu znajdziesz więcej miłości dla kogoś innego. Ze uczynisz go szczęśliwym, a on uszczęśliwi Ciebie. W ten sposób Jackie znajdzie nowego ojca, który pomoże mu wyrosnąć na dobrego człowieka. Nasz syn na to zasługuje. Wierz mi, Lizzie, gdyby mogło być inaczej, zrobiłbym to. Trzeba się pogodzić z tym, co niesie życie. Staram się to robić najlepiej, jak potrafię. Zbyt mocno Cię kocham, żeby zaakceptować coś mniejszego od Twojego pełnego i całkowitego szczęścia.

Kocham Cię, Jack

Wsunął list do koperty i schował w kieszeni. Podniósł lalkę i długo spoglądał na ocean. W końcu ruszył po schodach i wyszedł na wilgotne nocne powietrze. Uniósł głowę, spoglądając na latarnię.

Latarnia Lizzie.

Wrócił do domu z głową pełną myśli o tym, jak powinno być.

Mikki przewróciła się na łóżku. Zza okna dolatywał szum morza. Jeszcze niedawno dźwięk fal rozbijających się o piasek był jej całkiem obcy. Teraz tak przywykła do jego obecności, że nie była pewna, czy chciałaby bez niego żyć.

Ziewnęła, usiadła na łóżku i przeciągnęła się ospale. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest szósta trzydzieści. Lubiła biegać o tej porze, żeby wrócić, zanim tata i Sammy wyjdą do pracy.

Ściągnęła podkoszulek z długimi rękawami, w którym zwykle sypiała, i nałożyła spodenki do biegania, koszulkę bez rękawów, skarpetki i tenisówki. Później wstąpiła na chwilę do łazienki i związała włosy w kucyk. Wychodząc, zajrzała do braci, którzy dzielili pokój w końcu korytarza, obok sypialni taty. Obaj jeszcze spali. Cory leżał na brzuchu, a Jackie na plecach, z ugiętymi kolanami, tak że prześcieradło utworzyło namiot.

Uśmiechnęła się, słysząc ciche chrapanie brata.

Mijając pokój ojca, usłyszała, że się poruszył.

Zapukała do drzwi.

– Idę pobiegać, tato. Nastawię kawę. Wrócę za godzinę.

– W porządku. Dzięki - usłyszała zaspany głos.

Nastawiła kawę i wyjęła dwa kubki dla taty i Sammy'ego.

Mężczyźni sami robili sobie śniadanie, ale Mikki przygotowywała posiłek dla braci. Czasami jedli płatki śniadaniowe. Kiedy indziej wyciągała patelnię i smażyła jajecznicę na bekonie lub coś, co nazywali kaszą kukurydzianą - danie pochodzące Południa, za którym jej bracia przepadali, choć ona go nie cierpiała.

Zbiegła po schodach, minęła wydmy i wypadła na płaską plażę. Zrobiła kilka ćwiczeń rozciągających i zaczęła biec. Starał się trzymać twardego, ubitego piasku, a jej długie nogi energicznie pożerały przestrzeń. Pół mili dalej przyłączył się do niej Blake. Rozmawiali, nie przestając biec. Gadali o normalnych sprawach, o których rozmawiają nastolatki. Poczula, że coraz bardziej go lubi, chociaż przyjaźnił się z Tiffany Murdoch. Dzięki niemu nawet się roześmiała.

Po kilku milach pożegnał się i skręcił w stronę ulicy.

Mikki zawróciła do Pałacu, kiedy dostrzegła kogoś na desce.

– Liam?

Podbiegła bliżej brzegu, kiedy stanął i jej pomachał.

– Pływasz rano? - spytała.

Przeskoczył falę, żeby stanąć obok niej.

– Muzycy i kucharze przygotowujący szybkie dania przychodzą tu, by utrzymać formę. Nie jestem fanem biegania.

Uśmiechnęła się i spojrzała na wodę.

– Mama nauczyła mnie pływać w brodziku na naszym podwórku.

– To cenna umiejętność. - Otrząsnął piasek z włosów. - Wyglądasz, jakbyś ćwiczyła. Nie chcę ci przeszkadzać.

– Muszę przebiec jeszcze kilka mil.

– Kilka mil? Ja bym wykorkował.

– Daj spokój! Na pewno jesteś w świetnej formie.

– Sam nie wiem. Jeśli nadal będę jadał w „Odrobinie miłości”, trzeba będzie wywozić mnie z kuchni na wózku.

- Tata mówi, że wyciszenie pokoju dobrze idzie.
- Już prawie skończyli. Będziemy mogli pograć.
- Nie mogę się doczekać.

Po powrocie do Pałacu Mikki wzięła prysznic i zmieniła ubranie. Tata zaskoczył ją, przygotowując śniadanie dla wszystkich. Naleśniki z szynką.

- Pomogę - zaofiarował Jackie, szykując się do wylania galonu syropu na ich naleśniki.

Zanim tata i Sammy wyszli, Mikki pobiegła do szafy po rzeczy, które zamierzała zabrać, idąc razem z chłopcami na plażę. Kiedy zawartość jej torby się wysypała, przykucnęła na podłodze, żeby pozbierać przedmioty. Wtedy dostrzegła obłuzowaną deskę z tyłu szafy. Kiedy ją nacisnęła, przed jej oczami mignęła krawędź fotografii. Wyciągnęła ją i przyjrzała się jej uważnie, a później zeszła na dół i pokazała tacie, który kończył śniadanie.

Jack spojrzał na zdjęcie przedstawiające Lizzie jako młodą dziewczynę. Stała w otoczeniu rodziny. Znacznie młodszego Freda i Bonnie. I rodzeństwa.

- Spójrz, tato - powiedziała Mikki. Wskazała jakąś osobę na fotografii.

– Tak, kochanie. Widzę.

– To siostra bliźniaczka mamy, prawda? Ta, która zmarła?

– Tak, nazywała się Tillie. Pełne imię brzmiało Elizabeth, ale wołali ją Tillie. Nie wiem dlaczego.

– Czy dlatego stąd wyjechali? Bo było tu bardzo smutno po jej śmierci?

– Taak - odrzekł Jack. - Chyba tak.

– Nie wiem. co bym zrobiła, gdyby coś złego spotkało Cory’ego lub Jackiego. Nie wspomnę o stracie bliźniaka. To jakby utracić część siebie.

– Masz rację.

Wyciągnął rękę po fotografię, ale Mikki ją cofnęła.

– Mogę ją zatrzymać?

– Tak, kochanie.

- Bonnie? - Kiedy Jack otworzył drzwi, okazało się, że na progu stoi jego teściowa. Ostatnia osoba, którą spodziewałby się zobaczyć.

Miała na sobie spodnie, turkusową bluzkę i sandały. Zdjęła okulary słoneczne i zapytała:

- Mogę wejść?

- Oczywiście. - Odsunął się na bok i spojrzał za nią.

- Fred nie przyjechał - oznajmiła, odgadując jego spojrzenie.

- Kiedy przyjechaliście?

- Kilka dni temu. Wynajęliśmy dom na moczarach na kilka tygodni.

- Tutaj?

- Tak, to moje rodzinne miasto.

- Rozumiem.

Usiedli na kanapie we frontowym pokoju.

- Muszę przyznać, że byłam zaskoczona, kiedy matka zapisała ci to miejsce - zaczęła.

- Pewnie nie bardziej niż ja.

- Tak - przytaknęła machinalnie. - Pewnie tak.

Jack zawahał się, a później postanowił to powiedzieć.

- Słyszałem, że Lizzie wspomniała ci, iż chce przywieźć tutaj dzieci po mojej śmierci.

Bonnie spojrzała na niego bez słowa.

- Zaskoczyło cię to, prawda? To, że chce tutaj wrócić?

- Gdzie one są? - spytała, rozglądając się wokół i ignorując jego pytanie.

- Na plaży. Mogę je zawołać.

- Nie, najpierw porozmawiajmy. - Rozejrzała się wokół. - Zauważyłam nowe deski na werandzie i schodach. Podwórko ładnie wygląda.

- Razem z Sammym poświęciliśmy domowi trochę pracy. Wykonaliśmy naprawy elektryczne i hydrauliczne, zadbaliśmy o otoczenie.

- Chyba więcej niż trochę. - Spojrzała na niego. - Pewnie dlatego zostawiła ci to miejsce. Możesz je naprawić.

- Już powiedziałem, że byłem tym całkowicie zaskoczony.

- Napisła do mnie list z wyjaśnieniem.

- Do mnie również.

- Widzę, że matka pomyślała o wszystkim - zauważyła oschle Bonnie.

- Zastanawiam się nad naprawieniem latarni. Latarni Lizzie.

- Proszę, nie rób tego. Czy wiesz, że miała obsesję na punkcie tej przeklętej latarni?

- Wspomniała mi o tym - odparł Jack. - Ale była wtedy małym dzieckiem.

- To trwało latami. Chodziła tam co noc. Prosiła, żebyśmy zapalali światło i oświetlali wodę w poszukiwaniu Tillie.

- Niebo - poprawił ja Jack.

- Co?

- Lizzie powiedziała, że szukała Tillie na niebie.

- To było bardzo stresujące przeżycie dla nas wszystkich. Kiedy Fred otrzymał propozycję pracy w Cleveland, skorzystaliśmy bez zastanowienia. Byłam zaszokowana, kiedy Lizzie powiedziała, że chce tu wrócić.

– Nie była już małą dziewczynką, Bonnie, ale dorosłą matką trójki dzieci. Nie zamierzała obserwować nieba w poszukiwaniu zmarłej siostry.

– Jesteś pewny?

– Taak, jestem.

– Czemu?

– Znałem Lizzie.

Bonnie odwróciła wzrok, choć nie wyglądała na przekonaną.

Jack postanowił zmienić temat.

– Bonnie, ty i Fred jesteście tu zawsze mile widziani. Z pewnością to bardziej wasz dom niż mój.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, ale musiałam zebrać wszystkie siły, żeby tu dziś przyjechać. - Wstała i podeszła do framugi, na której wciąż widniały poziome nacięcia. - Mierzyłam tutaj wzrost dzieci. Lizzie rosła szybciej niż jej siostra. Doprowadzała ją tym do szaleństwa.

– Widzieliśmy - przytaknął Jack. - Zamierzałem robić to samo z Corym i Jackiem.

Bonnie podeszła do okna i spojrzała na latarnię, a następnie znów wzruszyła ramionami.

– Nie mogę uwierzyć, że ta przeklęta budowla nadal stoi.

Usiadła ponownie.

– Chciałabym zobaczyć dzieci, kiedy będziemy tu z Fredem.

– Oczywiście.

Pragnął coś powiedzieć, ale się pohamował. Ich rozmowa była tak przyjemna, że nie chciał jej zepsuć. Bonnie zauważyła, że coś go gnębi.

– O co chodzi?

– Pamiętasz opowieść w brukowcach o cudownym człowieku? - powiedział.

– To wstrętne. Gdyby znalazła tego reportera, udusiłabym drania.

Jack spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Gdybyś go znalazła?

Spojrzała na niego, a później zrozumiała, o czym pomyślał. Jej twarz zapłonęła gniewem.

– Naprawdę sądzisz, że rozmawiałabym z reporterem jakiegoś szmatławca o mojej córce?

– Skąd się o tym dowiedzieli? Kto inny mógłby im powiedzieć?

– Nie mam pojęcia, ale mogę cię zapewnić, że nie dowiedzieli się tego ode mnie.

Przedstawili całkowicie fałszywy obraz Lizzie.

– Nigdy nie zadzwoniłaś do mnie w tej sprawie.

– Bo i czemu? Wiedziałam, że to stek bzdur. Czy Lizzie cię zdradzała? To tak niedorzeczne jak twierdzenie, że sam ją zdradzałeś.

– A jej wyjazd tamtej nocy po lekarstwa? Kiedy przyniosłaś mi torbę leków, wydawałaś się naprawdę wściekła.

Bonnie spojrzał na niego z zakłopotaniem.

– Byłam zła, ale wiedziałam, że to nie była twoja sprawka. Zadzwoniłam do Lizzie, sądząc, że jest w domu. Okazało się, że jest w aptece. Powiedziała mi, że nie kazałeś jej tam jechać, że powiedziałeś, iż możesz się bez nich obyć. Zachowałam się podle, bo właśnie pochowałam córkę i nie byłam zdolna do trzeźwego myślenia. Przepraszam.

– W porządku. Rozumiem cię.

– Zależy mi na dzieciach. Chcę dla nich tego, co najlepsze.

– Wiem, zapewniam cię, że ja również.

– Jack, wiem, że to trudne, ale mnie wysłuchaj.

Wreszcie, pomyślał. Wreszcie się dowiem, czemu tu przyjechała.

– Od czasu twojego wyzdrowienia rozmawiałam z wieloma lekarzami.

– Dlaczego? - spytał ostro.

– Bo jesteś ich jednym rodzicem, a gdy cię stracą, zostaną sierotami. Dlatego.

– Żyję, Bonnie. Przypominam ci o tym, jeśli tego nie zauważyłaś.

– Każdy lekarz, z którym rozmawiałam, mówił mi, że to niemożliwe. Że choroba, na którą chorujesz, jest śmiertelna. Zawsze. Przykro mi, ale właśnie to powiedzieli.

– Chorowałem. Byłem na nią chory. Wyzdrowiałem. Otrzymałem świadectwo pełnego zdrowia.

– Od tych samych lekarzy, w tym jednego z kliniki w Mayo, którzy stwierdzili, że to niemożliwe. Ta choroba nie zniknęła. Weszła w stadium uśpienia, ale zawsze powraca. Lekarze zgodnie twierdzą, że gdy powróci, nie będziesz miał więcej niż kilka tygodni.

– Po co o tym rozmawiamy, Bonnie? Spójrz na mnie. Nie jestem już chory.

– Te dzieci tyle przeszły. Leżałaś na łożu śmierci, a później Lizzie zginęła w wypadku. Zostały oderwane od korzeni i rozrzucone po całym kraju.

– To była twoja robota, nie moja.

– A jaki miałam wybór, powiedz mi?

Jack odwrócił wzrok.

– Zgoda, nie miałaś, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Co się stanie, jeśli ponownie zachorujesz? Jeśli choroba powróci? Jeśli umrzesz? Wiesz, co się z nimi stanie? Człowiek może przyjąć tylko określoną dawkę niedoli i smutku. One są tylko dziećmi. To je zniszczy.

– Rozumiem twoją troskę, nawet jeśli się z tobą nie zgadzam. Co mam zrobić? Chcesz, żebym oddał ci je z powrotem? Żebym ukrył się w jakimś kącie i czekał na nawrót choroby?

– Nie, ale mógłbyś zamieszkać z nami w Arizonie. Ty i dzieci. W ten sposób w ich życiu zapanowałaby rutyna. Gdyby coś ci się stało, byłibyśmy na miejscu, a dzieci przywykłyby do mieszkania z nami.

Jack spojrział na nią nieufnie.

– Chcesz wziąć mnie i trójkę dzieci?

– Tak. Mama zapisała ci Pałac, a nam trochę pieniędzy. Nawet jeśli kupimy większy dom, pozostaną nam środki, żeby was utrzymać.

– Doceniam to, ale potrafię się zatroszczyć o własną rodzinę - odparł stanowczo.

– Nie sugerowałam, że jest inaczej.

– W porządku.

– Po prostu staram się pomóc.

– Doceniam to.

– Czy w takim razie rozważysz moją propozycję?

– Obawiam się, że nie.

Bonnie wstała.

– Tak sądziłam. Czy teraz mogę zobaczyć się z dziećmi?

– Oczywiście. Zaprowadzę cię do nich. Chcę, żebyś była obecna w ich życiu.

– Ja również.

W niedzielę, kiedy Sammy wybrał się na przejażdżkę harleyem, Jack zapakował dzieci do volkswagena i pojechał do Channing. Ciężko pracował u Jenny i kilku innych klientów, a dzieci miały już dość ciągłego przebywania w Pałacu. Skontaktował się z Nedem Parkerem, który zgodził się pokazać im kulisy miejscowego teatru.

Spotkali się przed wejściem i ponad godzinę zwiedzali mroczne zakamarki teatru. Ned pokazał Cory'emu, jak obsługiwać światła, podnosić i opuszczać dekoracje, przesuwać sprzęt na scenicznych wózkach i uruchamiać zapadnię, dzięki której aktorzy mogli pojawiać się i znikać. Dzieciarnia była podekscytowana tym, co zobaczyła. Na Jacku szczególne wrażenie zrobiły urządzenia zainstalowane w budynku oraz fachowość, z jaką je wykonano.

Po wyjściu z teatru ruszyli na poszukiwanie restauracji. Nagle ktoś krzyknął do nich z drugiej strony ulicy. Jack podniósł głowę i zauważył, że biegnie ku nim Charles Pinckney. Miał na sobie proste spodnie khaki i koszulę z krótkimi rękawami narzuconą na T-shirt, a na nogach skórzane sandały.

– Zrobiliście sobie wolne, żeby nacieszyć się słońcem i zakosztować przyjemności w Channing?

Jack skinął głową.

– Musieliśmy wyrwać się na chwilę z domu. Zobaczyć miasto.

– Jesteście głodni?

– Zastanawiamy się, gdzie zjeść.

Oczy Charlesa zabłyśły.

– W takim razie jest tylko jedna możliwość...

- „Odrobina miłości” - dokończyła za niego Mikki.

– Już tam byliśmy - powiedział Jack. - Nie chcecie zobaczyć innych lokali? W okolicy są trzy inne restauracje.

– Jackie i Cory nie byli u Jenny! - Mikki odwróciła się do braci. - Mają tam mnóstwo instrumentów muzycznych! Jest naprawdę super!

– Super - powtórzył jak echo Jackie.

Mikki uśmiechnęła się do brata.

– Chcesz odrobiny miłości, prawda, Jackie?

Malec zaczął podskakiwać.

– Odrobiny miłości! Odrobiny miłości! - Chwycił ojca za nogę. - Odrobiny miłości, odrobiny miłości!

– Tania sztuczka, Mikki - zauważył Cory.

– Jenna podaje najlepszy brunch w mieście - wtrącił swoje trzy grosze Charles. - Właśnie tam idę.

– Zgoda - odrzekł Jack tonem rezygnacji.

Jenna uśmiechnęła się na ich widok. Chociaż lokal był zatłoczony, powiedziała:

– Jest ładny stolik przy oknie. Będziecie mieli miły wiaterek. Chodźcie za mną.

Usadziła ich przy stole, podała kartę dań i przyniosła zamówione napoje.

– Czy Liam dziś pracuje? - spytała Mikki.

– Grilluje w kuchni. Zamienił się w kucharza.

– Umówiliśmy się, że dziś wieczorem przyjdę i zagramy parę kawałków.

Jack spojrział na nią.

– Umówiliście się?

Popatrzyła na niego spode łba i rzuciła ostro:

– Tak, umówiłam się! Nie zamierzam przesiedzieć całego lata w domu, pilnując Jackiego i Cory’ego.

– Nie musisz mnie pilnować - odparł Cory.

– Taak - dołączył się Jackie. - Ani mnie!

Jenna spojrzała na Jacka, wyczuła jego zmartwienie i powiedziała:

– Twój tata ciężko pracuje, żeby wytlumić pokój, ale jeszcze nie skończył. Wiem, że świetnie gracie, ale chciałabym mieć odrobinę ciszy dziś wieczorem. Zaczekaj, wpadnij koło ósmej. Pójdę na spacer plażą i nie będzie mnie jakąś godzinę. Co ty na to?

– Super, Jenno. Dziękuję.

Jenna spojrzała na Jacka.

– Twojemu tacie też to odpowiada?

– Taak - odparł wolno Jack.

– Gdzie twój kumpel z oddziałów Delta?

– Wybrał się na przejażdżkę swoim harleyem - odparł Cory.

– Ach! Powinien mieć się na bacności. Znam kilka samotnych kobiet w okolicy, które tylko na takich czekają.

– Tylko czekają! - wykrzyknął Jackie.

Kiedy Jenna odeszła, Jack pochylił się i szepnął córce:

– Czy ciebie i Liama łączy wyłącznie muzyka?

– Tato, daj spokój.

– Tylko zapytałem. - Odwrócił się do Charlesa. - Bonnie wpadła na chwilę z wizytą.

– Wspomniała mi o tym.

– Co mówiła?

– Powtórzyła, co jej powiedziałaś. Odrzekłem, że się z tobą zgadzam. Nie sędzę, żeby pragnęła to usłyszeć, ale trudno.

– Czego babcia nie chciała usłyszeć? - spytała Mikki, przysłuchując się ich rozmowie.

– Pogadamy o tym kiedy indziej, Mik - odpowiedział ojciec, spoglądając na chłopców. Po chwili dodał: - Fajnie było z babcią, Mik?

– Była bardziej wyluzowana niż w Arizonie - odparła Mikki. - Tam miała obsesję na punkcie władzy. Doprowadzała mnie do szaleństwa.

Jack odwrócił się do Pinckneya.

– Sprawdziłem latarnię którejs nocy.

– Tak? W jakim jest stanie?

– Nie najlepszym.

– Kiedyś była naprawdę wspaniała.

– Nie wątpię - odrzekł Jack. - Nie wątpię.

Kiedy po lunchu wracali do furgonetki, Charles spojrział na drugą stronę ulicy i zauważył:

– O wilku mowa.

Jack popatrzył we wskazaną stronę. Bonnie i Fred wchodzili właśnie do sklepu z upominkami. Mikki, która szła obok niego, powiedziała szeptem:

– O co chodziło z babcią, tato? Czemu tu przyjechała?

– Żeby przedstawić mi propozycję. - Mikki spojrziała na niego z zapartym tchem. - Zapropnowała, żebyśmy się przeprowadzili i zamieszkali razem z nią w Arizonie.

– Wykluczone! Chyba tego nie zrobisz?

– Nie, nie mam takiego zamiaru.

Mikki chciała coś powiedzieć, gdy nagle ujrzała Blake'a Saundersa idącego ulicą w towarzystwie dwóch muskularnych kolegów. Wszyscy mieli na sobie siatkowane koszulki z napisem „Liceum w Channing” na piersi.

– Cześć! - zawołała Mikki, a Jack spojrział na nią pytająco. - Poznałam go na plaży, kiedy ćwiczyłam - wyjaśniła. - Kilka razy wspólnie biegaliśmy.

– Dzięki za wyjaśnienie - odrzekł, przyglądając się badawczo Blake'owi. - Skądś cię znam.

Blake spojrział na niego z zakłopotaniem.

– Jechałem z dziewczyną samochodem, który omal nie zepchnął was z drogi.

– Ta dziewczyna to Tiffany - dodała Mikki. - Jest bardzo zamożna. Co za szok.

– Powiedziałem jej, żeby zwolniła, ale ona nikogo nie słucha.

– Byłabym gotowa się o to założyć - wtrąciła Mikki.

Blake odwrócił się do niej.

– Słuchaj, w przyszły piątek urządzamy małe przyjęcie na plaży. Może wpadniesz? Będzie żarcie, ognisko, pośpiewamy...

– I pewnie żadnego alkoholu - wtrącił Jack.

– Nie, proszę pana - odparł z miejsca Blake, choć jego koledzy uśmiechnęli się głupkowato.

– Oczywiście, oddzwoni do ciebie w tej sprawie - powiedział, chociaż Mikki zrobiła nachmurzoną minę.

– O dziewiątej wieczór. W połowie naszej trasy, tam gdzie stoi wielki żółty dom - dodał.

– Rozumiem.

– W porządku. Do zobaczenia.

Chłopcy odeszli.

– Co to miało być? - spytał Jack.

– Masz chłopaka? - zaciekawiał się Cory, spoglądając z uśmiechem na siostrę. - Myślałem, że spodobał ci się Liam.

Mikki poczerwieniała.

– Dajcie mi spokój!

– Ten chłopak nie nosi koleczyka w uchu, a w dodatku ma normalną fryzurę - zauważył Jack. - Nie jest w twoim typie. Na Boga, przecież to futbolista. Ty nienawidzisz takich.

– Kto ci to powiedział?

– Twoja mama. Śmiała się z tego do rozpuku, bo sama jednego poślubiła.

- Myślę, że sama potrafię zdecydować, jacy mężczyźni są w moim typie - rzuciła Mikki.
- Jestem twoim ojcem i nie podoba mi się...
- Patrz! Cudowny człowiek!

Jack odwrócił się, żeby zobaczyć, kto go woła.

- Tutaj, Cudaczku!

Jack ujrzał dwóch rosyjskich mężczyzn spoglądających na niego z kabiny furgonetki. Jeden z nich wytknął głowę na zewnątrz.

- Potrzebuję cudu! Nie pokropiłbyś mi głowy wodą?

Zamachał w powietrzu pięciodolarowym banknotem.

– Nie oczekuję cudów darmo. Dobrze zapłacę! - Obaj wybuchnęli śmiechem. Wyszli z samochodu i oparli się o niego, splatając łapska na potężnej klatce piersiowej. Byli ubrani w dżinsy, brudne T-shirty i usmolone bejsbolówki. Odkryte ramiona pokrywały tatuaże.

- Tato? - szepnął ostrożnie Cory.
- To nic, synku. Nie zwracaj na nich uwagi.

Minęli tamtych.

- Hej! Cudaczku, nie jesteśmy godni, żebyś rzucił na nas okiem?

Mikki odwróciła się i powiedziała:

- Dorośnijcie, głupki!
- Mikki - burknął Jack. - Nie zatrzymuj się!
- Taak, Mikki - powtórzył jeden z tamtych. - Po prostu idź, złociutka.

Jack zeszywniał. Niemal się odwrócił, ale były z nim dzieci i wiedział, że z konfrontacji nie wynikłoby nic dobrego.

- Wrócimy plażą... - powiedział dzieciom.
- Hej! Cudaczku! Czy to prawda, że twoja żona zdzira zdradzała cię z najlepszym kumplem? Czy dlatego zamartwychwstałeś?

Jack poruszył się tak szybko, że dłoń Cory'ego zamarła w powietrzu tam, gdzie przed chwilą trzymał rękę taty. Kiedy Jack ruszył ku nim, pierwszy z mężczyzn się zamachnął. Jack zrobił unik, chwycił go za rękę, wykręcił do tyłu i pchnął napastnika głową na samochód. Kiedy zakrwawiony mężczyzna się odwrócił i zaatakował Jacka, ten wykonał zwód i posłał go na ziemię potężnym uderzeniem w szczękę. Drugi grzmotnął go w plecy, pchając głową na uliczną latarnię. Jack wykonał obrót, wyswobodził się z uścisku i rąbnął tamtego w przepoń, tak że mężczyzna niemal złożył się wpół, a później podciął mu nogi. Cios wymierzony łokciem w kark posłał jęczącego z bólu napastnika na chodnik.

Jack stał pochylony i ciężko dyszał. Z głowy, którą uderzył w latarnię, spływała krew. Kiedy się wyprostował i rozejrzał wokół, miał wrażenie, jakby przypatrywało mu się całe Channing. Nikt się nie poruszył, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy i zauważył, że Jenna i Liam patrzą na niego z drzwi restauracji. Obejrzał się w lewo i dostrzegł, że Bonnie i Fred obserwują go ze zdumieniem z drzwi sklepu z upominkami. Bonnie spojrzała na Jacka, a później na nieprzytomnych zakrwawionych mężczyzn, by ponownie przesunąć wzrok na szwagra.

- Tatusiu! - Jack obejrzał się przez ramię. Jackie stał na chodniku i płakał.

Cory wpatrywał się w ojca z podziwem, a Mikki mierzyła pogardliwie dwóch mężczyzn leżących na chodniku.

- Idioci - rzuciła.

Jack wsadził dzieci do volkswagena i odjechali.

Jack siedział przy kuchennym stole z kostkami lodu w papierowym ręczniku przyłożonymi do lewego policzka. Na czole miał zakrzepłą krew od uderzenia w uliczną latarnię. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, podniósł głowę, spodziewając się policji.

– Starszy pan i pani - pisnął Jackie, kiedy udało mu się otworzyć drzwi.

Jenna i Charles weszli do środka. Jenna usiadła obok Jacka z małą torbą w ręku. Zaczęła wyjmować sterylne chusteczki, plastry, torebki z lodem i maść z antybiotykiem.

– Co tu robicie? - zapytał Jack.

Jenna odsunęła jego rękę od poranionej twarzy, oczyściła rany, nałożyła maść i zakleiła plastrami.

– Pomyśleliśmy, że może przydać ci się pomoc - wyjaśnił Charles.

– Ci dwaj idioci się przeliczyli - powiedziała Jenna. - Pewnie byli pijani.

– Znasz ich? - spytał Jack.

– Czasami przychodzą do baru, ale nie mogę powiedzieć, że bym ich znała.

– Są ze Sweat Town, Miasta Potu - dodał Charles.

Jenna zmarszczyła brwi.

– Nie lubię tego określenia.

– Faktycznie, nie jest zbyt miłe, ale sami mieszkańcy je wymyślili - odrzekł Charles.

– Co to za miejsce? - spytała Mikki.

– Dzielnica za torami - wyjaśnił Charles. - Biedna część miasta. Taką dzielnicę ma każde nadmorskie miasteczko. Żyje w nim większość ludzi, którzy tu pracują.

– To kompres lodowy - wyjaśniła Jenna. - Opuchlizna szybciej zniknie.

– Dzięki.

Zamknęła torbę, usiadła i przyjrzała się twarzy Jacka.

– W porządku, teraz powinno być dobrze.

– Zręcznie sobie poradziłaś - powiedziała Mikki.

– To standardowa procedura znana każdej matce.

Jackie zaczął podskakiwać, próbując dostać się do torby z lekarstwami. Uspokoił się, kiedy Jenna założyła mu plaster na palec i pocałowała.

– Teraz tobie też będzie lepiej. - Wyprostowała się i spojrzała na Jacka. - Widzę, że nie zapomniawszy wojskowego szkolenia. Ci dwaj nie należeli do cherlaków, a szybko sobie z nimi poradziłaś.

Jack się skrzywił.

– Głupio postąpiłem. Nie powinienem tego robić.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Sammy z motocyklowym kaskiem pod pachą.

– Miałem fajną przejażdżkę... - zaczął, ale spojrzał na Jacka i przerwał. - Co się stało, do licha? Spadłeś z drabiny?

– Tatusz się bił! - krzyknął Jackie. Chłopczyk kopnął nogą i tak mocno się zamachnął, że upadł.

– Bił się? Z kim? - zapytał Sammy.

Mikki i Cory zaczęli opowiadać Sammy'emu, co się stało. Twarz starszego mężczyzny spochmurniała. Gdy doszli do momentu, w którym jeden z mężczyzn obraził Lizzie, Sammy

podszedł do skrzynki z narzędziami i wyciągnął łom.

- Powiedz mi tylko, jak wyglądali i gdzie mogę znaleźć tych drani...
- Nie, Sammy - przerwał mu Jack.
- Nie puszczę tego płazem - warknął Sammy.
- Dam sobie radę.
- Myślisz, że jestem za stary, żeby sobie poradzić?
- Nie o to chodzi. Poradzisz sobie trudu, ale trafisz do więzienia.
- On ma rację, Sammy - przytaknął Charles. - Bez dwóch zdań.
- Ojej! - zawołał Jackie, który wyglądał przez okno na przednie podwórko.
- Co się stało, Jackie? - spytała Mikki.

Jackie wskazał drzwi i wytrzeszczył oczy.

- Gliny! - wyszeptał nieswoim głosem i popędził do pokoju obok, żeby się schować.

Jack spojrzał surowo na starsze dzieci.

- Gliny?! Gdzie się nauczył tak mówić?

Mikki wbiła wzrok w podłogę, a Cory spojrzał w sufit, przygryzając dolną wargę.

- Wspaniale - powiedział Jack, wstając, żeby otworzyć drzwi.

Szeryf przedstawił się jako Nathan Tammie. Było roslym mężczyzną o nieprzeniknionej poważnej twarzy i ciemnych kręconych włosach. Zapisał zeznanie Jacka i podrapał się w szczękę.

- Świadkowie mówili to samo, ale to ty ich zaatakowałeś.

– Został sprowokowany! Oni obrazili naszą mamę! - wykrzyknęła Mikki. - Co miał robić?!

– Szeryfie, Charles i ja byliśmy świadkami zajścia. Było dokładnie tak, jak powiedziała Mikki - dodała Jenna. - Sprowokowali go. Każdy na jego miejscu postąpiłby podobnie.

– Nie mówię, że postąpiłbym inaczej, Jenna, ale nie mogę pozwolić, żeby takie rzeczy działy się w mieście. Zapowiedziałem tamtym, żeby zostawili cię w spokoju. Oczekuję, że powściągnie pan gniew, panie Armstrong. Jeśli to się powtórzy, powie pan mnie, a ja załatwię sprawę. Rozumiemy się? Bo jeśli nie, to ktoś trafi do pudła.

- Rozumiem.

Kiedy szeryf wyszedł, Charles powiedział:

- To porządny facet, ale nie żartuje. - Spojrzał na Jennę. - Mogę cię odwiedzić do miasta.
- Zostanę jeszcze chwilę.

Nadaşany Sammy poszedł do innego pokoju, a dzieci zniknęły.

- Cudowny człowiek? - spytała, patrząc na niego pytająco.

Jack spojrzał jej w oczy, przykładając kompres do twarzy.

- To długa historia.
- Umiem słuchać.
- Doceniam to, Jenna, ale...

– Wiem, że się nie znamy. Wiem też, że trudno ci się otworzyć przed drugą osobą. Że tłumisz wszystko w środku.

- Porozmawiamy o tym, ale nie teraz.
- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać. - Wstała, żeby odejść.
- Jenna?

Odwróciła się i zauważyła, że ją obserwuje.

- Tak?
- Dziękuję, że przyjechałaś. To dla mnie wiele znaczy. Uśmiechnęła się.
- Zawsze do usług, choć mam nadzieję, że następnym razem nie będę musiała przywozić apteczki.

Obudził ich głośny huk. W domu zapaliły się światła.

Kiedy Jack i Sammy upewnili się, że dzieciom nic się nie stało, pobiegli sprawdzić resztę domu.

– Huk był taki, jakby wybuchła bomba albo zawalił się dom - powiedział Sammy.

Jack spojrzał na niego zagadkowo.

– Niech to szlag! - krzyknął po chwili i ruszył na tył domu.

– Jack! Co się stało?!

Sammy popędził za nim.

Jack przebiegi tylnie podwórko i skręcił w kierunku skał. Otworzył na oścież drzwi latarni i stanął jak wryty. Schody się zawaliły. Skierował snop światła ku górze. Drewniana konstrukcja wysokości pięćdziesięciu stóp runęła na ziemię.

Dołączył do niego Sammy.

– Do licha! Byłeś tu niedawno, prawda?

Jack skinął głową, nie odrywając oczu od zwalonych schodów. Teraz nie będzie mógł wejść na szczyt.

– Niewiele brakowało, chłopie.

Jack odwrócił się do niego.

– Muszę odbudować schody.

– Co?

– Jutro pojedziemy po materiały.

– Nie możemy pracować w kilku miejscach jednocześnie. Charles załatwił nam kolejne zamówienia. Pani Annę Bethune ma duży dom przy plaży. Chce, żeby zabudować jej werandę, i ma parę innych robót. To dobry grosz.

– Zrobię to po godzinach.

– Taak, w wolnym czasie.

– Muszę, Sammy.

Sammy spojrzał na stertę połamanych desek.

– To nie będzie tanie.

– Zapłacę z mojej części. Nie oczekuję, że się dołożysz.

Sammy zmarszczył brwi.

– Odkąd to mówimy o udziałach i nie pomagamy sobie wzajemnie?

– To inna sprawa, Sammy. Nie mogę tego od ciebie oczekiwać.

Sammy spojrzał na odręczny znak obok drzwi i powiedział cicho:

– Rano pomierzmy co trzeba i pojedziemy po materiały. Płatną robotę będziemy wykonywali za dnia, a latarnię zajmiemy się po godzinach. Zgoda?

– Zgoda - odrzekł Jack. Kiedy Duvall odwrócił się, by wrócić do domu, dodał: -
Dziękuję, Sammy.

Przyjaciel spojrzał na niego.

– Nigdy nie byłem żonaty, Jack, ale wiem, co to znaczy kogoś stracić. Szczególnie kogoś takiego jak Lizzie.

Ruszył dalej, a Jack odwrócił się, by spojrzeć na latarnię, którą zamierzał odbudować

– Na co to wszystko? - spytał Charles, kiedy Jack i Sammy załadowali do pełna skrzynię

furgonetki. Spojrzał na towar. - Widzę rusztowanie. Zamówiłeś tyle desek, jakbyś chciał zbudować arkę Noego.

- Mieliśmy mały wypadek w Pałacu - wyjaśnił Sammy, kiedy stało się jasne, że Jack nie zamierza odpowiadać na pytanie.

Charles spojrział na niego z niepokojem.

- Wypadek? Ktoś został ranny?

- Zawaliły się schody w latarni - dodał Jack. - Nikomu nic się nie stało.

- Zamierzasz je odbudować? - spytał wyraźnie skonsternowany Charles.

- Tak - odrzekł oschle Jack.

Sammy spojrział na Pinckneya i wzruszył ramionami.

- Przecież latarnia nie działa.

- Jack planuje ją naprawić - odpowiedział Sammy.

- W jakim celu? Nie figuruje już w krajowych mapach nawigacyjnych.

Jack skończył mocowanie towaru pasami, spojrział na Charlesa i podał mu kartkę papieru.

- Znalazłem schemat latarni. Byłbym wdzięczny, gdybyś sprawdził, czy można zamówić te części.

Charles przebiegł wzrokiem listę.

- To może zająć trochę czasu i nie będzie tanie.

Jack zaczął gramolić się do szoferki.

- Dziękuję.

Sammy spojrział bezradnie na Charlesa i wsiadł do samochodu.

Gdy wyjeżdżali z miasta, powiedział:

- Czy to nie Bonnie?

Jack spojrział w kierunku wskazanym przez przyjaciela. Faktycznie to była ona. Siedziała w samochodzie z młodszym mężczyzną w garniturze.

- Co za jeden? - zapytał Sammy.

- Nigdy go nie widziałem.

- Dziwna z niej kobieta.

- Taak. - Jack spojrział na Bonnie i ruszył dalej.

Wyładowali materiały na podwórku przed Pałacem.

Później Sammy wziął volkswagena i pojechał do Annę Bethune, żeby dowiedzieć się o prace, który mają wykonać w jej domu, a Jack wyruszył furgonetką do domu Jenny.

Powitała go w drzwiach. Miała na sobie podomkę i pantofle.

- Przepraszam za ten wygląd. W restauracji nie pracuje się od dziewiątej do siedemnastej, raczej od dziesiątej do północy. Chcesz kawy?

Jack się zawahał.

- Darmo - dodała z uśmiechem.

- W porządku, dziękuję.

Naląła, przyniosła mu do pokoju muzycznego i obserwowała, jak pracuje, montując nową ściankę działową.

- Widzę, że świetnie się znasz na tej robocie - zauważyła.

- To tylko ścianka działowa. Kiedy wiesz, co robić, to całkiem proste.

- Ja nie potrafię nawet zawiesić obrazka.

- Nie sądzę, żeby praca prawnika w Waszyngtonie była łatwa.

- To tylko słowa, prawniczy bełkot.

– Skoro tak mówisz.

Jenna pociągnęła łyk kawy, nie przestając go obserwować.

– Nasze dzieci lubią razem muzykować.

– Tak, Mikki mi o tym wspomniała.

– Pierwszy raz zauważyłam, żeby Liama ktoś tu zainteresował.

– To wspaniały chłopak. Nastrój Mikki też się poprawił, a to bezcenne.

Odłożył narzędzia i sięgnął po kubek.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Powinam się bać? - Spojrzała na niego z udawanym przerażeniem.

– Nie?

– W takim razie strzelaj.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad powtórny małżeństwem?

– Myślałam o tym. Jasne.

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że rozwiodłaś się dawno temu. Byłaś młoda, dobrze sytuowana, inteligentna i wykształcona. Do tego bardzo atrakcyjna.

– Mam cię zatrudnić jako swojego rzecznika prasowego?

– Mówię poważnie, Jenna.

Ostawiła kubek i zasłoniła nagie kolana podomką.

– Kilku mężczyzn było zainteresowanych stałym związkiem. Nawet tutaj, w Channing.

– Ale?

– Ale nie byli odpowiedni. Jestem gotowa zaczekać na „Pana Odpowiedniego”, szczególnie po ostatniej pomyłce.

Jack sięgnął ponownie po narzędzia.

– Lizzie i ja poznaliśmy się w przedostatniej klasie liceum. W tym roku obchodzilibyśmy osiemnastą rocznicę ślubu.

– Wygląda, jakbyś za pierwszym razem znalazł „Panią Odpowiednią”.

– Bo znalazłem - oparł szczerze.

– Pewnie dlatego strata jest tak bolesna.

– Tak, ale muszę wychować nasze dzieci. Muszę to zrobić jak należy. Dla Lizzie.

– I dla siebie, Jack. Ty również jesteś częścią tego równania.

– Tak, dla siebie - przytaknął. - Mam nadzieje, że znajdziesz swojego „Pana Odpowiedniego”.

– Ja również - odrzekła Jenna.

Sammy odwrócił się do Jacka i westchnął.

- Czas kończyć. Dochodzi północ.
- Idź spać. Muszę jeszcze zrobić kilka rzeczy.

Byli w latarni. Po przepracowaniu większej części dnia w domu Annę Bethune Sammy i Jack zjedli pospieszny obiad i harowali kolejne cztery godziny w latarni. Uprzątnęli deski zwalonych schodów i ustawili rusztowanie aż po górną platformę, którą także trzeba było naprawić. Nowe deski dostarczone ze sklepu Charlesa Pinckneya leżały na zewnątrz, przygotowane do wykorzystania.

- Pracujesz od szesnastu godzin, Jack. Potrzebujesz odpoczynku.
- Odpocznę, Sammy. Za pół godziny.

Sammy pokręcił głową, powiesił pas z narzędziami na niższym szczeblu rusztowania, rozprostował zbolały grzbiet i ruszył wolno w stronę Pałacu.

Jack dokręcił kilka śrub rusztowania, wdrapał się na górę i wszedł na pomost. Próbował sobie wyobrazić, o czym mała Lizzie myślała na szczycie latarni.

– Czy początkowo się bałaś, Lizzie? Czy myślałaś, że możesz spać? A może od pierwszej chwili pokochałaś to miejsce?

Spojrzał w ciemny ocean, czując na twarzy świeżą bryzę. Podniósł oczy, szukając miejsca, w którym mała Lizzie mogła wypatrywać nieba, gdzie przebywa jej siostra bliźniaczka.

A teraz także ty, Lizzie.

W dali na wodzie migotały światła statków. Zamknął oczy i przeniósł się myślami na skutny lodem cmentarz, na którym po Bożym Narodzeniu pochowali Lizzie. Była tam teraz sama, w ciemności.

– Nie rób tego, Jack - powiedział sobie. - Nie. Takie myśli nie przyniosą nic dobrego. Wspominaj ją taką, jaka była za życia, a nie po śmierci.

Spojrzał w prawo i ze zdumieniem ujrzał jakąś postać idącą plażą. Kiedy się zbliżyła, rozpoznał Jennę. Wolno kołysała sandałami trzymanymi w ręce, idąc wzdłuż linii wody. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Co robiła na plaży o tej porze?

Nagle podniosła głowę i ujrzała go w świetle księżyca. Pomachała mu i skierowała się w stronę skał.

- Pracujesz do późna! - zawołała.
- Właśnie skończyłem parę drobiazgów - odpowiedział. - Jestem zaskoczony, że cię tu widzę.

– Czasami spaceruję plażą po zamknięciu restauracji. W ten sposób się relaksuję. - Spojrzała na latarnię. - Słyszałam, że ją naprawiasz.

- Próbuję. - Przerwał, by po chwili dodać: - To musi wyglądać na wariactwo.
- Uważam, że to dobry pomysł - odrzekła, całkowicie go zaskakując.
- Dlaczego?

– Po prostu uważam, że to dobry pomysł. To wszystko. - Nic nie odpowiedział. - Nawiasem mówiąc, świetnie wyciszyłeś pokój Liama. Nic nie słyszę. Dzięki temu jakość mojego życia wzrosła o tysiąc procent. I nie będę musiała zabić własnego dziecka.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.
- Powinam już wracać.

Jack spojrział na ciemną plażę, którą przysła.

– Chcesz, żebym cię odprowadził? Zrobiło się ciemno.

– Nic mi nie będzie. To bezpieczna okolica, a ty wyglądasz, jakbyś musiał sobie jeszcze coś przemyśleć.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i odeszła. Wolno zszedł z rusztowania. Kiedy znalazł się na ziemi, minął drzwi, a później odwrócił się i spojrział na odręczny znak.

– Naprawię ją - powiedział. - Obiecałem ci, że zaświeci. Będziesz mogła spojrzeć z nieba i ją zobaczyć.

Może zobaczysz także mnie.

– Wspaniale! - powiedziała do siebie Mikki. Przyszła na piątkową wieczorną imprezę, na którą zaprosił ją Blake Saunders. Zjawili się sporo ludzi. Zauważyła Tiffany Murdoch brylującą przy dużym ognisku, które posyłało w niebo obłok iskier. Oprócz niej dostrzegła kilku rosnących chłopaków w futbolowych dresach i nastolatek w krótkich spódniczkach lub obcisłych sukienkach i ciasnych topach. Samochód firmy cateringowej stał zaparkowany przy drodze biegnącej obok plaży. Mikki, która przyniosła koc i torbę pianek żelowych, spojrzała ze zdumieniem na mężczyzn i kobiety w białych garniturach roznoszących tace z jedzeniem i drinkami wśród nastolatków bawiących się na plaży.

Blake zauważył ją i podszedł z jakąś butelką w rękę.

– Cześć! Cieszę, że przyszłaś!

– W życiu nie byłam na przyjęciu plażowym z cateringiem - powiedziała z dezaprobatą.

– Wiem. Ojciec Tiffany jest wielki fanem futbolu i co roku funduje przyjęcie.

– Dlatego Tiff tu przyszła?

– Taak. Jak zawsze w centrum uwagi. Prawdziwa królowa pszczoł.

– Pszczoły żądła - odparła Mikki.

– Co masz w torbie? - zapytał.

– Nic takiego - odrzekła, szybko chowając za siebie torbę z piankami.

Podniósł butelkę.

– Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

– To nie alkohol.

– Wierzę ci.

Cofną rękę zniechęcony.

– Dużo tu jedzenia i picia. Poczęstuj się i dołącz do nas.

Zostawił Mikki, podchodząc do stołów z jedzeniem i drinkami obsługiwanych przez innych kelnerów w białych marynarkach. Poprosiła o colę. Znużona kobieta o posiwiałych zlepionych w strąki włosach nalała jej coli do szklanki.

– Dziękuję - odpowiedziała Mikki.

Tamta spojrzała na nią ze zdumieniem.

– O co chodzi? - spytała Mikki. Kobieta popatrzyła na jej džinsy i T-shirt. - Zrobiłam coś złego?

– Nie jesteś z nimi? - spytała cicho kobieta.

– Nie, przyjechałam z Ohio na lato. Czemu pytasz?

– Podziękowałaś mi.

– Co w tym niezwykłego?

Kobieta spojrzała na uczestników przyjęcia.

– Niektórzy nie wymawiają tego słowa. Powiedziałaś, że przyjechałaś z Ohio? Jesteście z rodziny Cee Pinckney?

– Była moją prababką. Jestem Mikki.

– Miło cię poznać, Mikki. Pani Pinckney była prawdziwą damą. Szkoda, że umarła.

– Mieszkaś w Channing?

– Całe życie, ale nie w tej części, którą pokazują na pocztówkach.

– Co?
– Mieszkam w dzielnicy, do której nie zagląдают turyści. Nie stać nas na dom z pięknym widokiem na ocean.

– Mieszkasz w Sweat Town?
– Słyszałaś o nim?
– Ktoś mi powiedział. Przypomina mi to miejsce, w którym mieszkaliśmy w Cleveland.
Jak ci na imię?

– Znajomi mówią mi Fran.
– Miło było z tobą pogadać, Fran.
– Mnie też, kochana.

Kobieta odwróciła się, by obsłużyć kolejnego klienta.

Zakłopotana tym, co usłyszała od Fran, Mikki zaczęła krążyć między gośćmi. Wielu wyglądało na wstawionych. Chłopcy spoglądali na nią pożądliwie, a dziewczyny z jawną wrogością.

Czemu tu przyszłam?

– Kogo ja widzę?

Mikki jęknęła w duchu, zamknęła oczy, a następnie otworzyła je ponownie.

Przed nią stała Tiffany. Lekko kołysała się i trzymała plastikowy kubek w dłoni. Miała na sobie górę bikini z siatkowanego dżerseju, który ledwie zasłaniał piersi.

– Powiedz jeszcze raz, jak ci na imię?
– Mikki - wycedziła przez zaciśnięte zęby.
– Och! Jak myszka Mikki! - Tiffany zachichotała, spojrzała na innych i wykonała głęboki ukłon. - Ludzie, oto myszka Mikki! - Goście zarechotali. Zdenerwowany Blake podbiegł i objął nagą talię Tiffany.

– Chodźmy coś zjeść, Tiff.

– Nie jestem głodna - prychnęła Tiffany, robiąc nadęta minę. Mikki pomyślała, że używała tej metody, by dostać to, czego chciała. Wydymała wargi i zachowywała się jak dwulatka.

Mikki spojrzała na piwo i odwróciła głowę w stronę czerwonego kabrioletu Tiffany zaparkowanego obok samochodu firmy cateringowej.

– Mam nadzieję, że nie będziesz dziś prowadzić.
– Mogę robić, co zechcę - odparła Tiffany z buntowniczym uśmiechem na twarzy.

Blake pociągnął ją za ramię.

– Chodź, Tiff. Zjedzmy coś. Chyba nie chcesz ponownie wkurzyć ojca? Nie pamiętasz?
– Zamknij się! - warknęła. Spojrzała na Mikki. - Lubisz odgrywać dziwaczkę?
– W porządku, już wychodzę. - Mikki odwróciła się, żeby odejść.
– Hej! Do ciebie mówię!

Tiffany chwyciła ją za ramię. Ręce i nogi Mikki poruszyły się same. Dłoń zacisnęła się jak imadło na nadgarstku Tiffany. Wykręciła jej rękę za plecami, szarpnęła w górę, wsunęła stopę za jej nogi i mocno pchnęła w tył. Chwilę później Tiffany leżała z twarzą w piasku, z siatkowanym topem owiniętym wokół głowy.

Blake spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Jak to zrobiłaś?

Mikki popatrzyła na swoje dłonie i powiedziała:

– Tata... tata mnie nauczył.

Spojrzeli na Tiffany, która pluła piaskiem i płakała. Podeszli do nich inni ludzie.

– Zmiatam stąd - rzuciła spanikowanym głosem Mikki.

Odwróciła się, odepchnęła parę osób i wybiegła. Kiedy mijała Fran, kobieta mrugnęła do niej i uniosła łyżkę w milczącym pozdrowieniu.

Biegając plażą, wpadła na kogoś, kto wyłonił się z ciemności niczym duch.

– Liam?

Wysoki tyczkowaty Liam miał na sobie dres i nasunięty na głowę kaptur.

– Co tu robisz? - wydyszała.

– Spaceruję. A ty? - Spojrzał przez ramię na światła przyjęcia, które przed chwilą opuściła. - Byłaś na imprezie Tiffany? Tylko mi nie mów, że przeszłaś na ciemną stronę mocy - powiedział z uśmiechem.

– Pomyliłam się - przyznała Mikki.

– Jeśli ze mną pójdziesz, zaprowadzę cię na znacznie lepszą imprezę.

– Co?

– Ale ostrzegam, że nie korzystamy z usług firmy cateringowej.

– Skąd wiesz, że Tiffany zorganizowała imprezę z cateringiem?

– Mama obsługiwała ją kilka lat, zanim mała Tiffany zażądała podawania alkoholu. Wtedy powiedziała staremu Murdochowi, że może sobie wsadzić gdzieś swoją forszę.

– Dostała za swoje.

– Taak. Może uznasz to za zabawne, ale po tym incydencie przestali mnie zapraszać na te swoje wielkie przyjęcia. Dość gadania o zepsutych bogaczach. Chodźmy.

Ruszył przed siebie, a Mikki go dopędziła.

– Dokąd idziemy?

– Powiedziałem ci, na lepszą imprezę.

Fale rozbijały się o brzeg, tworząc powolne melodyjne tło dla kroków stawianych na twardym wilgotnym piasku. Niecałą milę dalej usłyszeli dźwięki i ujrzeli światła.

– To ta lepsza impreza? - zapytała.

– Tak.

Kiedy się zbliżyli, ich oczom ukazało się duże ognisko, którego płomienie sięgały nieba. Dziewczeta i chłopcy siedzieli przy ogniu, trzymając kije z zatkniętymi kiełbaskami. Mikki usłyszała dźwięk gitary i perkusji, śmiech i okrzyki wśród odgłosu fal. Kilka par się obściskowało, ale większość bawiła się razem i rozmawiała.

– Cześć, Liam! - zawołał jeden z chłopaków, kiedy podeszli. - Mieliśmy nadzieję, że przyjdiesz. Pieczemy kiełbaski. - Przyłączyli się do tłumu. Mikki zauważyła kilka futbolowych dresów, ale większość była ubrana w dżinsy i podkoszulki. Nie zauważyła żadnych markowych ciuchów. Chłopcy mieli na sobie sfatygowane ubrania, ale wyglądali dobrodusznie, a dziewczyny wydawały się nieśmiałe, nerwowo manipulując palcami przy włosach. Wszyscy witali Liama piątką, klepaniem po plecach lub przybiciem żółwika.

– Wiedzę, że jesteś tu popularny - zauważyła Mikki.

– Nie, faceci uważają, że moja mama jest super, a dziewczyny chcą roboty w naszej knajpie. Po prostu starają się mnie wykorzystać.

Mikki się roześmiała.

– Chodźcie do tej samej szkoły?

– Taak, ale większość mieszka w Sweat Town. Wolę ich od gości Tiffany z nadmorskich rezydencji. - Liam spojrział na dwóch chłopaków grających na gitarze i perkusji, a potem popatrzył na Mikki. - Chcesz, żeby temperatura przyjęcia się podniosła?

Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi.

– Zgoda.

Grali niemal trzydzieści minut przy wtórze braw i okrzyków.

Mikki zaśpiewała nawet fragment piosenki, nad którą pracowała. Widać im się spodobała, bo niektórzy nucili nawet fragmenty tekstu. Później Mikki chwyciła pałeczki perkusji i pokazała, że gra na tym instrumencie niemal równie dobrze jak na gitarze. Nawet Liam spojrział na nią z podziwem, kiedy zakończyła swoją solówkę.

– Kiedy zakładałam zespół, nauczyłam się grać na każdym instrumencie - wyjaśniła. - Może to dlatego, że lubię dyrygować innymi.

Później upiekli parę kiełbasek nad ogniskiem. Gdy ktoś puścił muzykę z przenośnego odtwarzacza CD, Liam zapytał:

– Chcesz spróbować tańca na piasku?

– Co to takiego?

– Nic skomplikowanego. Tańczysz bosy na plaży.

Uśmiechnęła się.

– Chyba dam radę.

Objął ją w talii, a ona oparła dłonie na jego ramionach. Zaczęli wolno wirować na plaży.

– To naprawdę super - powiedziała. - Dla stóp... - dodała szybko.

– Ja też to lubię - odparł z uśmiechem. - Dobrze, a teraz pora na dawną tradycję robienia aniołów na piasku...

– Pozwól mi zgadnąć. - Położyła się na plecach i zaczęła poruszać rękami i nogami.

Przyłączył się do niej chwilę później.

– Jestem pod wrażeniem. Mądra i piękna dziewczyna.

Muzyka grała dalej, a oni tańczyli coraz bliżej przytuleni.

– To naprawdę przyjemne, Liam.

– Tak.

Ujęła jego brodę.

– Mikki? - zapytał.

Pocałowała go i cofnęła się.

– Świetnie się bawiłam, Liam. Dzięki, że mnie zaprosiłeś.

– Kiedy tylko zechcesz. W przyszłym tygodniu pracuję w barze na dzienną zmianę.

Przyjdź, a dostaniesz darmo, co zechcesz.

– Jak to?

– Jestem kucharzem. Beze mnie nic nie wskórają.

Mikki się roześmiała.

– Chcesz, żebym odprowadził cię do domu? - spytał.

– Przyjechałam rowerem, który znalazłam w domu. Zostawiłam go na ulicy, niedaleko stąd.

– Ja też mam rower. Pojadę z tobą. To po drodze.

– Nie musisz.

– Wiem, ale chcę. - Przerwał zakłopotany. - Naprawdę.

– Dobrze - odparła cicho.

Odwiózł ją bezpiecznie do domu, pomachał na pożegnanie i odjechał.

Kiedy weszła do środka, ojciec zawołał do niej z ciemnego pokoju.

– Jak było? - zapytał.

Podeszła, mrużąc oczy w słabym świetle, żeby go zobaczyć. Leżał na kanapie i patrzył na nią

- O co ci chodzi?
- Dobrze się bawiłaś?
- Taak, tylko na innej imprezie.

Opowiedziała ojcu o swoim wieczorze.

- Wygląda, że dokonałaś właściwego wyboru.

Usiadła obok niego.

- Jak idzie praca w latarni? Spędzasz tam bardzo dużo czasu.

Spojrzał na nią.

- Wiem, że musi to dziwnie wyglądać.

– Nie, tato. No, może odrobinę - dodała z uśmiechem. - Powiedziałeś, że przyjechaliśmy tutaj, abyś mógł spędzać z nami więcej czasu. Pamiętasz? Wyszło na to, że ty i Sarniny pracujecie całymi dniami, a ja pilnuję Cory'ego i Jackiego.

Jack lekko zwiesił głowę, słysząc te słowa.

- Widzisz... sam nie wiem. To skomplikowana sprawa, Mikki. Naprawdę skomplikowana.

Mikki wstała.

- Taak, pewnie tak - mruknęła, nie kryjąc rozczarowania.
- Postaram się bardziej. Może zrobimy coś razem w najbliższy weekend?

Twarz Mikki się rozpromieniła.

- Co?
- Jeszcze nie wiem - odrzekł nieprzekonująco.

Dziewczyna posmutniała.

- Rozumiem. Jasne. Dobranoc.

Kiedy ruszyła po schodach, chciał za nią zawołać, ale zrezygnował i po prostu siedział w ciemności.

Żadne z nich nie zauważyło, że Sammy stoi w drzwiach sypialni, przysłuchując się rozmowie. Komandos Delty wszedł do swojego pokoju, sięgnął po komórkę i zadzwonił. Nadszedł czas na wezwanie posiłków.

Kilka dni później, gdy jak co rano biegała plażą, przyłączył się do niej Blake.

– Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co się stało na przyjęciu - powiedział szybko. - Tiff była wstawiona.

– Naprawdę?

– Zwykle nie jest taka nieznośna.

– Daj spokój, to pieprzony koszmar w stringach.

– Zgoda, może i tak. Gdzie wylądowałaś?

– Na innej imprezie na plaży.

– Jakiej?

– Liam Fontaine mnie zabrał. Byli tam głównie ludzie z dzielnicy, którą nazywacie Sweat Town. Słyszałaś o tym miejscu?

– Mieszkam w Sweat Town, Mikki.

Zatrzymała się ze zdumienia.

– Co?!

– Moja mama pracuje jako gospodyni u Murdocha.

– To czemu trzymasz z Tiffany?

– Przecież powiedziałem, że mama u nich pracuje.

– Dlatego musisz spełniać jej kaprysy?

Blake zaśmiał się nerwowo.

– Nie jestem jej chłopcem na posyłki. Po prostu czasami się bawimy.

Zaczęli ponownie biec.

– Szczęściarz z ciebie, ale to, z kim człowiek przestaje, dużo o nim mówi.

– Słuchaj, co w tym złego, że się z nią przyjaźnię? Chcesz powiedzieć, że biedni ludzie mogą przebywać jedynie w towarzystwie takich jak oni?

– Nie, tego nie powiedziałam.

– Mam przyjaciół w Sweat Town. Grywam z wieloma w piłkę. I chodzę z Tiffany. Ma fajne rzeczy, dobrze się razem bawimy. Co z tego?

– Słuchaj, rób, na co masz ochotę.

Tym razem Blake przestał biec i zmusił Mikki, żeby zrobiła to samo.

– To jak? Umówisz się ze mną?

– Czemu?

– Czemu? Bo cię lubię.

– Przecież mnie nie znasz.

– To dobry powód, żeby się spotkać. Będziemy mogli się lepiej poznać, ale jeśli nie jesteś zainteresowana, zapomnij o propozycji. Życzę miłego dnia. Przykro mi, że nie pasuję do twojego ideału. Może Liam bardziej się nada - rzucił i zaczął biec w drugą stronę.

– Zaczekaj!

Zatrzymał się, a ona podeszła do niego.

– Co chcesz robić na tej randce?

– Że jak?

– Masz jakiś plan, Blake. Chciałabym wiedzieć, co mi zaproponujesz. Nie chcę ponownie trafić między bogaczy i skopać komuś tyłka. - Po chwili dodała: - Chyba że Tiffany.

Właściwie sprawiłoby mi to frajdę.

– Wymyśliłem co innego. Znam pewne miejsce. Wieczorami gra tam muzyka. Nie na żywo, ale didżej jest naprawdę dobry. Pomyślałem, że moglibyśmy posłuchać kilku kawałków, potańczyć i zrelaksować się. To wszystko.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– W porządku. To brzmi nieźle, ale ograniczymy się do tańczenia i słuchania muzyki.

– Czemu? Spotykasz się z kimś?

– Nie, ale...

– Z Liamem?

– Nie twój interes - rzuciła gniewnie.

– W porządku, zgoda. Masz rację. Słuchaj, mam prawo jazdy. Mogę podjechać po ciebie jutro wieczorem około siódmej.

– Zapytam ojca, ale sądzę, że tak będzie dobrze.

– Dobra - odrzekł Blake. - Fajnie, że doszliśmy do porozumienia. Chcesz dokończyć bieg?

Uśmiechnęła się i pchnęła go na górkę piasku. Runął na plecy.

– Złap mnie, jeśli potrafisz! - zawołała, odbiegając ze śmiechem.

Zerwał się i ruszył za nią.

– Jestem głodny, Jack. Chodźmy już.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym przy jednej z ulicy Channing. Sammy spoglądał na restaurację Jenny, ale Jack nie miał ochoty się ruszyć.

– To nie jedyna restauracja w mieście, Sammy.

Sammy otworzył mu drzwi.

– Musisz się z tym uporać.

– Z czym?

– To fajna babka i próbuje się z tobą zaprzyjaźnić, ale ty nie chcesz zwrócić na nią uwagi, bo czujesz się winny wobec Lizzie.

– Nie wiem, o czym mówisz, do licha! Jestem dla niej miły!

– Wspaniale. Skoro tego chcesz. Mam zamiar coś zjeść. Możesz zostać w samochodzie.

Sammy trzasnął drzwiami i wszedł do restauracji.

Jack siedział w wozie nachmurzony, stukając palcami o kierownicę. W końcu wysiadł z furgonetki i poszedł do baru za Sammym. Jenny nie było przy stoliku hostessy, więc poszedł na tył sali i usiadł naprzeciw Sammy'ego. Przyjaciel podał mu menu.

– Pusty brzuch pomógł ci odzyskać zdrowy rozsądek? Jack wziął menu, spojrzął na spis potraw i położył kartę stole.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

– Niczego od ciebie nie chcę.

– Widzę, że coś nie daje ci spokoju.

– Kiedy ostatni raz bawiłeś się z Jackiem? Albo Corym? Albo zamieniłeś dwa słowa z Mikki?

– Słuchaj, gadałem z nią o tym ostatniej nocy.

– Wiem, słyszałem. Ale co to zmieniło? Pracujesz całymi dniami, a nocą zasuwasz w tej cholernej latarni. To nie jest zdrowe, Jack. Nie chcesz mieć w życiu żadnej frajdy?

Jack spojrzął twardo na przyjaciela.

– Czemu sądzisz, że na to zasługuję?

– Ledwie się wyrwałeś ze szponów śmierci. Po co? Żeby się zamartwiać do końca życia?

Jack sięgnął po menu.

– Zbyt upraszczasz sprawę.

– A ty nadmiernie ją komplikujesz. Masz dzieci, Jack. One cię potrzebują.

– Haruję całymi dniami, żeby je utrzymać.

– I to wszystko?

– O co ci chodzi?

– Tylko po to się zapracowujesz? Dla nich?

– Słuchaj, wiem, że nie jestem doskonałym ojcem.

Córka mi o tym przypomniała.

– Zrobiła to, bo jej na tobie zależy. Do licha, niedługo skończy szesnaście lat. Pewnie nie chce spędzać całych dni na pilnowaniu młodszych braci.

– Ostatniego wieczoru była na przyjęciu na plaży. Gra razem z Liamem.

– W porządku, przepraszam, że mi na tym zależy.

Słowa przyjaciela sprawiły, że gniew Jacka wyparował.

– Masz rację. Praca na utrzymanie rodziny to za mało, powinienem spędzać z nimi więcej czasu.

Sammy spojrział na niego z zaskoczeniem i ulgą.

– Alleluja! Może robota w latarni w końcu cię oświeciła!

– Co?

– Doznałeś cholernego olśnienia.

Ale Jack już go nie słuchał. Zaczął się zastanawiać nad czymś innym, co Sammy powiedział przed chwilą.

Niedługo skończy szesnaście lat.

Nagle przypomniał sobie datę. Datę jej urodzin. Już niedługo.

– Zdecydowaliście się?

Jack podniósł głowę i ujrzał kelnerkę stojącą obok stolika.

– Słucham?

Kobieta uśmiechnęła się i wskazała menu.

– To restauracja, a to menu. Pomyślałam, że chcecie zamówić coś do jedzenia.

– Zajmę się tymi dwoma, Sally. - Do stolika podeszła Jenna. - Mogą sprawiać kłopoty - dodała z nieśmiałym uśmiechem.

– W porządku, szefowo - powiedziała Sally i odeszła.

Sammy spojrział na nią i się uśmiechnął.

– Opowiedz mi o waszych specjach.

– Panie Duvall, wszystko w naszym menu jest specjalne, a pan większości już próbował.

– Co?! - Jack spojrział ze zdumieniem na Sammy'ego.

– W ciągu dnia bywam głodny - odrzekł defensywnie Duvall. - Nie muszę głodować jak ty.

– Co powiecie na nasze słynne kanapki z wieprzowiną z grilla ze smażoną cebulką i sałatką coleslaw?

Działa paskudnie na tętnice, ale gwarantuję, że umrzecie z uśmiechem na twarzy.

– Brzmi nieźle - odparł Sammy i spojrział na Jacka. - Prosimy o dwie porcje. Dopilnuj, żeby na jego kanapce była uśmiechnięta buźka, to znacznie poprawi mu nastrój. - Mrugnął porozumiewawczo do Jenny.

– Słuchaj, chciałam z tobą o czymś porozmawiać, Jack. Przekażę wasze zamówienie i zaraz wrócę.

Odeszła i zjawiała się minutę później, przysuwając krzesło do stolika.

– Przejdę do rzeczy. Twoja córka chciałaby u mnie pracować jako kelnerka, a ja chcę ją zatrudnić.

– Co? - zdziwił się Jack. - Nie powiedziała mi o tym.

– Chciała - wtrącił cierpko Sammy - ale nie było cię w domu.

Jack zignorował jego słowa i spojrział na Jennę.

– Chce być kelnerką?

– To uczciwa praca, a ja godziwie płacę.

Jack spojrział na Sammy'ego.

– Będę musiał znaleźć opiekunkę do chłopców.

– Już o tym pomyślałam. Pamiętasz Anne Bethune, u której pracowaliście? Prowadzi obóz letni w swoim domu przy plaży. Chłopcy mogą spędzać tam dzień. Będą się świetnie bawić.

– Poznałem Anne. Widziałem, jak wszystko zorganizowała - dodał Sammy. - Chłopakom

się u niej spodoba. Nie będą się nudzić.

– Właściwie nie znam tej kobiety.

– Jest dyrektorką miejscowej podstawówki, Jack - wyjaśniła Jenna. - Ma dwójkę własnych dzieci. Kiedy się tu przeprowadziłam, zapisałam Liama. Był zachwycony. Dodam, że Anne zatrudnia wykwalifikowany personel.

– W ten sposób Mikki będzie mogła pracować w ciągu dnia - dodał Sammy. - Zarobi sobie parę dolarów i będzie mogła wyjść z domu. Trochę pożyć.

– Do tego darmowe jedzenie - przypomniała Jenna. - Myślę, że to rozwiązanie będzie dla niej idealne.

– Ile kosztuje letni obóz?

– To najbardziej interesująca część - powiedział Sammy. - Wykonuję dla niej kilka prac na boku. W zamian Anne zgodziła się wziąć chłopców.

– Nie musiałeś tego robić, Sammy.

– Jasne, że nie musiałem. Chłopcy też potrzebują trochę frajdy.

Jack spojrział na Jennę i Sammy'ego.

– Czemu mam wrażenie, że wszystko ukartowaliście?

– Masz choć jeden argument, żeby tego nie zrobić? - prychnął Sammy.

– Szczerze mówiąc, nie. To świetny pomysł.

– Zatem w czym problem?

Jack dłuższą chwilę wpatrywał się w oczy Sammy'ego, by w końcu odwrócić wzrok.

– W porządku, zgoda.

Sammy grzmotnął dłonią w blat.

– A widzisz! To nie było takie trudne, prawda? Jenna, mogłabyś dodać dwa piwa do naszego zamówienia? Powinniśmy to uczcić.

Kiedy Jenna odeszła, żeby przekazać zamówienie, Jack udał, że idzie do ubikacji. Zamiast tego poszedł za nią.

– Mógłbym z tobą o coś pogadać?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Wszystko w porządku?

– Tak - odparł szybko. - Chciałem cię o coś poprosić.

– Słuchaj, wiem, że wygląda, jakbyśmy się zmówili w sprawie letniego obozu i pracy

Mikki, ale...

Uśmiechnął się.

– Jestem ci wdzięczny za to, co robisz.

– Podziękuj Sammy'emu. To był jego pomysł. Masz dobrego przyjaciela.

– Racja. - Spojrział na nią. - Ty też nim jesteś.

Jego słowa ją zaskoczyły.

– Ja tylko... Nie żebym...

Przerwała w pół zdania i odwróciła wzrok z rumieńcem.

– Wiem, że byłem wobec ciebie oschły... Przepraszam - wydusił z siebie.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Nie musisz przeproszać. Nie zrobiłeś nic złego. O co chciałeś poprosić?

– Nie chciałbym mówić o tym teraz. Kiedy byłaby odpowiednia pora?

– Mogę się stąd urwać około dziewiątej wieczór.

– Przyjadę i odwiozę cię do domu.

- Świetnie. Liam ma prawo jazdy. Może odprowadzić wóz.
- Zatem do zobaczenia.

W lokalu było tłoczno. Blake i Mikki zajęli miejsce przy parkiecie, a goście tańczyli w rytm głośnej muzyki. Kupili w barze colę i usiedli, żeby słuchać i obserwować.

– Pięknie wyglądasz - zauważył Blake.

Mikki włożyła dżinsowe szorty, japonki, białą bluzkę bez rękawów i kolczyki, które matka podarowała jej na czternaste urodziny. Włosy związała w kucyk. Zmyła zieloną farbę i miała teraz długie kasztanowe gęste włosy. Była opalona, a jej twarz lśniła.

Blake miał na sobie dżinsy i starą koszulę z podwiniętymi rękawami.

Spojrzała na niego.

– Ty też nieźle się prezentujesz.

Zaśmiał się.

– Dzięki. Zatańczysz?

– Zgoda.

Weszli na pakiet i tańczyli pół godziny, spoceni i zdyszani, otoczeni innymi gośćmi. Po kilku godzinach lokal zaczął pustoszeć.

– Przejdziemy się plażą? - spytał Blake. - Ładna dziś noc.

– Zgoda, ale pamiętaj, co zrobiłam Tiffany. - Podniosła dłonie, przyjmując pozycję wschodnich sztuk walki.

– Nie zamierzam z tobą zadzierać - powiedział ze śmiechem Blake. - Ani z twoim tatą.

Ruszyli plażą. Mikki zdjęła klapki i niosła je w ręce. Wolną ręką dotknęła dłoni Blake'a, a on oplótł ją palcami. W pierwszej chwili się cofnęła, ale sekundę później trzymali się za ręce.

Dotarli do samotnej części plaży, gdzie wysokie wydmy porastała gęsta roślinność.

– Lepiej wracajmy - powiedział Blake.

– Zgoda.

Odwrócił się do niej.

– To był miły wieczór - rzekła, spoglądając na niego.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Większość dziewczyn łatwo przejrzeć, ale ty jesteś inna.

– Często to słyszę.

Uśmiechnął się i ujął jej twarz w dłonie, przysuwając głowę do jej głowy.

Odsunęła się.

Spojrzał na nią z irytacją.

– Co w tym złego? Nigdy się nie całowałaś?

– Skądże - zaprzeczyła gorąco. - Mam prawie szesnaście lat.

– To w czym problem?

– Nie ma problemu. - Chwyciła go za szyję i pocałowała. Kiedy się rozdzielili, wykrzyknął:

– Wow! To było naprawdę super!

Mina Mikki wskazywała, że pocałunek nie wywarł na niej równie silnego wrażenia. Właściwie sprawiała wrażenie, jakby czuła się winna.

– Wracajmy - rzuciła pośpiesznie.

Przeszli zaledwie kilka stóp, kiedy Blake wyszeptał:

– Co to było?

Odwrócił się i spojrzał w kierunku wydmy.

– Co to? - spytała Mikki.

Dziwny dźwięk rozległ się ponownie. Jakby coś się poruszyło na wydmach.

– Słyszałeś? - Mikki zacisnęła palce wokół nadgarstka Blake'a.

– Może to pies albo kot?

Usłyszeli kolejny dźwięk.

– To nie pies ani kot. Słyszę rozmowę. Chodźmy stąd, Blake.

– Zaczekaj, to dziwna sprawa. Myślę, że rozpoznałem głos. Dukie? Dukie? To ty? - zawołał.

– Kto to Dukie?

– Lewy obrońca naszej drużyny. Duży i głupi. Nie mam pojęcia, co tu robi. - Rozejrzał się. - Poczekaj, za chwilę wrócę.

– Nie idź tam, Blake.

– Zaczekaj, zaraz wrócę.

Zaczął biec w stronę wydmy i szybko zniknął w ciemności. Mikki stała sama, rozglądając się z niepokojem. Tej nocy na niebie nie było księżycy i trudno było stwierdzić, gdzie kończy się woda, a zaczyna ląd.

– Blake? - wyszeptała chropawym głosem, idąc w kierunku wydmy. - Blake?

Nagle chwyciły ją czyjeś ręce. Próbowwała krzyknąć, ale silna dłoń zasłoniła jej usta. Z przerażenia rozejrzała się wokół i spostrzegła, że ludzie wokół niej mają na twarzach ponure maski halloweenowe.

Ktoś zakleił jej usta taśmą. Inny związał ręce za plecami. Szarpnęła się i upadła. Ręce przycisnęły ją do ziemi. Ktoś zasłonił jej oczy i poczuła, że opryskują czymś jej ubranie. Nie przestawała się szarpać i próbować krzyczeć. Na twarzy błysnęły łzy.

Usłyszała krzyk, a po nim głośnie stęknienie.

Człowiek, który ją trzymał, upadł na ziemię. Napastnicy się cofnęli. Mikki usiadła, rozglądając się dookoła. Kiedy skupiła wzrok, zobaczyła, że Liam uderza jednego z zamaskowanych osobników. Chłopak runął na piasek. Ktoś skoczył Liamowi na plecy, ale ten się odwrócił i zrzucił go z siebie. Gdy upadł, maska się zsunęła i Mikki ujrzała Tiffany Murdoch. Zdołała zerwać sznur z rąk i odkleić taśmę, gdy kolejna zamaskowana postać skoczyła na Liama i powaliła go na ziemię. Chwilę później przygnietli go dwaj kolejni. Inny brutalnie odepchnął tamtych i usiadł okrakiem na Liamie. Mikki skoczyła na niego, szarpnęła jego głowę do tyłu i rozorała twarz paznokciami.

Krzyknął i ją odepchnął. Kiedy skoczył na nogi, jego maska się przekrzywiła. Mikki usiadła na piasku i spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Blake?

Chłopak potarł ślady zadrapań na twarzy, odwrócił się i uciekł. Mikki ujrzała, jak chwyciła dłoń Tiffany i uciekają w kierunku wydmy. Odwróciła wzrok w samą porę, by zobaczyć, że ostatni z napastników kopie Liama w brzuch. Chwyciła w dłoń garść piasku, skoczyła na nogi, zerwała mu maskę i sypnęła piaskiem w oczy. Tamten krzyknął i zaczął podskakiwać, trzymając się za oczy. Pchnęła go w tył, aż przewrócił się na ziemię. Po chwili podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem za pozostałymi.

Mikki podbiegła do Liama. Leżał z twarzą w piasku, trzymając się za brzuch.

– Boże! Liam, nic ci nie jest?

Powoli usiadł, ciężko dysząc. Otrzepał z piasku twarz i ubranie.

– Wow! Naprawdę umiesz się bawić - powiedział ze słabym uśmiechem.

– Co tu robisz? - spytała.

– Niedawno skończyłem robotę. Poszedłem na spacer, żeby się zrelaksować przed powrotem do domu. Później usłyszałem jakieś dziwne dźwięki i zobaczyłem ludzi za wydumą. Wtedy zjawiliście się wy dwoje. Gdy na ciebie skoczyli, wkroczyłem do akcji.

– Obserwowałeś nas? Widziałeś...?

– To nic wielkiego. Cieszę się, że nic ci nie jest. - Podniósł się energicznie. - Chodź, odwiozę cię do domu.

Mikki się nie poruszyła.

– Przepraszam, Liam.

– Za co?

– Z tobą było sto razy lepiej.

Spojrzał w ziemię, zaciskając palce, jakby szukał pociechy, której dostarczały mu niewidzialne pałeczki perkusji.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

Wstała.

– Byłeś bardzo dzielny. Uratowałeś mnie.

– To dranie. - Spojrzał na nią i wziął szybki oddech. - Niech to szlag!

– Co?

– Twoje włosy i ubranie.

Spojrzała na swoje rzeczy. Ubranie i odsłoniętą skórę pokrywała farba rozpylona sprayem. Dotknęła włosów. Były lepkie i skołtunione, a cuchnęły jak zepsute jaja.

– Idioci - powiedziała. Spojrzał w kierunku wydm. - Blake był razem z nimi. Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia.

– Umówiłaś się z nim na randkę? Super. Facet jest rozgrywającym, poza tym nie wygląda najgorzej.

– Popełniłam błąd - powiedziała, chwytając go za ramię. - Z wielu powodów. Blake mnie wystawił. Pewnie dlatego, że dołożyłam Tiffany podczas przyjęcia na plaży.

Liam spojrzał na nią zszokowany.

– Dołożyłaś Tiffany? Nie powiedziałaś mi.

– Zasłużyła sobie.

Liam się roześmiał, a następnie złapał za żebra.

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest? - spytała zatroskana i objęła go w pasie, aby mu pomóc.

Spojrzeli na siebie, gdy ich ciała się zetknęły.

– Strasznie wyglądam, Liam - powiedziała.

– Nie, jesteś piękna.

Mikki stanęła na palcach, a wysoki Liam pochylił się nad nią. Tym razem całowali się dłużej niż za pierwszym razem.

Kiedy odsunęli się od siebie i otworzyli oczy, spojrzała na jego ciemne ubranie, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jesteś moim rycerzem w czarnej lśniącej zbroi i butach pionierkach.

Dotknął jej policzka.

– A ty moim pięknym dziewczęciem z ognistoczerwonym paskudztwem we włosach.
– Liam, nie możemy powiedzieć o tym naszym rodzicom. Ojciec dopadłby każdego z nich i wylądował w więzieniu.

– A twoje ubranie i włosy?

– Umyję się, a później zakradnę się chyłkiem do domu.

– Nie odpłacimy Tiffany i jej kumplom? - zapytał.

– Och! Tego nie powiedziałam. Odpłacimy im, ale nie teraz i nie w tak głupi sposób.

– Jak?

– Zobaczysz.

Usiadła w wodzie i zaczęła się szorować.

Kiedy punktualnie o dziewiętej Jenna wyszła z restauracji, Jack już na nią czekał. Wsiadła do volkswagena i ruszyli.

- Kultowa bryka - zauważyła.
- To wóz Sammy'ego. Lubi majstrować przy samochodach.
- Nie tylko przy nich.

Spojrzał na nią.

- To znaczy?
- To znaczy, że on i Anne Bethune spotykają się ze sobą.
- Co? Czemu dowiaduję się o wszystkim ostatni?

Ścisnęła mu ramię.

– Musisz częściej wychodzić, mój drogi.

– Kiedy to się zaczęło?

– W chwili gdy na siebie spojrzeli. Tak twierdzi Anne. Ścisłe mówiąc, wtedy gdy załatwiłeś tych facetów. Pojechali na przejażdżkę harleyem. - Jenna pochyliła się, zdjęła pantofle i zaczęła masować stopy. - Przepraszam, ale po dziesięciu godzinach pracy dają mi się we znaki. - Opuściła szybę i zaczerpnęła świeżego wieczornego powietrza. - Boże, pamiętam, że chłopak, z którym spotykałam się w college'u, miał harleya. Któregoś dnia, gdy Liam został z moją mamą, przejechaliśmy całe Blue Ridge Parkway. Miałam fantastyczny ubaw.

- Często zostawiałaś Liama?

Podniosła szybę i wyprostowała się.

– Prawie wcale. Uczyłam się w college'u niedaleko domu, żeby nie musieć się przeprowadzać. Mama się rozwiodła i prowadziła firmę w domu. Mogła pilnować Liama, kiedy chodziłam na zajęcia lub pracowałam.

- Pracowałaś?

– Gdybym nie pracowała, nie mogłabym zapłacić za szkołę. W naszej okolicy nie mieszkali zamożni ludzie. Wiedziałam, że chcę pójść do college'u, a potem do szkoły prawniczej. Później miałam pracować w dużej firmie, w dużym mieście.

- Wygląda, że wszystko sobie zaplanowałaś.

– Cóż, Liama nie było jeszcze wtedy na świecie. Po prostu mi się przydarzył. Dwoje głupich nastolatków. - Jej twarz spoważniała. - Choć nie mam wątpliwości, że ten chłopak jest najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała. Nie wiem, gdzie bym się znajdowała bez niego. To wspaniały dzieciak. Mam wrażenie, że on i Mikki naprawdę się polubili. Kiedy mu powiedziałam, że Mikki będzie u nas pracowała, oszalał ze szczęścia.

- Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać. O Liamie.

- To znaczy.

Jack przedstawił jej swój plan.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, kiedy skończył.

– W porządku, to wspaniale brzmi. Jestem z ciebie naprawdę dumna, tatusiu. W zamian musisz coś dla mnie zrobić.

Spojrzał na nią nieufnie.

- Co?

– Zabierzesz mnie na przejażdżkę harleyem?

Kiedy dotarli do Pałacu, Jack poprosił Sammy'ego o zgodę i uruchomił motocykl. Jenna usiadła za nim i ruszyli długą drogą wijącą się wzdłuż wybrzeża oceanu. Kiedy wiatr owionął ich twarze, Jenna zawołała:

– To przywołuje mnóstwo wspomnień!

– Dobrze się bawisz?!

– Przecież wiesz! - Ścisnęła go mocno w pasie, kiedy pochylali się, biorąc zakręt za zakrętem. Po trzydziestu minutach odwiózł ją do domu.

– Liam jeszcze nie wrócił. Chciałbyś wpaść na herbatę, kawę albo coś mocniejszego?

Usiedli na tylnej werandzie, popijając chardonnay. Po zapoznaniu się ze szczegółami planu Jacka powiedziała:

– Jak tam robota w latarni?

Odstawił kieliszek.

– Dobrze. Schody są prawie gotowe, a Charles znalazł części, dzięki którym będę mógł naprawić urządzenie.

– Założę się, że widok będzie imponujący.

– Jestem podobnego zdania - odrzekł Jack nieobecny głosem.

– Czemu mam wrażenie, że robisz to z innego powodu?

Spojrzał na nią uważnie.

– Naprawiam rzeczy. Taką mam pracę.

– Czasami nie można tego zrobić przy użyciu młotka i planów.

Dopił wino.

– Lepiej już pójdę - powiedział, podnosząc się.

– Jack?

– Słucham?

– Daj mi znać, kiedy latarnia zaświeci - poprosiła głosem pełnym entuzjazmu. - Naprawdę chciałabym to zobaczyć!

– Nie zapomnę, Jenno - obiecał, ujęty jej szczerością.

– Dziękuję za przejażdżkę. Dawno się tak dobrze nie bawiłam.

– Ja również - odparł, zanim zdał sobie z tego sprawę.

Następnego ranka przy śniadaniu Jack powiedział:

- Nie słyszałam kiedy przyszedłeś ostatniej nocy, Mik.
- Wcześniej wróciłam - skłamała, nalewając sobie szklanekę soku pomarańczowego.
- Jak tam randka?
- W porządku, ale nie pasujemy do siebie.
- Zdarza się.
- Taak. Słuchaj tato, dzisiaj jadę do miasta.
- Po co?
- Mam do załatwienia parę spraw. Liam mnie zawiezie.
- Kiedy rozpoczynasz pracę w restauracji?
- Jutro. Kiedy Cory i Jackie zaczną chodzić na zajęcia letniego obozu.
- Słuchaj, mogłaś mi o tym powiedzieć.

Oparła dłoń na biodrze i rzekła zadziornie:

- Mogłam? Naprawdę, tato?

Odwrócił wzrok.

- Jak się dostaniesz do miasta? Może cię podwieźć?

- Już mówiłam, Liam po mnie przyjedzie.

– Słuchaj, Mikki, chcę, żebyś potrafiła ze mną rozmawiać. Bez tego nie odniesiemy sukcesu jako ojciec i córka.

- Naprawdę ci na tym zależy?

- Tak.

– Zaczniemy od tego, że byłoby miło, gdybyś przestał pracować całymi dniami i łązić nocą do latarni.

- Prawie skończyłem.

- W porządku, tato. Jak chcesz. Pogadamy, kiedy ją uruchomisz.

Kiedy wyszła na ulicę, Liam czekał już na nią w samochodzie.

Uśmiechnął się do niej.

– Kiedy dziś rano zadzwoniłaś i przedstawiłaś swój plan, byłem naprawdę zaintrygowany. Teraz nie mogę się doczekać.

- To dobrze, bo ja również.

Zaparkowali w centrum Channing przed teatrem. Przy krawężniku stało kilka wozów, wśród nich czerwony kabriolet Tiffany. Na markizie widniał napis „Dzisiejszego dnia przyjmujemy zgłoszenia na konkurs talentów”.

Mikki się uśmiechnęła.

- Kiedy ostatniego wieczoru mijałam ten znak, nie wzbudził we mnie żadnych emocji.

Wiesz, kogo to wszystko obchodzi, ale dziś... nie wyobrażam sobie lepszej chwili.

- Zróbmy to - powiedział Liam.

Weszli do holu i ustawili się w kolejce do długiego stołu, za którym siedziało kilka pięknie uczesanych pań w eleganckich sukienkach kosztujących pewnie więcej od niejednego samochodu. Wydawało się, że przewodzi im atrakcyjna blondynka w obcisłej sukience.

- Niech zgadnę - szepnęła do Liama, wskazując babkę. - To mama Tiffany?

Liam skinął głową.

- Jak się domyśliłaś?
- Postarzyłam Tiffany o dwadzieścia pięć lat.
- To Chelsea Murdoch. Mama powiedziała kiedyś, że jest gorsza od córki.
- Ooo! Muszę zadrzeć z tą panią!

Kiedy dotarli do stołu, Chelsea Murdoch spojrzała na nich tak wyniośle, że Mikki miała ochotę zdzielić ją w twarz.

- Słucham?
- Chcielibyśmy wziąć udział w konkursie - zagaiła uprzejmie Mikki.

Murdoch spojrzała z zakłopotaniem na Liama.

- Razem?
- Tak, razem.
- Jesteś Liam Fontaine, prawda? - zapytała.
- Jeden jedyny.

Kobieta uśmiechnęła się znacząco i przesunęła wzrok na Mikki.

- A ty?
- Michelle Armstrong. Przyjechaliśmy z Cleveland na lato.

Kobieta sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Z Cleveland?
- Tak, to największe miasto w Ohio. Nie słyszała pani? - zapytała niewinnie Mikki.

– Nie, nigdy mnie to nie interesowało - odrzekła oschle, a następnie nachyliła się do kobiety siedzącej obok niej i zachichotała. Po chwili podsunęła im papiery. - Wypełnicie to. Opłata wynosi dziesięć dolarów. Co chcecie zaprezentować?

- Zagramy utwór - odparła Mikki. - Utwór na perkusję, keyboard i gitarę.

Murdoch zmierzyła ich chłodnym wzrokiem.

- Ambitnie.
- Mam nadzieję - odrzekła słodko Mikki. - Jestem przekonana, że konkurencja będzie silna.

– Faktycznie. Pewna młoda dama wygrała konkurs trzy lata z rzędu i myśli o zrobieniu tego po raz czwarty.

- Tiffany?
- Tak, to moja córka.
- Domyśliłam się, że wygrała trzy razy z rzędu.
- Jak?

Mikki wskazała potężny transparent wiszący na ścianie, na którym widniało duże zdjęcie Tiffany trzymającej w ręku trzy nagrody. Nad jej głową widniał napis „Potrójna korona” wykonany przy użyciu szablonu.

- Można to uznać za podpowiedź.

Mikki odwzajemniła uśmiechem grymas niezadowolenia, który pojawił się na twarzy Murdoch.

– Wrzućcie wypełnione formularze do tej skrzynki i wnieście opłatę u pani w niebieskiej sukience - burknęła.

– Rozumiem. Dziękujemy za pomoc, pani Murdoch - odrzekła Mikki uprzejmym głosem uczennicy.

Odchodząc, czuła, jak odprowadza ją przenikliwy wzrok pani Murdoch. Wypełniła formularz, wrzuciła go do skrzynki i przekazała pieniądze kobiecie w niebieskiej sukience.

– W porządku, pierwszy krok mamy za sobą - powiedział Liam.

– Teraz drugi.

Tiffany i jej przyjaciele przed chwilą weszli do holu teatru.

Kiedy Mikki do nich podeszła, Tiffany zeszywniała.

– Cześć, Tiff!

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdumieniem i przesunęła wzrok na przyjaciół, by ponownie zatrzymać go na Mikki.

– Cześć - odrzekła chłodnym głosem.

– Chciałam ci podziękować za wspaniałą zabawę na plaży. To były niezapomniane chwile.

Tiffany prychnęła, a jej koleżanki zachichotały.

– W porządku. - Wyszczерzyła zęby w uśmiechu.

Mikki przysunęła się bliżej.

– Żeby wyrównać rachunki, skopię ci tyłek na konkursie talentów.

Z twarzy Tiffany zniknął uśmiech, a jej przyjaciele przestali się śmiać.

Mikki przysunęła się ciut dalej.

– Jeszcze jedno, jeśli tkniesz mnie ponownie choćby jednym palcem, nie będą mogli znaleźć wszystkich części, żeby cię poskładać, skarbie. - Podświadomie użyła tego samej groźby, którą podsłuchiwała u ojca w Cleveland.

Tiffany zamrużyła powiekami i cofnęła się o krok.

– Myślisz, że jesteś taka twarda?

Mikki przysunęła do niej twarz.

– Jestem z Cleveland. Tam to konieczność.

Kiedy wyszli na zewnątrz i mijali czerwony kabriolet Tiffany, Liam rozejrzał się wokół, żeby zobaczyć, czy nikt nie patrzy, a następnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął białą tubkę.

Udając, że podnosi coś z chodnika, wycisnął przezroczystą niewidoczną substancję na skórzany fotel kierowcy.

– Co to takiego? - spytała Mikki.

– Po tym co ci zrobili, zasłużyła na super glue.

– Liam, lubię twój styl.

– Co tam knujecie? - Jenna weszła do kuchni „Odrobiny miłości” i zauważyła, że Liam i Mikki korzystają z przerwy, aby omówić coś w kącie.

– Nic, mam - zaprzeczył Liam głosem niewiniątka.

– Synku, zapomniałeś, że byłam prawnikiem. Mam czuły wykrywacz kłamstw.

Zrobił zmieszaną minę i spojrzał na Mikki.

– Chcesz jej powiedzieć?

– Postanowiliśmy wziąć udział w konkursie talentów. Zagramy coś razem - wyjaśniła Mikki.

– Wspaniale, tylko po co trzymać to w sekrecie?

– Zmierzymy się z Tiffany, a jej rodzina liczy się w mieście - odpowiedział Liam. - Nie chcemy, żeby wygrała czwarty raz z rzędu. Murdoch może z tobą zadrzeć.

– Niech spróbuje, nie sądzę, żeby coś wskórali. „Odrobina miłości” pozostanie w tym mieście. - Spojrzała na nich z zaciekawieniem. - Czemu nagle zaczęło wam tak zależeć na pokonaniu Tiffany Murdoch?

Liam i Mikki spojrzeli na siebie.

Czując, że zataili przed nią coś ważnego, Jenna powiedziała:

– W porządku, mówię do was obojga. Tak się składa, że jestem tu szefem. Chcę prawdy, i to już!

Opowiedzieli jej, co wydarzyło się na plaży.

Kiedy skończyli, twarz Jenny spochmurniała.

– To była czynna napaść na ciebie, Mikki. I na ciebie, Liam. Mogli zrobić wam krzywdę.

– Nie stało się nic wielkiego, mam - powiedział Liam.

– Przeciwnie. Powinni ponieść karę, inaczej mogą to zrobić ponownie.

– Mam, proszę, niczego nie rób. Chcemy to załatwić po swojemu.

– Jeśli mój tata się dowie, dorwie ich i trafi do więzienia - dodała Mikki. - Znam go. Jest nadmiernie opiekuńczy. To tylko nastolatki, a on jest byłym komandosem. Widziałaś, jak załatwił dwóch wielkich facetów. Kiedy trzeba, potrafi zamienić się w bestię. Szeryf już go upomniał. Proszę, nie mów mu o tym. Bardzo cię proszę.

W końcu twarz Jenny się rozpuściła.

– Zgoda. Rozumiem twoje argumenty. Czy tata wie, że zamierzasz wziąć udział w konkursie talentów?

– Jeszcze nie.

– Myślę, że im wcześniej się o tym dowie, tym lepiej.

Mikki spojrzała na nią.

– Mogłabyś mu powiedzieć?

– Ja? Dlaczego?

– Byłoby lepiej, gdyby dowiedział się o tym od kogoś innego. Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko, ale ostatnio wydaje się jakiś zaabsorbowany. Poza tym już się zapisaliśmy. Nie mogę się teraz wycofać.

Jenna zastanowiła się kilka sekund.

– Zgoda, pomówię z nim. - Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się. - Koniec przerwy. Prowadzimy tu prawdziwą zapoconą knajpę. Do roboty.

Mikki szybko ją przytuliła.

– Dzięki. Ocaliłaś mi życie. Kiedy z nim pogadasz?

– Myślę, że wiem, kiedy będzie odpowiednia chwila.

Minęła północ, a Jack stał na pomoście latarni, wpatrując się w czyste niebo. Po rozmowie z Mikki i wyraźnym rozczarowaniu widocznym na jej twarzy naprawdę starał się tu nie przychodzić, ale nogi same go przyniosły.

Pracowali z Sammym cały dzień w domu Anne Bethune, więc miał okazję przyjrzeć się zajęciom letniego obozu. Musiał przyznać, że Jackie i Cory świetnie się bawili, a jednocześnie poznawali nowe rzeczy. Anne zatrudniła instruktora, który zaprowadził dzieci nad morze, pokazując im różne żyjątka i opowiadając o ekologii. Cory był w swoim żywiole, odgrywając scenki napisane podczas warsztatów scenicznych. Choć Jack miał nadzieję dostarczyć im takich doświadczeń, przyjeżdżając na lato do Channing, dotąd w to się nie angażował. Wszystko działo się za pośrednictwem zastępców.

Gdybym tylko skończył tę latarnię.

Wszedł do środka i spojrzął na nowe schody. Kilka minut temu wbił ostatni gwóźdź. Należało wykonać jeszcze pewne prace, głównie wykończeniowe, ale schody były bezpieczne i widział, że długo posłużą. Zaplanował, że jutro wieczorem złoży rusztowanie i zwróci je do sklepu. Podniósł lalkę Lizzie i wrócił na pomost. Spocony po ciężkiej pracy we wnętrzu latarni, zdjął koszulę, pozwalając, by jego ciało owionął chłodny wietrzyk.

Spojrzał na lalkę, a później podniósł głowę. Gdzieś w górze znajdowało się niebo. Ciekawe, gdzie go szukała jego mała Lizzie. Spoglądał w różne rejony sklepienia, jakby dzielił je na kwadraty i studiował niczym pustynię Bliskiego Wschodu, na której walczył. W jakim miejscu mogła się znajdować bomba domowej roboty albo snajper?

Tym razem wypatrywał jednak aniołów i świętych. I Tillie.

I Lizzie.

Odłożył lalkę, wyciągając list z kieszeni na piersi. Kiedy skończył schody, powiedział sobie, że przeczyta następny. Na kopercie widniała liczba cztery. Wyjął kartkę z datą dwudziesty drugi grudnia. Oparł się o poręcz i zaczął czytać.

Droga Lizzie

Do Świąt Bożego Narodzenia pozostały zaledwie trzy dni. Obiecałem Ci, że dotrwam, i wiem, że będzie to wspaniały dzień. Oglądanie twarzy dzieci otwierających prezenty będzie dla mnie lepsze od wszystkich lekarstw tego świata. Wiem, że dla wszystkich było to trudne doświadczenie, szczególnie dla Ciebie i dzieciaków, choć Twoja mama i tata próbowali

Ci pomóc. Nigdy nie poznałem ich tak dobrze, jak chciałem. Czasami odnoszę wrażenie, że Twoja mama sądzi, iż mogłaś poślubić kogoś, kto lepiej by do ciebie pasował i odniósł większy sukces w życiu. Wiem jednak, że się o mnie troszczy, że z całego serca kocha Ciebie i dzieciaki. To błogosławieństwo, że masz takie wsparcie. Jak wiesz, mój ojciec umarł, kiedy byłem dzieckiem. Wiesz również o mojej mamie. Twoi rodzice zawsze służyli mi pomocą, szczególnie Bonnie. Okazywała mi więcej miłości niż własna matka, bo naprawdę liczą się czyny, a nie słowa. W ten sposób okazujemy, że naprawdę kogoś kochamy. Proszę, przekaz im, że zawsze darzyłem najgłębszym szacunkiem ją i Freda. To dobrzy ludzie. Mam nadzieję, że pewnego dnia uznasz, iż ja również byłem dobrym ojcem i starałem się robić to, co słuszne. I że okazałem się Ciebie godny.

Kocham Cię, Jack

– Nie przeszkadzam?

Jack podniósł głowę i ujrzał, że na pomoście stoi Jenna z butelką wina i dwoma kieliszkami w ręku. Zauważyła list, ale on nic nie powiedział, tylko wsunął go do kieszeni dżinsów, naciągnął koszulę i pośpiesznie zapiął guziki.

– Co tu robisz? - spytał szorstko.

– Przepraszam, jeśli cię zaskoczyłam.

– Ale to zrobiłaś!

– Mogę sobie pójść...

Odwróciła się, żeby odejść.

– Zostań, nic się nie stało. Przepraszam. Nie chciałem tak na ciebie warknąć. Po prostu nie spodziewałem się gości.

Uśmiechnęła się.

– Ciekawe czemu? Minęła północ, a ty stoisz na swojej ziemi, na szczycie latarni. Można by pomyśleć, że do tego czasu powinny tu być setki ludzi.

Gniew minął, a na twarzy Jacka pojawił się uśmiech.

– Może kilkunastu, ale nie setki. - Spojrzał na butelkę wina. - Wracasz z imprezy?

Rozejrzała się wokół, postawiła kieliszki na starej skrzynce i odkorkowała butelkę.

– Nie, ale miałam nadzieję, że na nią trafię.

– Co?

Nalała wino do kieliszków i podała mu jeden.

– Twoje zdrowie! - Wypiła łyk i spojrzała na rozległą panoramę. - Boże, jak tu pięknie.

– Taak.

– Widzę, że skończyłeś schody.

– Trzeba jeszcze zrobić to i owo, ale główne prace zostały wykonane.

– Pewnie się zastanawiasz, co tu, u licha, robię.

– Szczerze? Tak.

Wtedy opowiedziała mu o tym, że Liam i Mikki chcą wystąpić w konkursie talentów, nie wspominając o prawdziwym powodzie ich decyzji.

– To świetny pomysł! Uważam, że mają dużą szansę na wygraną.

– Zgadza się. Nie jestem żadnym ekspertem, ale zapłaciłabym, żeby ich posłuchać.

Przełknął łyk wina.

– Czemu Mikki sama mi o tym nie powiedziała?

– Szczerze mówiąc, do końca nie wiem. Poprosiła, żebym to zrobiła, a ja się zgodziłam.

Może powinieneś ją o to zapytać.

Wolno skinął głową.

– Wiem, że pomieszały mi się priorytety.

– Odkrycie problemu to pierwszy krok do jego rozwiązania. Sam powiedziałeś, że naprawiasz rzeczy.

– Taak, ale łatwiej naprawić latarnię niż relacje z drugim człowiekiem.

– Wiem, że to bardzo trudne, ale nie powinniśmy ignorować tego typu problemów.

– Zaczynam to rozumieć.

– Pamiętam, co mi powiedziałeś. Dlaczego ta latarnia jest dla ciebie taka ważna, Jack?

Odstawił kieliszek.

– Tutaj czuję się najbliższej niej - powiedział wolno. Podniósł głowę i zauważył, że Jenna spogląda na niego z z troskaniem. - Słuchaj, nie tracę kontaktu z rzeczywistością.

– Wcale tak nie sądziłam - odparła cicho.

– A jednak przypomina to obłąd, prawda?

– Skoro tak to przeżywasz, nie jesteś obłąkany. Wiele przeszedłeś.

– Cudowny człowiek... - rzekł cicho.

Spojrzała na niego w milczeniu, czekając, aż dokończy zdanie.

– Nie miało mnie tu być, Jenno. Miałem umrzeć. Starałem się dotrwać do świąt Bożego Narodzenia dla dzieciaków. Dla Lizzie.

Dotknęła jego ramienia.

– Nie powinnam była pytać. Nie musisz mi niczego wyjaśniać.

– Pół życia służyłem w armii, z dala od domu. - Przerwał, by zaczerpnąć oddechu. - Byłem bez pamięci zakochany w żonie. Powiadają, że rozstanie wzmacnia uczucia. Mogłem być w pokoju obok i tęsknić za Lizzie, jakbym znajdował się na drugim końcu świata.

W oczach Jacka błysnęły łzy. Jenna też miała wilgotne oczy.

– Zawsze uważałem nas za dwie połówki jednej osoby, które cudem się odnalazły.

Dlatego byłem taki szczęśliwy.

– Większość ludzi nigdy tego nie doświadczyła, Jack. Byliście naprawdę szczęśliwi.

– Ostatniej nocy powiedziała, że chciałaby tu spędzić letnie wakacje. Chciała wierzyć, że tego dożyję i będę mógł przyjechać do Channing razem z nią. Rozmawialiśmy nawet o naprawieniu tej., tej latarni... Nigdy nie sądziłem, że będę miał okazję.

– Wykonałeś ostatnie życzenie Lizzie?

– Chyba tak. - Odwrócił głowę i spojrzał na morze. - Ona nie dostała szansy, żeby tu wrócić.

– Ale ty wyzdrowiałeś? - zapytała Jenna.

Spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami.

– Wiesz dlaczego? Bo Lizzie cały czas ze mną była. Nie pozwoliła mi umrzeć.

– Po co mi to mówisz?

– Bo gdybym komuś nie powiedział... gdybym komuś nie powiedział, to... to sam nie wiem... A ty wydałaś mi się kimś, kto zrozumie.

Zaczął padać słaby deszcz. Jenna odstawiła kieliszek, ujęła Jacka za ramię. Odwróciła go do siebie i objęła.

Deszcze ciągle padał, a oni stali w ciemności, kołysząc się wolno z boku na bok.

– Rozumiem cię, Jack. Rozumiem.

– Naprawdę nie musisz tego robić, Jenno - powiedziała Mikki.

Odwiedziły sklep z ubraniami w centrum Channing podczas przerwy w pracy.

– To nic wielkiego - ciągnęła dalej. - Idę na obiad z rodziną. Cory i Jackie nawet nie zauważą, co włożyłam.

– Przecież to twoje szesnaste urodziny, kochanie! Coś takiego zdarza się tylko raz.

Wspólnie wybrały pół tuzina ciuchów i Mikki zaczęła je przymierzać. Kiedy zdecydowała się na ciemną sukienkę bez rękawów, Jenna pomogła jej dobrać buty, torebkę i inne dodatki.

– Dzięki, Jenno. Nie mogę kupować staników razem z ojcem.

– Domyślam się. - Uśmiechnęła się psotnie. - Choć mogłoby się to okazać całkiem zabawne.

Mikki spoglądała na rzeczy, obliczając wysokość rachunku. Twarz jej poczerwieniała.

– Kurczę, będę musiała niektóre odłożyć.

– Dlaczego?

– Nie mam... nie mam dość forsy.

– Masz, wypłacę ci zaliczkę.

– Co?

– Robię tak ze wszystkimi nowymi pracownikami, a przynajmniej tymi, którzy mają szesnastkę i chcą z tej okazji włożyć nowy ciuch.

– Nie chcę niczego darmo.

– Nie rozumiałaś mnie. Wspomniana kwota zostanie podzielona na równe raty i odjęta od twoich poborów w ciągu następnych sześćdziesięciu lat, młoda damo.

Mikki się roześmiała.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Poważnie mówiąc, jesteś naprawdę dobrą kelnerką i ciężko pracujesz.

Powinam ci to wynagrodzić.

Kiedy wyszły ze sklepu, Jenna zapytała:

– Co powiesz na lody? Chciałabym z tobą o czymś pogadać.

Usiadły przed kawiarnią z rożkami w dłoni.

– Zacznijmy od początku. Rozmawiałam z Jackiem o konkursie talentów. Nie ma nic przeciwko twojemu udziałowi...

– Super!

– Był ciekaw, czemu do niego nie przyszłaś i nie powiedziałaś mu osobiście.

– Co mu odpowiedziałaś?

– Udałam, że o niczym nie wiem i go zbyłam. - Oblizała rożek, starannie dobierając następne słowa. - Co z latarnią?

Mikki westchnęła.

– O co ci chodzi?

– Twój tata spędza tam dużo czasu.

– Skąd wiedziałaś?

– Oprócz twojej zbolalej miny? Po prostu wiedziałam. Poprzestańmy na tym. Czy byłaś tam kiedyś razem z nim?

– Nie.

– Dlaczego?
– Po prostu nie. Bez powodu.
– Nie lubisz jej?
– Mam odczuwać niechęć do jakiejś sterty drewna i cegieł? Głupie pytanie - rzuciła z irytacją.

– Doprawdy?

Mikki skończyła lody, wytarła palce i wrzuciła chusteczkę do kosza stojącego obok ławki.

– Skoro woli przebywać w latarni niż z rodziną, kto mu tego zabroni? Chyba nie ja?
– Myślę, że już odpowiedziałas na moje pytanie. Wiesz, że była to latarnia twojej mamy?

Mikki gniewnie zmarszczyła brwi.

– Taak. Mojej mamy, kiedy była małą dziewczynką. Od tego czasu więcej do niej nie zajrzała.

– Czy dlatego uważasz jego zachowanie za nieco obsesyjne...

– Obsesyjne? Taak, trochę. A co ty sądzisz?

– Sama nie wiem. Opowiedz mi o łobuzach, którzy zaczepiali twojego tatę na ulicy. Jak go nazwali? Cudownym człowiekiem?

Mikki spojrzała na nią zakłopotana i wzięła głęboki oddech.

– Wolalabym o tym nie gadać.

– Proszę, Mikki. Naprawdę chciałabym pomóc, ale muszę wiedzieć.

Mikki opowiadała kilka minut.

Kiedy skończyła, Jenna spojrzała na nią w zamyśleniu.

– Zatem autor brukowca wszystko zmyślił?

– Cóż, tak twierdzi tata.

– Ale ty wierzysz gazecie, która zbija miliony, sprzedając kłamstwa o twoim ojcu? Czy to ma sens?

Mikki odwróciła wzrok.

– Nie ma dymu bez ognia - powiedziała.

– To ma jeszcze mniej sensu.

– Łatwo ci mówić. Nie zniszczyli twojej rodziny.

– To prawda. Pozwól, że na chwilę włożę prawniczą togę i przeanalizuję sytuację. - Po chwili milczenia podjęła: - Twój tata traci ukochaną kobietę w tragicznym wypadku, który nie został przez nikogo zawiniony. Później zostaje pozbawiony dzieci i samotnie oczekuje na śmierć. Jakimś cudem znajduje w sobie siłę, by cofnąć wyrok, ponownie gromadzi bliskich i próbuje dać sobie radę jako samotny rodzic. Kiedy w mediach pojawia się stek ohydnych kłamstw, ludzie zarzucają mu straszne rzeczy, ale on przyjmuje je w milczeniu. - Przerwała. - Czy twój stary to naprawdę zły człowiek?

Spojrzała na Mikki, która wbiła wzrok w ziemię z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - rzekła po dłuższej chwili milczenia. -

Rozumiem, czemu jesteś prawnikiem.

– Wiem, że postawienie się w położeniu drugiej osoby jest bardzo trudne. Zrozumienie jej uczuć, powodów postępowania. Dużo łatwiej jest wszystko zasufladkować.

– A latarnia?

– Lizzie kochała ją w pewnym okresie swojego życia. Była dla niej ważna. Chciała ją ponownie odwiedzić. To wystarczyło twojemu ojcu. Harował jak wół, żeby ją naprawić.

– Dla niej?

– Twój tata nie jest wariatem. Wie, że ona odeszła, Mikki. Robi to przez wzgląd na pamięć o niej. Przynajmniej częściowo. To element procesu żałoby.

– Co powinnam zrobić?

– Zdobyć się na odwagę i z nim porozmawiać.

– O czym?

– Myślę, że sama będziesz wiedziała.

Mikki położyła dłoń na ramieniu Jenny.

– Dziękuję za lody i dobrą radę.

– Chętnie podarowałam je obie, kochanie.

W sobotni wieczór Jenna uczesała Mikki i pomogła jej włożyć nową sukienkę. Upięła włosy z tyłu, pozwalając, by kilka kosmyków opadało na długą szyję dziewczyny.

Cory i Jackie siedzieli na kanapie, oglądając telewizję. Wytrzeszczyli oczy, gdy ich siostra zeszła na dół w towarzystwie dumnej Jenny.

– Przyjęcie Mikki - wybełkotał Jackie.

Cory nie odezwał się ani słowa, tylko się gapił, jakby pierwszy raz widział starszą siostrę. Kiedy Sammy wyszedł z kuchni i ją zobaczył, zawołał:

– Wow! Ludzie, co za laska! Zróbcie miejsce! No, ruszcie tyłki!

Mikki poczerwieniała.

– Przestań, Sammy!

– Kochanie, przyjmuj komplementy mężczyzn, póki możesz - poradziła jej Jenna.

– Chodź tu, Jack! - krzyknął Sammy. - Mamy poważny problem!

Jack przyszedł z kuchni i zamarł na widok córki.

Widząc spojrzenia mężczyzn, Mikki w końcu zapytała:

– Co się stało?

– Nic, kochanie - odrzekł Jack. - Pięknie wyglądasz.

– Jenna mi pomogła.

Jack spojrzał z podziwem na jej robotę.

– Naprawdę świetnie. Nie poradziłbym sobie tak dobrze z fryzurą i makijażem...

Jenna zachichotała.

– Co?! Czyżby nie uczyli tego w wojsku?!

– Dokąd pojedziemy? - zapytała Mikki.

– Przecież mówiłem, że na obiad z rodziną, aby uczcić twoje szesnaste urodziny.

Mikki spojrzała na Cory'ego i Jackiego oglądających kreskówki i skubiących serowe chipsy. Twarz i ręce Jackiego były lepkie i pomarańczowe, a Cory'ego głośno beknął.

– Wspaniale! - zawołała, siląc się na entuzjazm.

Sammy popatrzył na Jacka.

– Chwileczkę! Powiedziałaś, że musimy skończyć robotę dziś wieczorem. Obiecałaś tej pani, pamiętasz?

– Cholera! Jasny szlag! Gdzie ja miałem głowę?!

Jack uderzył się w czoło, wyraźnie sfrustrowany.

Mikki zmarszczyła brwi.

– Dziś wieczorem? Jaką robotę?

Jack wyglądał na zrozpaczonego.

– To ważna sprawa! Na śmierć zapomniałem, kochanie!

Twarz Mikki zapłonęła rumieńcem, a w jej oczach błysnęły łzy.

– Tato, to moje szesnaste urodziny!

– Wiem, kochanie. Wiem, ale na szczęście mamy plan awaryjny.

– Co?

Kiedy otworzył drzwi, Mikki wstrzymała oddech z podziwu.

Liam stał w odprasowanych spodniach khaki i białej koszuli. Jego twarz zaróżowiła się od mycia i nawet uczesał długie włosy. W ręku trzymał bukiet kwiatów.

Mikki spojrzała na niego i ojca.

– Co jest grane?

Jack się uśmiechnął.

– Naprawdę chciałaś spędzić szesnaste urodziny w towarzystwie starego i dwójki młodszych braci? Nie opowiadaj!

– Nie miałabym nic przeciwko - powiedziała, próbując zachować kamienną twarz.

– Akurat - zadrwił Sammy. Odwrócił się do Liama, który nawet nie drgnął. - Wejdz, synu. Wejdz i podaj damie kwiaty. - Ujął Liama za ramię i wepchnął do pokoju.

Liam wręczył kwiaty Mikki.

– Wspaniale wyglądasz - wyjąkał nieśmiało.

– Ty również. - Spojrzała na tatę. - Jakim cudem Cory i Jackie niczego nie wypapłali?

– O niczym nie wiedzieli, ale moim głównym współnikiem była Jenna.

Jenna złożyła głęboki pokłon.

– Przyznaję się do winy.

– Jaki mamy plan? - spytała Mikki.

– Już powiedziałem: obiad dla dwojga. Zrobiliśmy rezerwację.

– Oczywiście, nie w „Odrobinie miłości”. W eleganckiej restauracji w centrum miasta.

Dobrze znam właścicieli. Wybrali wam świetny stolik.

– Wow! Nie mogę w to uwierzyć! Czuję się jak Kopciuszek!

Jack otoczył córkę ramieniem.

– To fajnie, że nadal mogę cię czymś zaskoczyć.

– Dziękuję, tato. Chyba lepiej już pójdziemy - powiedziała.

– Zaczekaj sekundę - polecił Jack. - Zamknij oczy.

– Tato!

– Proszę, zrób to.

Westchnęła ciężko i zamknęła oczy, a Jack wyciągnął naszyjnik z kieszeni i zapiął jej na szyi.

– Możesz otworzyć.

Spojrzała w dół i wstrzymała oddech, a później podbiegła do lustra wiszącego na ścianie.

– To naszyjnik mamy - wyszeptała.

Jack skinął głową.

– Dałem go jej w naszą pierwszą rocznicę ślubu.

Mikki odwróciła się do niego ze łzami w oczach.

– Szczęśliwych urodzin, kochanie!

Ojciec i córka przytulili się z całej siły.

Kiedy Liam i Mikki wyszli na randkę, Jack stał na werandzie, patrząc, jak odjeżdżają.

Jenna przyłączyła się do niego. Miał wilgotne oczy i unikał jej spojrzenia.

– Nic ci nie jest, tatusiu? - zapytała.

– Dzieci tak szybko dorastają, Jenno.

– To prawda, ale nie ma w tym nic złego. Nie wolno tylko dopuścić, żeby dorastały z dala od nas.

– Świetnie się znasz na tej robocie.

– Wystarczająco długo walczyłeś w pojedynkę. Albo staniesz się w tym dobry, albo zginiesz.

– Myślisz, że jest dla mnie nadzieja?

- Zdecydowanie tak. - Wsunęła rękę pod jego ramię. - Ona jest wspaniała, Jack.
- Dzięki Lizzie.
- Mógłbyś przypisać sobie choć odrobinę zasługi. Dziś wieczorem byłeś wspaniały, Jacku Armstrongu.
- Naprawdę tak uważasz?
- Tak.

Kiedy skończyli obiad, Liam wyszedł na chwilę do łazienki. Mikki skamieniała na widok Blake'a Saundersa zbliżającego się do jej stolika.

– Co tu robisz, gnido? - warknęła.

– Pracuję.

– Tutaj?

– Sprzątam stoliki. Jestem ze Sweat Town, przecież ci mówiłem.

– O rany! Czyżby mała słodka Tiffany dała ci pozwolenie?

– Wiem, że jesteś wkurzona. Masz prawo.

– Mylisz się, Blake. Gdybym była wkurzona, pewnie by mnie to obchodziło, a jest mi to całkowicie obojętne. Mieliście ubaw, ale mogliście zrobić krzywdę Liamowi.

– Nie zauważyłaś, że odciągnąłem od niego tych dwóch idiotów? Usiadłem na nim, żeby go osłaniać. Później skoczyłaś mi na plecy i podrapałaś twarz.

– Nie doszłoby do tego, gdybyś mnie nie wystawił. Czemu to zrobiłaś?

Blake opuścił wzrok.

– Upokorzyłaś Tiff. Była wściekła. Chciała ci odpłacić.

– A ty zrobiłaś, co ci kazała? To żalosne.

– Taak. Przyznaję - odrzekł Blake.

– Słuchaj, nie nabierzesz mnie ponownie na tę swoją skruchę. Jasne? Oszczędź sobie trudu.

– Posmarowałaś klejem jej fotel?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jeśli cię to ciekawi, była wkurzona. Musiała ściągnąć spodnie, żeby wysiąść z samochodu, a nie chciało się jej wkładać bielizny. Musiała wbiec po schodach do domu, ale potknęła się i wpadła w krzaki. Tak przynajmniej powiedziała moja mama. Pracownicy mieli niezły ubaw.

Mikki nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Miło słyszeć, że złych ludzi spotykają złe rzeczy.

– Słyszałem, że chcesz wziąć udział w konkursie talentów.

– To prawda. Razem z Liamem. Jestem pewien, że zjawisz się, żeby dopingować swoją uroczą Tiffany.

– Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że jej dokopiesz.

Odwrócił się i odszedł.

Po opuszczeniu restauracji Liam i Mikki pojechali na plażę, zaparkowali samochód, zdjęli buty i ruszyli brzegiem.

– Nigdy wcześniej nie widziałam oceanu - powiedziała Mikki, czując wodę pod stopami.

– Mama i ja zawsze mieszkaliśmy blisko wody. No, niedaleko.

– Naprawdę mi się tu podoba. Nie spodziewałam się tego, bo całe życie mieszkałam w mieście.

– Potrzebowałem czasu, żeby się przyzwycząić, ale teraz jest naprawdę super.

– Kiedy byłeś w łazience, podszedł do mnie Blake Saunders.

Liam nie okazał zdenerwowania, a jedynie lekkie zaciekawienie.

– Naprawdę? Czego chciał?

– Przepraszam za to, że pomógł Tiffany. Powiedział, że próbował cię bronić. Że nie chciał zrobić ci krzywdy.

– Taak. Właściwie to mu wierzę.

– Co?

– Blake nie jest typem sportowca dokuczającego innym, Mikki. Właściwie to całkiem fajny gość. W porządku, zbyt często przebywa w towarzystwie Tiffany, ale nigdy nie miałem z nim problemów. W szkole jest dla mnie miły. Nawet czasami łaziliśmy razem i robiliśmy różne rzeczy.

– Nie wiedziałam.

– No cóż...

Kiedy zaczęło padać, pobiegli do starego domku ratowników i schronili się pod wystającym dachem.

– Masz wspaniałą matkę, Liam.

– Taak, ale nie pamiętam ojca. Odszedł od nas, kiedy się urodziłem.

– Musiało być ci ciężko.

– Nie. Jak może ci brakować człowieka, którego nigdy nie znałaś?

– Racja. Mnie naprawdę brakuje mamy.

Liam otoczył ją ramieniem.

– To normalne, Mikki. Powinnaś za nią tęsknić. Była twoją matką. Wychowywała cię.

Kochała cię, a ty kochałaś ją.

– Wrażliwy tekst jak na chłopaka.

Uśmiechnął się.

– Jestem muzykiem. Mamy to we krwi.

Przytulił ją i pocałował. Deszcz i wiatr przybrały na sile, a fale z hukiem rozbijały się o brzeg.

– Twoja mama rozmawiała ze mną któregoś dnia o ojcu. Dzięki niej zaczęłam się zastanawiać nad pewnymi rzeczami.

– To znaczy?

– Nie zachowywałam się jak należy, kiedy tata był chory. Szczerze mówiąc, spieprzyłam sprawę.

– Jak to?

– Kiedy ludzie są w tarapatach, wyciągają ręce do innych, a ty możesz wyciągnąć do nich swoje lub ich odepchnąć. Unikałam ojca. Byłam zbuntowana, przeciągałam strunę, robiłam różne rzeczy, które utrudniały mu życie. - Na jej policzkach błysnęły łzy. - Wiesz, dlaczego taka byłam?

Liam spojrzał na nią.

– Bo byłaś przerażona?

Popatrzyła mu w oczy.

– Taak, bałam się. Patrzyłam, jak umiera, i zamiast zadbać, żeby czas, który mu pozostał, był przyjemny, robiłam wszystko na odwrót. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Nie chciałam go stracić, a jednocześnie jakaś część mnie nienawidziła go za to, że nas zostawia. Że zostawia mnie. - Wydała cichy szloch. - A teraz nie daje mi spokoju, że przed śmiercią uprzykrzałam życie mamie. Byłam naprawdę nieznośna.

Kiedy zaczęła płakać, Liam rozpiął mankiet i otarł jej twarz rękawem jak chusteczką. W końcu przestała płakać i przetarła oczy.

– Dzięki.
– W porządku, Mikki. To trudne sprawy. Nie ma łatwych odpowiedzi. To nie muzyka, gdzie masz wszystkie nuty, grasz je i dobrze się bawisz. Życie rodzinne bywa naprawdę trudne.

– Twoja mama powiedziała, że powinnam z nim pogadać.

– Myślę, że ma rację. Powinnaś to zrobić.

Kiedy deszcz na chwilę osłabi, pobiegli do samochodu i Liam odwiózł ją do domu.

Wysiadła z wozu i powiedziała:

– Dzięki za wspaniałe szesnaste urodziny.

– Ułatwiłaś mi zadanie.

– Tak, wypłakując się na twoim ramieniu. Naprawdę ułatwiłam.

– Zawsze uważałem to za element przyjaźni.

Pochyliła się i go pocałowała.

– To prawda, a ty jesteś moim przyjacielem.

Jack leżał na plecach w pomieszczeniu latarni, gdzie znajdowała się maszyna. Choć ubrudził ręce smarem, zgrzał się i spocił, a w gardle czuł suchy pył, nie posunął się ani o krok dalej. Wykonał wszystko zgodnie ze schematem elektrycznym, ale latarnia nadal nie działała. Oświetlił latarką wąską przestrzeń między dwiema metalowymi płytami.

– Tato?

Drgnął niespokojnie, uderzając głową o metal. Potarł zranione miejsce, wyciągnął się na zewnątrz i podniósł głowę. Mikki spoglądała na niego z góry z włosami upiętym na karku.

– Wszystko w porządku, Mikki?

Wstał i zbliżył się do niej.

– Tak, tato.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Jesteś mokra.

– Pada deszcz.

Wyjrzał przez okno.

– Musiałem tu przyjść, zanim zaczęło lać.

– Mogę wejść?

Podał jej rękę, a ona wcisnęła się w wąską przestrzeń.

Kiedy znalazła się bliżej, zapytał:

– Płakałaś? Czy Liam...?

– Nie, tato. To nie ma nic wspólnego z Liamem. Był wspaniały. Mieliśmy cudowną randkę. Naprawdę... naprawdę go lubię. Bardzo.

Jack wyraźnie się rozluźnił.

– Świetnie, ale dlaczego...?

Wzięła ojca za rękę i pociągnęła na wąską półkę pod oknem. Usiedli na niej.

– Musimy porozmawiać.

– O czym? - spytał ze znużeniem.

– O tym, co zaszło między mamą, tobą i mną. Tak właściwie to o wszystkim...

– Teraz?

– Taak, sądzę, że tak.

Jack westchnął, otarł dłonie szmatą i cisnął ją w kąt.

– Wiem, że to, co tutaj robię, przypomina obłąd. Do licha, może faktycznie mi odbiło!

Położyła dłoń na ramieniu ojca, żeby go ubiec.

– Nie, tato. Nie uważam tego za obłąd. - Przerwała, by po chwili kontynuować: -

Rozmawiałam z Jenną o pewnych sprawach.

– Jakich? - zapytał gwałtownie.

– O tym, że przeżyłeś piekło, że wszyscy powinniśmy dać ci trochę więcej swobody i że każdy opłakuje stratę na swój sposób.

– Ach! - Jack spojrział na reflektor, a następnie przesunął wzrok na córkę. - Chcę to skończyć, Mikki. Naprawdę. Nie jest mi łatwo. Czasami dobrze się czuję, a kiedy indziej jestem całkiem zagubiony.

Mikki opuściła głowę i zaczęła płakać.

– Tak się bałam, kiedy chorowałeś. Nie wiedziałam, jak dać sobie radę, więc

postanowiłam uciec. Żeby nie musiała się z tym zmierzyć. Byłam taka samolubna. Bardzo mi przykro.

Objął jej drżące ramiona i pozwolił się wypłakać. Kiedy się uspokoiła, podał jej czystą szmatkę, żeby mogła wytrzeć oczy.

– Mikki, jesteś mądrą dziewczyną, ale masz tylko szesnaście lat. Nie musisz znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Mam trzydzieści pięć i nie znam wszystkich odpowiedzi. Myślę, że ty również zasługujesz na trochę wolności.

– Tak, ale to powinnam wiedzieć - wyjąkała przez łzy.

Pogładził jej włosy.

– Coś ci powiem. Kiedy umierał mój ojciec, zachowywałem się podobnie. Początkowo byłem smutny, a później wystraszony. Kładłem się spać i wstawałem przerażony. Widziałem, jak chodzi w pidżamie po domu, choć był środek dnia, a on zwyczajnie czekał na śmierć. Nie było żadnej nadziei. Ojciec był potężnym, silnym mężczyzną. Zawsze miałem go za wzór, a wtedy ujrzałem go słabego i bezbronnego. Wiedziałem, że nie chcę go takiego zapamiętać, więc tłumiliem uczucia i też byłem samolubny. Byłem tchórzem. Może dlatego poszedłem do wojska. Żeby udowodnić, że mam w sobie odrobinę odwagi.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę? Nie żartujesz?

– Nie.

– Czasami życie bywa do kitu. - Mikki westchnęła, prostując się i wycierając nos.

– Tak, to prawda, ale czasami bywa również cudowne, a wtedy zapominasz o wszystkim, co złe.

Spojrzała w ziemię, nerwowo wykręcając palce.

– Mik! Czy jest coś jeszcze, o czym musisz mi powiedzieć?

– Obiecasz, że nie będziesz się gniewał?

Jack ciężko westchnął.

– To twój warunek?

– Nie, ale na to liczę.

– Możesz mi powiedzieć o wszystkim.

Odwróciła się do niego i wzięła głęboki oddech.

– To ja rozmawiałam z reporterem tego brukowca.

Spojrzał na nią z otwartymi ustami.

– Ty?

Na policzkach Mikki pojawiły się świeże łzy.

– Wiem, że to było głupie, a później sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Większość tych bredni sam wymyślił.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Podśledzałam waszą rozmowę w dniu śmierci mamy i widziałam tego czubka, Billa Millera...

– I dlatego rozmawiałaś z reporterem szmatławca? Przecież wiedziałaś, jakie rzeczy wypisują. Przez nich mama wyszła na...

– Wiem. Tak mi przykro, tato. Postąpiłam głupio. Ja... ja nie wiem, czemu to zrobiłam. Czulałam się taka zagubiona i wściekła. Wiem, że pewnie mnie znienawidzisz. Nie mogę mieć o to pretensji. Sama siebie nienawidzę - rzuciła szybko, niemal bez tchu, tak że niemal się zakrztusiła.

Jack objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Już dobrze. To bez znaczenia. Namieszałaś i przyznałaś się do tego. To wymaga dużo odwagi.

Mikki drżała z emocji.

– Nie czuję się odważna. Czuję się jak szmata. Wiem, że mnie nienawidzisz.

Nienawidzisz mnie, prawda?

– Nienawiść ojca do córki to pogwałcenie praw natury.

– Jest mi naprawdę przykro, tato. Teraz, gdy odzyskałam rozum, dotarło do mnie, że głupio postąpiłam.

– Chyba żadne z nas dwojga nie myślało wtedy zbyt trzeźwo.

– Czy kiedykolwiek zdołasz mi przebaczyć? Ponownie zaufać?

– Tak, potrafię ci przebaczyć i zaufać.

– Ot tak?

Dotknął jej policzka.

– Ot tak.

– Dlaczego?

– Nazywają to bezwarunkową miłością.

Jenna podniosła głowę znad kontuaru i ujrzała Jacka.

Uśmiechnęła się.

– Słyszałam, że dzieciaki świetnie się bawiły.

– Taak, Mikki cały czas to wspomina.

– Chcesz zamówić coś do jedzenia? Mamy świetne kanapki z wołowiną.

– Nie, nie jestem głodny. Słuchaj, chciałbym zaprosić cię na kolację dziś wieczorem...

Jenna wyszła zza lady i stanęła obok niego.

– Na kolację? Jesteś pewny? O co ci chodzi? Tylko nie tutaj, robi mi się niedobrze od naszego menu. - Uśmiechnęła się, by po chwili przybrać poważny wyraz twarzy. - Słuchaj, mogłabym coś ugotować.

– Nie chcę, żebyś się trudziła.

– Lubię gotować, ta czynność ma działanie terapeutyczne, ale musisz być moim kuchcikiem.

– Co to oznacza?

– Głównie krojenie i siekanie.

– Chyba dam sobie radę, tylko czy zdołasz się stąd wyrwać?

– Na jedną noc tak. Lokal może funkcjonować beze mnie, a osoba numer dwa, czyli mój syn, będzie tu razem z twoją córką. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby mnie potrzebowali. Co powiesz na ósmą?

– Znakomicie.

– Chcesz pogadać o jakiejś konkretnej sprawie?

– O wielu rzeczach.

Kiedy wieczorem zapuka! do drzwi Jenny, grata muzyka, wino czekało w kieliszkach, a wokół płonęły zapachowe świece.

– Tylko się nie przestrasz - powiedziała, zapraszając go do środka. - Po prostu lubię wygodę. Nie zainscenizowałam sceny z *Seksu w wielkim mieście*. - Spojrzała na niego. - Ładnie wyglądasz.

Rzucił okiem na swoje nowe dżinsy, odprasowaną białą koszulę z kołnierzykiem i nieskazitelne mokasyny, które piły go w stopy. Później spojrzał na nią. Jenna włożyła żółtą sukienkę na ramiączka wykończoną w półokrągłe ząbki i była boso.

– Nie tak ładnie jak ty - odrzekł. - Mógłbym zdjąć buty? Te nowe mokasyny mnie dobijają.

Spojrzała na swoje stopy i uśmiechnęła się.

– Śmiało. Kiedy byłam dzieckiem, mama musiała mnie zmuszać do noszenia butów.

Uwielbiałam czuć trawę pod stopami. Myślę, że był to jeden z powodów, dla których przenieśliśmy się na głębokie Południe, bo tam wielu ludzi nie nosi butów.

Zaprowadziła go do kuchni i pokazała deskę do krojenia oraz stertę warzyw i pomidorów leżących obok niej.

– Robota czeka.

Jack przystąpił do krojenia i siekania, a Jenna krążyła po kuchni, przygotowując pozostałe składniki posiłku.

– Powiedziałaś, że lubisz gotować?

– Kiedyś chciałam to robić zawodowo.

– Ale zamiast tego zostałam prawniczką?

– Taak. W życiu zdarzają się nieoczekiwane zwroty. Kiedy Liam trochę podrosł, chodziłam na kursy gotowania. Później, gdy zastanawiałam się nad zmianą pracy, pomyślałam, że odpowiadałoby mi prowadzenie restauracji. Menu „Odrobiny miłości” jest skromne, ale wymyśliłam każdą potrawę, która w nim figuruje. - Wsunęła do piekarnika naczynie z kurczakiem. - Dopiero w domu mogę się naprawdę popisać.

– Czekam z niecierpliwością.

Godzinę później usiedli do stołu i zaczęli jeść. Po kilku kęsach Jack wzniósł toast za jej kulinarne umiejętności.

– Nie jestem ekspertem, ale ta potrawa jest wspaniała.

Trąciła jego kieliszek swoim.

– Jestem pewna, że wyjątkowy smak zawdzięcza temu, jak pokroiłeś i posiekałeś warzywa.

– Tak też pomyślałem.

Odstawiła kieliszek i spojrzała mu w oczy.

– Chcesz teraz pogadać czy wolisz przy deserze i kawie?

– Co powiesz na rozmowę po deserze i kawie?

– Dlaczego?

Spojrzał na nią nieśmiało.

– Bo świetnie się bawię.

– Boisz się, że to, co chcesz powiedzieć, zepsuje nam nastrój? - spytała lekko zaniepokojona.

– Nie, ale zmieni atmosferę.

Po cieście i deserze wybrali się na spacer plażą. Jack szedł wolnym krokiem, a Jenna dostosowała się do niego.

– Mikki powiedziała mi, że rozmawialiście...

– To mądra dziewczyna. Naprawdę rozumie, o co chodzi, Jack. Mówię serio.

– Odbyliśmy rozmowę, kiedy wróciła z randki. Powiedziała, że zachęciłaś ją do spojrzenia na sytuację z mojego z punktu widzenia.

– Sądziłam, że to ważne.

– Rozumiem, czemu była taka zdenerwowana. - Zatrzymał się i kopnął wilgotny piasek.

– Kiedy odzyskałem dzieci, powróciłem do dawnej rutyny. Mikki również.

– Co masz na myśli?

– Nie miałem pojęcia, jak zajmować się rodziną.

– A kto ma? Wszyscy improwizujemy.

– Miło, że to mówisz, Jenno, ale niesłusznie mnie chwalisz.

– Jesteś dla siebie zbyt surowy. Założę się, że podobny byłeś w wojsku.

– Tylko w ten sposób można było przeżyć. Ćwiczyć aż do osiągnięcia doskonałości. Masz do wykonania zadanie, więc przygotowujesz plan, a później go realizujesz. Podobnie jest w budownictwie. Planujesz, gromadzisz materiały i wznosisz dom według planu.

– Czy każde zadanie wojskowe i przedsięwzięcie budowlane przebiega zgodnie z planem?

– Nie, właściwie zawsze jest inaczej.

– Co wtedy robisz?

– Improwizuję. Reaguję na bieżąco.

– Myślę, że właśnie zdefiniowałeś istotę rodzicielstwa.
– Naprawdę w to wierzysz?
– Wiara nie jest wystarczająco mocnym określeniem. Ja tym żyję.
– Pewnie pomyślałabyś, że o tym wiem, skoro mam trójkę dzieci.
– Każde dziecko jest inne. Nie ma jednego rozmiaru lub modelu, który pasowałby na wszystkich. Mam jednego syna, ale pięcioro rodzeństwa. Doprowadzaliśmy rodziców do szaleństwa, każde na swój sposób. Zadanie rodzica nie jest łatwe, w połowie przypadków nie ma sensu, bywa też najtrudniejszym, najbardziej wyczerpującym wyzwaniem pod słońcem, choć i nagroda jest największa.

– To ci pomaga?

– Szczerze? Pewne elementy trzeba zastąpić innymi, które są jeszcze trudniejsze.

Jenna chwyciła go za ramię.

– Potrzeba czasu, Jack. Czasu i małych kroczków. Byłeś na krawędzi śmierci. Straciłeś ukochaną kobietę. Przeniosłeś się do nowego miasta. To bardzo wiele zmian.

– Dzięki, Jenno. Naprawdę chciałem coś takiego usłyszeć.

– Jestem zawsze gotowa do udzielania rad, choć większość ich pewnie jest zła.

– A ja uważam, że dobra. Przynajmniej dla mnie.

Powoli odsunęła rękę.

– Życie szybko się komplikuje, Jack. Potwornie szybko, a ja jestem głęboko przekonana o tym, że należy robić wszystko w odpowiednim czasie.

– Myślę, że zaczynam to dostrzegać. Dziękuję z obiad.

Cmoknęła go w policzek.

– A ja dziękuję, że mnie zaprosiłeś. Czemu sądziłeś, że to coś zmieni między tobą i mną? Pewnie pragnałeś zachęty, może odrobinę pocieszenia...

– Dla mnie to bardzo wiele. Nie zwracam się do innych z takimi sprawami. Jestem z natury samotnikiem. Kiedy Lizzie żyła, rozmawiałem z nią.

– Z twoją bratnią duszą?

– I najlepszym przyjacielem. Mogliśmy rozmawiać o wszystkim.

Jenna westchnęła z rezygnacją.

– Przed chwilą opisałeś moje wyobrażenia... nie, moje marzenia o doskonałym związku.

– Nasz związek nie był doskonały. Mieliśmy problemy.

– Ale wspólnie je rozwiązywaliście?

– Taak. Czyż nie o to chodzi w małżeństwie?

– Chyba tak powinno być, choć często myślę, że coraz rzadziej tak jest.

– Jestem zaskoczony, że powtórnie nie wyszłaś za mąż. Wiem, że nie było to spowodowane brakiem propozycji.

– Fakt - przyznała - ale już ci powiedziałam, że nie otrzymałam tej właściwej.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną do domu, zapytała:

– Jak się posuwają prace w latarni?

– Nieszczęśliwie - odparł. - Pewnie wyzionę ducha, próbując ją naprawić.

Gdy jakiś czas później odjeżdżał do siebie, Jenna obserwowała go z frontowej werandy z wyrazem zatroskania na twarzy.

Tydzień później Jack ostatni raz przekręcił klucz francuski, zaizolował połączenie elektryczne, przesunął pokrętło i cofnął się parę kroków. Codziennie pracował w latarni do późnej nocy. Czuł się jak maratończyk u kresu biegu. Trzy razy był przekonany, że zrobił wszystko jak należy, ale trzykrotnie się pomylił. Jego gniew i frustracja narastały z każdym rozczarowaniem. Od kilku dni prychał na Sammy'ego i dzieciaki, a jednak nadal znajdował się w tym samym punkcie co kiedyś.

– No! - powiedział, wypatrując choć odrobiny światła. - No, dawaj! Przecież wszystko się zgadza, aż do najdrobniejszego szczegółu! Czemu nie chcesz działać?!

Cofnął się, dotykając przełącznika doprowadzającego prąd do urządzenia. Odliczył do trzech, wypowiedział życzenie, wziął głęboki oddech i pociągnął.

Ponownie nic się nie stało. Latarnia pozostała ciemna, jak od lat.

Nie poczuł kolejnego silnego rozczarowania, tylko coś w nim pękło. Cała niedola, frustracja i strata, które nagromadziły się w jego wnętrzu, zostały nagle uwolnione. Chwycił klucz i cisnął nim w urządzenie. Klucz uderzył w ścianę, odbił się od niej rykoszetem i wybił szybę. Później Jack zbiegł po schodach, złapał stojącą na dole skrzynkę, wtaszczył ją na skały i rzucił jak najdalej. Uderzyła o brzeg, a jej zawartość roztrzaskała się o wilgotne skały. Jack wydał kolejny okrzyk wściekłości. Zbiegł na plażę, krzycząc, przeklinając i miotając się z wściekłością, aż upadł na piasek. Po chwili usiadł i zaczął się kołysać, chowając twarz w dłoniach. Pomiedzy zaciśniętymi palcami błysnęły łzy.

– Przykro mi, Lizzie. Tak bardzo mi przykro. Naprawdę próbowałem. Nie potrafię jej zmusić, żeby zaświeciła - powtórzył nieco ciszej. - Nie umiem się pogodzić z tym, że odeszła! Nie potrafię! To ty powinnaś tu być, nie ja!

Jego oddech się uspokoił, a umysł oczyścił. Im dłużej siedział, tym większego spokoju doświadczał. Spojrzał na ciemniejący ocean. Dostrzegł znajome światełka dalekich statków przemierzających Atlantyck. Przypominają gwiazdy uczeplone ziemi, pomyślał. Tak bliskie, a jednocześnie tak dalekie.

Podniósł głowę, szukając małego skrawka nieba Lizzie. Nigdy go nie znalazł. Niebo nas pochłania. Jest takie wielkie, a my tacy mali, pomyślał.

Z jakiegoś powodu czuł, że gdyby udało mu się naprawić latarnię, zdołałby naprawić wszystko. Czyste wariactwo. Życie było inne. Zrozumiał, w jaki sposób mała dziewczynka mogła się nabawić takiej obsesji na jej punkcie. Był dorosłym mężczyzną, a jego również to spotkało. Ludzki umysł był ogromny i nieprzewidywalny.

– Tato?

Odwrócił się i zobaczył, że za jego plecami stoi Mikki. Miała na sobie dół od pidżamy i T-shirt i spoglądała na niego z przerażeniem na twarzy.

– Nic ci nie jest? - zapytała bez tchu. - Słyszałam... słyszałam, jak krzyczysz. - Oplotła rękami jego krzepkie ramiona. - Nic ci nie jest, tato? - powtórzyła.

Wziął głęboki oddech.

– Staram się pojąć pewne rzeczy, ale dochodzę do wniosku, że to niemożliwe.

– Rozumiem - wyszeptała.

Spojrzał na Pałac.

– Przywiozłem was tutaj z egoizmu. Pragnąłem być bliżej waszej mamy. Dorastała tutaj.

To miejsce było pełne rzeczy, które do niej należały. Codziennie znajduję przedmioty, których dotykała.

– Rozumiem cię. Początkowo nie chciałam tu przyjechać, ale teraz się cieszę z tego powodu. - Dotknęła jego ramienia. - Codziennie patrzę na fotografię mamy, którą mi dałeś. Płacę, a z drugiej strony odczuwam pociechę.

Wskazał latarnię.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego urabiałem się po łokcie, próbując naprawić do cholery?

Usiadła obok niego.

– Bo kochałeś mamę? - zapytała niepewnie. - A ona tego pragnęła?

– Początkowo też tak sądziłem, ale w końcu to do mnie dotarło, kiedy zobaczyłem, jak tu stoisz. Jakby sprzed moich oczu zniknęła mgła. - Przerwał i otarł twarz rękawem. - Zrozumiałem, że chciałem coś naprawić. Wszystko jedno co. Pragnąłem odhaczać kolejne punkty listy, mając nadzieję, że gdy zrobię to, co do mnie należy, rezultat będzie natychmiastowy i wszystko zacznie ponownie działać. Że wszystko znowu będzie dobrze.

– Ale tak się nie stało?

– Nie, a wiesz dlaczego?

Mikki pokręciła głową.

– W życiu jest inaczej. Możesz zrobić wszystko jak należy. Wszystko, co według ciebie powinno zostać zrobione. Spełnić wszelkie oczekiwania innych, a mimo to nie otrzymać tego, na co zasługujesz. Życie jest szalone i zwariowane. Często nie ma sensu. - Przerwał i spojrzał na córkę. - Ludzie, którzy mieli umrzeć, żyją, a ci, którzy powinni z nami pozostać, odchodzą. Nie możesz na to nic poradzić, nie możesz niczego zmienić. Niezależnie od tego, jak bardzo będziesz się starała. To nie ma żadnego związku z naszymi pragnieniami, ale z często bezsensowną rzeczywistością. - Zamilkł i spojrzał na czarny ocean.

Mikki przytuliła się do ojca i ujęła jego dłoń.

– Jesteśmy z tobą, tato. Jestem przy tobie. Ja też jestem częścią twojej rzeczywistości.

Jego uśmiech sprawił, że lęk Mikki w końcu się rozwiął.

– Wiem, kochanie - powiedział, przytulając ją. - Pamiętasz, że byłem przerażony, gdy umierał mój ojciec? Że odsunąłem się od wszystkich?

– Taak.

– Kiedy zostawiła mnie mama, odsunąłem się jeszcze bardziej. Gdyby nie twoja matka, odsuwałbym się coraz dalej, aż w końcu bym zniknął. Uprawiałem sport i zajmowałem się innymi rzeczami, ale miałem niewielu przyjaciół, pewnie dlatego, że nie chciałem ich mieć. Później się ożeniłem i wstąpiłem do wojska. A jeszcze później wróciłem do domu i wybrałem zajęcie, które wymagało długich godzin pracy i wiele mozółu.

– Musiałeś utrzymać rodzinę.

– Taak, ale myślę, że w dalszym ciągu się oddalałem. Nadal próbowałem się ukryć.

– Byłeś przy nas, tato.

– Ominęło mnie wiele rzeczy, choć nie powinno. Oboje o tym wiemy.

Ścisnęła jego ramię.

– Jeszcze wiele ich pozostało - powiedziała cicho.

Skinął głową.

– Tak, jeszcze wiele ich pozostało, kochanie. Całe życie.

Kiedy zadrżała, Jack otoczył ją ramieniem.

– Chodź. Wracajmy.

Kiedy szli obok latarni, Mikki spojrzała na nią i powiedziała:

– Jesteś pewien?

Jack nawet nie spojrzał na latarnię.

– Tak, kochanie - odparł. - Absolutnie.

Objęli się ramionami i wrócili do Pałacu.

Wrócił do swojego pokoju i padł wyczerpany na łóżko, ale nie zasnął. Leżał chwilę bez ruchu, wpatrując się w sufit. Życie często bywało niesprawiedliwie, obłąkane i niszczące, ale jego alternatywą było nieistnienie. Otrzymał cudowny dar i zdążył roztrwonić znaczną jego część. Pomyślał, że pora z tym skończyć. Natychmiast.

Otworzył szufladę nocnego stolika i wyciągnął plik listów. Sięgnął po kopertę z numerem pięć, wyjął kartkę i włączył lampę. Był głęboko przekonany o tym, co niedawno powiedział Mikki, bo opisał to w swoim liście, tylko zwyczajnie o tym zapomniał albo raczej zignorował w dążeniu do niemożliwego. Zaczął czytać.

Droga Lizzie

Muszę Ci wyznać coś, co odbyłem, przypatrując się życiu z perspektywy swojego łóżka. Wyznać i przeprosić. Nie byłem szczególnie dobrym mężem i ojcem. Przez połowę naszego wspólnego życia walczyłem na wojnie, a przez drugą ciężko pracowałem. Podobno żaden człowiek nie chciałby, aby na jego nagrobku napisano, że żałuje, iż nie mógł więcej pracować. Pewnie zaliczam się do tej kategorii, ale już za późno, by coś zmienić. Otrzymałem swoją szansę. Kiedy obserwuję dzieci, zdaję sobie sprawę, ile straciłem. Mikki jest prawie dorosła i ma własne życie. Cory posiada skomplikowaną cichą osobowość. Nawet Jackie to odrębny charakter. Szkoda, że wcześniej tego nie dostrzegłem. Najbardziej żałuję, że opuszczę Cię przed czasem. Bardzo też żałuję, że nie będę mógł uczestniczyć w życiu dzieci. Może sądziłem, że będę miał więcej czasu, by to naprawić, ale to kiepska wymówka. To smutne, gdy człowiek odkrywa, co jest najważniejsze w życiu, kiedy jest już za późno. Powiadają, że święta Bożego Narodzenia to czas drugiej szansy. Mam nadzieję, że przez dwa kolejne dni mojej drugiej szansy zrobię to, co powinienem, dla ludzi, których kocham najbardziej.

Kocham Cię, Jack

Wolno złożył kartkę i wsunął ją do koperty. Kiedy pisał listy, były jedyną rzeczą, którą chciał po sobie zostawić. Były wyznaniem jego serca, pisał w nich o rzeczach, które przychodzą nam do głowy, kiedy trywialne życiowe sprawy przestają się liczyć, bo pozostało już niewiele cennego czasu. Gdyby wszyscy żyli, jakby stale zagrażała im śmierć, pomyślał, świat byłby znacznie lepszym miejscem. W końcu jednak były to tylko listy. Lizzie przeczytałaby je i być może dostarczyłyby jej pewnej pociechy, ale nadal pozostałyby słowami. Nadszedł czas działania. Wiedział, co powinien zrobić.

Bądź dobrym ojcem dla swoich dzieci. Napraw tę część swojego życia.

Wstał i ruszył z pokoju do pokoju, żeby sprawdzić, czy u dzieci wszystko w porządku. Usiadł obok śpiącego spokojnie Jackiego, patrząc, jak chłopczyk obejmuje ręką ciężarówkę potwora. Cory spał na brzuchu, z rękami pod tułowiem, cicho pochrapując. Następnie stanął w drzwiach sypialni Mikki, obserwując, jak jej pierś podnosi się i opada wraz z cichym oddechem.

Zamknął drzwi i zszedł na dół, na osłoniętą tylną werandę. Z tego miejsca mógł zobaczyć latarnię rysującą się na tle nieba. Uczynił ją mitycznym symbolem, choć była jedynie stertą cegieł, desek i metalowych śrub. Nie była Lizzie. Nie miała serca, w przeciwieństwie do trójki śpiącej w sypialniach na górze. Troje dzieci potrzebowało ojca.

W ostatnim liście biadolił, że nie otrzymał drugiej szansy. A jednak ten obłąkany,

niesprawiedliwy świat, przeciwko któremu tak się burzył, uczynił coś niezwykłego. Obdarzył go nowym życiem.

Zakończyłem bieg.

Wrócił do łóżka i pierwszy raz od dłuższego czasu przespał całą noc.

Następnego dnia Jack odwiesił pas z narzędziami na resztę lata. Zamiast pracować, woził Jackiego i Cory'ego na zajęcia letniego obozu Anne Bethune. Zamiast dostarczać ich na miejsce i zostawiać, bawił się i uczył razem z nimi. Rysował obrazki i budował skomplikowane konstrukcje z klocków lego z Jackiem, a później śmiał się i pomagał malcowi jej burzyć. Uczył syna, jak wiązać sznurówki i kroić jedzenie. Pomagał budować dekoracje teatralne do sztuk Cory'ego i pisał razem z nim.

Po zakończeniu zajęć szli na plażę, pływali, wznosili zamki z piasku i rzucali piłką lub fresbee. Jack kupił parę latawców i nauczył chłopców, jak nimi sterować. Kiedyś znaleźli parę wędek w piwnicy Pałacu i łowili z brzegu. Niczego nie złapali, ale świetnie się bawili, podejmując opłakane próby schwywania na haczyk choć jednej ryby.

Jenna i Liam odwiedzali ich regularnie. Czasami Liam przynosił perkusję i razem z Mikki ćwiczyli przed konkursem talentów. Ponieważ Pałac nie miał dźwiękochłonnych pomieszczeń, grali na szczycie latarni. Głośne dźwięki rozprasały się wysoko, a mewy miały jakąś rozrywkę.

Przynajmniej na coś się przydała, pomyślał Jack.

On i Mikki odbywali długie spacerowanie plażą, rozmawiając o sprawach, o których nie gadali nigdy wcześniej. O Lizzie, ogólniaku, chłopcach, muzyce i o tym, co chciałyby robić w życiu.

Mikki w dalszym ciągu pracowała w restauracji Jenny, a Jack i Sammy wpadali tam często na posiłki. On i Jack wykonali parę napraw dla Jenny, ale tylko dlatego, że nie chciała przyjmować od nich pieniędzy za jedzenie. Charles Pinckney odwiedził ich w Pałacu. Opowiadał im stare historie o czasach, kiedy Lizzie była dziewczynką w wieku Jackiego. Wszyscy siedzieli i słuchali go z otwartymi ustami, szczególnie Jack.

Jack zabierał Jennę na przejażdżki harleyem. Wspólnie jadali, spacerowali plażą i rozmawiali. Dużo się śmiali, czasem obejmowali się i trzymali za ręce, ale na tym koniec.

Byli przyjaciółmi.

Lato zaczęło upływać tak, jak tego pragnął. Lubił siedzieć do późna, nasłuchując dźwięków dochodzących w ciemności, próbując odróżnić oddechy dzieci. Stał się w tym nawet całkiem dobry. Czasem Jackie miał zły sen. Walił wtedy do drzwi taty i gramolił się do jego łóżka. Przytulał się do taty, a Jack delikatnie gładził go po głowie, dopóki chłopiec ponownie nie zasnął.

Pewnego wieczoru obaj z Sammym pili piwo na osłoniętej werandzie. Mikki i Liam kończyli próby w latarni przed konkursem. Chłopcy przebywali na plaży, budując ostatni zamek z piasku tego dnia. Słońce zaczęło zachodzić, pokrywając niebo pomarańczem i czerwienią.

Sammy spojrzał na przyjaciela.

– Dobre życie, prawda?

Jack skinął głową.

– Dobrze.

– Lato niemal dobiegło końca.

– Wiem.

– Jakie masz plany?

– Ciągle się zastanawiam. - Jack spojrzał na niego. - A ty?

– Ciągłe się zastanawiam.

Odwrócili się, gdy ktoś zapukał do drzwi werandy. Na progu stała Jenna.

– Przyjechałam po Liama i jego graty - powiedziała, przysiadając się do nich. - Jutro wielki dzień. Powinni odpocząć.

– Pomogę mu - powiedział Sammy.

Zanim któreś zdążyło zareagować, wyszedł, zostawiając Jacka i Jennę samych.

– Co się stało? - zapytała.

Jack spojrział na nią.

– Jak to co?

– Jesteś zmieniony człowiekiem, Jacku Armstrong. Byłam ciekawa dlaczego.

Dopił piwo.

– Może zabrzmiał to odrobinę tandetnie, ale czasem, kiedy człowiek otworzy oczy, zaczyna naprawdę widzieć - powiedział.

– Cieszę się razem z tobą. Naprawdę.

– Wiele ci zawdzięczam, Jenno.

Machnęła ręką.

– Sam byś do tego doszedł.

– Nie wiem. Przez długi czas nie miałem o tym pojęcia. - Spojrzeli na ocean, a później na latarnię.

– Nie udało mi się jej naprawić - powiedział.

– Czasami rzeczy nie działają, dopóki nie są naprawdę potrzebne.

Wolno skinął głową.

– Przyjdiesz na jutrzejszy konkurs?

– Co za pytanie? Oczywiście.

– Pojedź z nami. Sammy zabierze instrumenty furgonetką, a my możemy pojechać volkswagenem.

– Widzę, że wszystko zostało zaplanowane.

Jenna wyjechała razem z Liamem, a domownicy Pałacu zaczęli się szykować do snu.

Jack zapukał do drzwi Mikki i wszedł do środka.

Siedziała na skraju łóżka, przeglądając nuty do jutrzejszego występu z Liamem. Jack przycupnął obok niej.

– Przecież znasz wszystko na pamięć - powiedział.

– Nie można być za dobrze przygotowanym.

– Zaczynasz mówić jak twój stary.

– To źle?

Uśmiechnął się ponuro.

– Mam nadzieję, że nie. Słuchaj, jestem przekonany, że dacie wspaniały koncert.

Niezależnie od tego, czy zwyciężycie.

Spojrzała na niego znad nut.

– Wygramy, tatusiu.

– Nie ma nic złego w pewności siebie, ale nie bądź zbyt zadufana.

– Nie o to chodzi. Zapoznałam się z programem konkurencji. Widziałam nawet wideo, na którym mała Tiffany wywija pałką tamburmajora. W najlepszym razie jest przeciętna. Nie mam pojęcia, jak zdołała wygrać trzy razy z rzędu. A właściwie się domyślam. Wiem, że jej matka prowadzi to przedstawienie, ale nikt nie pracował tak ciężko, jak Liam i ja.

– Cóż, cokolwiek się stanie, przyjdę i będę was dopingował. - Wstał, żeby odejść. -
Musisz się porządnie wyspać. Nie siedź do późna, dobrze?

Odwrócił się do drzwi.

– Tato?

Spojrzał na nią.

– Tak, Mik?

Wstała z łóżka i objęła go ramionami.

– Dziękuję, tatusiu.

Przytulił ją do siebie.

– Za co, córeczko?

Spojrzała na niego i powiedziała:

– Za to, że do nas wróciłeś.

– Występujemy przedostatni - powiedziała, Mikki wracając za kulisy.

Liam spojrzął na nią.

– Kto jest ostatni?

Mikki zrobiła minę.

– A jak sądzisz? Obecna mistrzyni. W ten sposób będzie wiedziała, jak poszło konkurencji, a jej występ pozostanie na świeżo w pamięci jurorów.

Liam wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Widziałem sędziów. Wszyscy są kumplami jej mamuśki.

– Nie trać wiary. Ciężko pracowaliśmy i mamy wspaniały program.

– A publiczność?

– Przyszła masa ludzi. Nasze rodziny siedzą na środku sali.

Mikki odwróciła się i ujrzała Tiffany w krótkiej białej sukience.

Zmierzyła ją wzrokiem.

– Zachowałaś swój kusy debiut na koniec?

– Tata zawsze powtarza, żeby nie rozdawać niczego darmo, skarbie. - Zlustrowała Mikki od góry do dołu. Mikki miała nastroszone zielono-czerwone włosy i czarny kostium. - Ale jeśli nie masz tego, czego ktoś chce, trzeba to zrobić.

Mikki uśmiechnęła się z wyższością.

– Wow! Cóż za głęboka myśl! Będiesz podrzucała płonąca pałeczkę?

Tiffany spojrziała na nią jak na wariatkę.

– Nie. Czemu miałbym to robić? To niebezpieczne.

– Żeby nas pokonać, będziesz musiała opuścić swoją strefę bezpieczeństwa. Poziom rywalizacji znacznie się podniesie. Skarbie.

Tiffany się roześmiała, ale Mikki dostrzegła w jej oczach cień niepewności.

Zmroziła swoją rywalkę.

Przed rozpoczęciem konkursu poszli z Liamem przywitać swoje rodziny.

Armstrongowie, Sammy, Charles Pinckney i Jenna nadal siedzieli razem.

Jenna uśmiechnęła się i przytuliła swojego syna oraz Mikki.

– Jestem z was naprawdę dumna.

– Załatwcie ich! - zawołał Cory.

– Tak, załatwcie! - krzyknął Jackie.

Na widownię weszła Chelsea Murdoch ze swoją świtą. Jej sukienka była zbyt obcisła i zbyt krótka, a obcasy zbyt wysokie jak na jej wiek. Wyglądała dokładnie tak, jak własna córka, tylko o dwadzieścia pięć lat starsza.

Spojrziała na Jennę.

– Nie widziałam cię tu wcześniej.

– Wcześniej nie miałam powodu, żeby tu przychodzić, Chelsea - odparła Jenna. - Liam pierwszy raz bierze udział w konkursie.

Murdoch uśmiechnęła się z wyższością.

– Tiffany wygra czwarty raz z rzędu. Publiczność zawsze przepadała za jej występami.

Myśli o tym, żeby nosić pałeczkę w college'u - dodała wyniośle.

– Szczęściara - wtrąciła Mikki. - Dobrze mieć zaplanowaną karierę.

Zanim pani Murdoch zdążyła coś powiedzieć, Mikki dodała:

- Muszę już iść. Za chwilę zacznie się konkurs.
- Powodzenia, Mik - powiedział Jack.

Mikki zmierzyła mamę Tiffany i powiedziała:

- To nie kwestia powodzenia, tato. Wszędzie pisali, że to konkurs talentów.

Do konkursu przystąpiło dwudziestu jeden uczestników, ale męski chór z czterech śpiewaków był całkiem niezły. Mikki obserwowała ich z boku sceny, zastanawiając się po cichu, czy stanowią dla nich konkurencję. Liam po prostu stał za kulisami, próbując się rozluźnić i bezmyślnie stukając pałeczkami. Wróciła do niego i wzięła gitarę.

- Pora na występ, geniuszu.
- Spoko, mało nie zasnąłem.
- Dokładnie tego potrzebowałam. Perkusista z lodem w żyłach.

Liam uśmiechnął się do niej.

- Zakołyszmy tym zaspanym miasteczkiem.
- Zakołyszmy - przytaknęła Mikki.

Zaczęli spokojnie, ale publiczność mimo to krzyczała i klaskała. Wyczuwając, że atmosfera robi się coraz bardziej gorąca, Mikki dała Liamowi umówiony znak. Podkreśliła wzmacniacz, włączyła wah-wah* [*Podłogowy efekt gitarowy.*] i zaczęła szybko poruszać dłonią po gitarze Fendera. W sali huknęło jak na koncercie Queenów, a Liam poruszał się tak szybko, jakby się rozdwoił, grając na przemian na perkusji i keyboardzie. Publiczność skoczyła na nogi, śpiewając słowa piosenki.

Mikki wiedziała, że gdy ludzi ogarnie szal entuzjazmu i uznają, iż dałeś z siebie wszystko, trzeba zrobić coś wyjątkowego.

Dać im jeszcze więcej.

Odłączyła wzmacniacz, zdjęła gitarę i rzuciła ją przez scenę. W tej samej chwili Liam rzucił pałeczki w drugą stronę. Mikki chwyciła pałeczki, a on fendera i zamienili się rolami. Liam włączył wzmacniacz i przejął rolę gitarzysty, po mistrzowsku przesuwając długimi palcami po strunach gitary. Mikki przycupnęła na stołku, wydobywając dźwięki z całego zestawu instrumentów perkusyjnych.

Wykonali podwójny finał z dwiema solówkami. Mikki zatrzęsała posadami teatru, dając sześciominutowy popis zakończony potężnym crescendo i poruszając rękami tak szybko, jakby miała ich sześć. Kiedy publiczność straciła oddech i miała obolałe dłonie od klaskania. Liam wykonał solówkę na gitarze, z której mogliby być dumni Jimmy Page i Santana. Począł, aż wybrzmi ostatni akord, a teatr zadrży, jakby wstrząsnęła nim armatnia salwa.

Po chwili ciszy publiczność wzięła oddech i rozległa się niemilknąca burza braw, okrzyków i owacji.

Kiedy wrócili za kulisy, inni uczestnicy podbiegli, żeby im pogratulować.

– Zagraliście prawdziwego rocka - powiedział baryton z chóralnego kwartetu. - Miałem wrażenie, jakbym słuchał mojej ulubionej kapeli rockowej Three Dog Night.

Liam i Mikki usunęli się na bok, uśmiechnięci i bez tchu. Tiffany minęła ich bez słowa. Rozpięła szlafroczek, pozwalając, żeby opadł na podłogę. Strój, który się pod nim znajdował, pozostawiał niewiele wyobraźni. Odwróciła się do nich i wykonała gest sugerujący, że przegrali.

Mikki wskazała scenę.

– Jeszcze nie przegrałaś. To nastąpi dopiero za chwilę, słoneczko.

Jeśli pominąć dwa potknięcia i numer, w którymomal nie upuściła pałeczki, występ Tiffany był w porządku. Dostała umiarkowane brawa z wyjątkiem części sali, w której siedziała jej matka. Znajomi Chelsea klaskali bez końca, aż ludzie zaczęli się odwracać, by zobaczyć, kto tak owacyjnie przyjmuje przeciętny występ.

Kilka minut później zaproszono na scenę wszystkich wykonawców.

Mikki odnalazła ojca w tłumie i pokazała mu uniesione kciuki. Jack odpowiedział jej tym samym gestem, a Sammy energicznie zasalutował. Cory skłonił się szarmancko, podkreślając panowanie siostry na scenie, a Jackie go zmałpował.

Jenna podchwyciła wzrok Liama i przesłała mu całusa.

Główna z jurerek wstała i odchrząknęła.

– Podjęliśmy decyzję. Zanim ją ogłoszę, chciałabym podziękować wszystkim uczestnikom za ich znakomity występ.

Jej słowa nagrodzono uprzejmymi brawami.

– Trzecie miejsce przyznano Judy Ringer za znakomite wykonanie tańca z *Dziadka do orzechów*.

Judy, chuda czternastolatka, podbiegła, by odebrać swoją nagrodę i bukiet kwiatów.

– Dziękuję, Judy. Drugie miejsce otrzymał Dickie Dean i jego chórek.

Mężczyzna, który pochwalił występ Mikki i Liama, odebrał nagrodę przy wtórze oklasków.

– A teraz zdobywca pierwszego miejsca.

Publiczność wstrzymała oddech.

– Po raz czwarty z rzędu zwyciężyła Tiffany Murdoch wspaniale żonglująca pałeczką.

Tiffany podeszła, żeby odebrać nagrodę - czek na sto dolarów i kwiaty. Jej matka była rozpromieniona. Tiff sięgnęła po mikrofon z kwiatami w ręku.

– Jestem pełna wdzięczności. Czwarty raz z rzędu, kto by pomyślał, że to możliwe?

Chciałabym podziękować jurorom i...

– Ale kit! - ryknął jakiś głos.

Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku Cory'ego, który stał na fotelu, oskarżycielsko wskazując palcem główną jurorkę.

– To oszustwo! - krzyknął Cory.

– Oszustwo! - powtórzył Jackie, który wgramolił się na fotel i wyciągnął palec jak brat.

– Cor! Jackie! Natychmiast na podłogę! - warknął Jack, ale w tej samej chwili poczuł rękę Jenny na ramieniu.

– Oni mają rację. - Jenna podniosła się i zawołała: -To oszustwo!

Jack wzruszył ramionami, wstał i zawołał:

– Chcecie mi powiedzieć, że nie zasłużyli nawet na trzecią nagrodę? Ci ludzie to czubki!

Główna jurorka i Chelsea Murdoch rzuciły im gniewne spojrzenia.

Kolejny chór protestów rozległ się w tylnej części sali.

Mikki odwróciła się, żeby ich zobaczyć. Okazało się, że to Blake i kilku ludzi ze Sweat Town, wśród nich kobieta, która obsługiwała gości na przyjęciu Tiffany.

– Powtórne liczenie głosów! - zażądał Blake. - Powtórne liczenie!

Mikki uśmiechnęła się do niego.

– Powtórne liczenie! Powtórne liczenie! - ryknęła cała sala.

Tiffany stała na środku sceny, udając, że nie słyszy krytyki. Trzymała nagrodę i pozowała do zdjęć fotografowi lokalnej gazety.

Wtedy tłum zawołał:

– Bis! Bis!

Mikki spojrzała na Liama.

– A niech to! - powiedział. - Zagrajmy im utwór Deep Purple.

Skinęła głową, sięgnęła po gitarę, podkręciła wzmacniacz, ustawiła stopę na pedale wah-wah i tak mocno uderzyła akord, że Tiffany krzyknęła i omal nie spadła ze sceny. Mikki spojrzała na Liama i skinęła głową. Chwilę później salą wstrząsnęły przeszywające dźwięki piosenki *Smoke on the Water*.

Gdy po kilku minutach ucichły ostatnie dźwięki, Liam i Mikki objęli się i złożyli głęboki ukłon publiczności. Na ten znak rozentuzjasmowany tłum ruszył z krzykiem na scenę. Tiffany musiała uciec, żeby uniknąć stratowania. Reporter i fotograf przyłączyli się do tłumy, zostawiając dziewczynę z pałeczką tamburmajora. Tiffany zbiegła ze sceny, rzuciła nagrodę do

kosza i wybiegła z teatru. Chelsea Murdoch ruszyła w ślad za nią, starając się uspokoić rozwścieczoną córkę.

Kiedy wracali volkswagenem do domu, Mikki i Liam siedzieli z tyłu. Byli spoceni ze zmęczenia, ale promieniowali radością.

– To największy dzień w moim życiu - powiedział Liam. - Jeszcze nigdy przegrana nie sprawiła mi takiej satysfakcji.

Jack spojrział na odbicie córki w lusterku wstecznym.

– Co się stało z alternatywną muzyką i niekonwencjonalnym doбором instrumentów?

Uśmiechnęła się do niego.

– Kurczę, naprawdę słuchałeś! Jestem pod wrażeniem. Czasami nic nie dorówna staremu dobremu rock and rollowi, tato.

– Ale najlepszy był widok Tiffany wybiegającej z teatru - dodał Cory.

Jenna spojrzała do tyłu i klepnęła Jacka w ramię, wskazując ich oczyma. Spojrział w lusterko i zobaczył, że Liama i Mikki wymieniają przelotny pocałunek.

– Myślę, że to jest dla nich najlepsze - wyszeptała.

- Stój! - krzyknął Jack.

Kiedy wyszli z Sammym ze sklepu spożywczego w centrum Channing, Jack zauważył mężczyznę, który chwycił jego pas z narzędziami z furgonetki i zaczął uciekać. Ruszyli za nim. Jack biegł przodem. Zauważył, że złodziej skoczył w boczną uliczkę, więc skręcił na rogu i przyspieszył. Sammy pędził tuż za nim. Boczna uliczka po chwili zamieniła się w alejkę. Wbiegli na szerszą pozbawioną wylotu przestrzeń. Zatrzymali się przed ścianą z cegieł, ciężko dysząc.

W tej samej chwili zrozumieli, co się święci.

– To pułapka - wysapał Jack.

– Wpadliśmy w nią jak para tępaków z ogólniaka.

Obejrzel się za siebie i ujrzał pięciu roślących mężczyzn z kijami bejsbolowymi, którzy do tej pory ukrywali się za pojemnikami na śmieci. Jack zauważył, że prowodyrem był ten sam mężczyzna, którego rzucił na furgonetkę kilka dni po przyjeździe do Channing.

Tamci ruszyli przed siebie, a Jack i Sammy zaczęli się cofać, aż dotarli do muru z cegieł na końcu alejki. Jack wyciągnął pasek, owinał nim dłoń i stanął gotowy do walki. Sammy podwinął rękawy roboczej koszuli i przyjął postawę obronną.

– Który chce pierwszy wylądować w szpitalu? - warknął, kiwając ręką.

Największy z mężczyzn ruszył przodem, unosząc kij. Jack zamachnął się pasem. Metalowa klamra uderzyła tamtego w prawe ramię, rozorując ciało. Facet krzyknął i wypuścił kij. Sammy kopnął go w brzuch, powalając na kolana. Później zacisnął żelazne ramiona na karku olbrzyma.

– Nie będę marnował najlepszych ciosów na tego mięczaka - powiedział, łamiąc mu szczękę prawą ręką niczym młotem i rozciągając na asfalcie. Sammy podniósł głowę. - Jeden załatwiony. Który chce być następny?

Dwaj mężczyźni, wśród nich dawny znajomy Jacka, z krzykiem skoczyli naprzód. Jack chwycił jego kij, wykonał obrót i pociągnął z całej siły. Facet przeleciał obok niego, uderzył w mur i odbił się od niego. Zamroczony podniósł się w samą porę, by zostać powalony na ziemię ciosem w szczękę.

Sammy podciął nogi drugiemu. Wyrwał mu kij i zdzielił go po głowie, pozbawiając przytomności. Kiedy spojrzeli wokół, pozostali mężczyźni zniknęli.

– Po robocie! Nawet nieźle się bawiłem! - powiedział Sammy.

Jego uśmiech przygasł, gdy w alejce pojawił się szeryf Tammie w towarzystwie chudego zastępcy. Tammie spojrzął na powalonych mężczyzn oraz Jacka i Sammy'ego trzymających kije bejsbolowe. Wyciągnął broń z gniewnym wyrazem twarzy.

– Odłóżcie kije! Jesteście aresztowani!

– Ci ludzie nas napadli! - krzyknął Jack, odkładając kij razem z Sammym.

– Czemu są nieprzytomni, a wy dwaj trzymacie kije?

– Nie potrafili się bić - odparł Sammy. - Czy to nasza wina?

Jack wskazał na jednego z mężczyzn leżących na chodniku.

– Proszę spojrzeć, to ten sam, który mnie kiedyś zaczepił. On i jego kumple zastawili na nas pułapkę, żeby wyrównać rachunki. Działaliśmy w obronie własnej.

– Zdecyduje o tym sąd.

- Naprawdę nas pan oskarży? - zapytał Jack. - A oni?
- Też trafią do pudła.
- Cóż, choć odrobina sprawiedliwości - prychnął Sammy.
- Zadbamy, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Wszystko będzie jak należy - powiedział Tammie.

Jack i Sammy zostali skuci kajdankami, odprowadzeni do radiowozu szeryfa i przewiezieni do aresztu. Jack opadł bezwładnie na ławkę w celi, ale Sammy zapytał:

- Hej, chyba mamy prawo do prawnika?
- Przecież poinformowałem was o waszych prawach.

Tammie pozwolił Jackowi wykonać telefon.

- Cześć, Jenna - powiedział. - Mówi Jack. Mamy problem.

Dziesięć minut później Jenna i Charles Pinckney wpadli do biura szeryfa i zostali zaprowadzeni do aresztu, żeby mogli porozmawiać więźniami.

- Boże, Jack, co się stało?

Wyjaśnił jej, co zaszło w alejce.

- Rozmawiałam z szeryfem. Zgodził się wypuścić was za kaucją - powiedziała.
- Zatem jesteśmy wolni?
- Tak, ale Tammie powiedział, że tamci złożą pozew przeciwko wam.
- Czy nie będzie to ich słowo przeciwko naszemu? - zapytał Sammy.
- Mimo to trzeba będzie pójść do sądu.
- Przecież nie zrobiliśmy nic złego.
- Przykro mi, Jack - powiedziała Jenna. - Staram się, jak mogę.

Jego gniew nieco osłabł.

- Wiem. Jestem ci wdzięczny, że tak szybko przyjechałaś. Nie wiedziałem, do kogo innego mógłbym zadzwonić.

- Tymczasem jesteście wolni. Pójdę po szeryfa.

Dwa dni później do drzwi Pałacu zapukał mężczyzna w garniturze.

Jack otworzył.

- Jack Armstrong?
- Taak, a pan kto?

Mężczyzna podał mu jakieś dokumenty.

- Pismo zostało doręczone - oznajmił.

Kiedy odszedł, w drzwiach stanął Sammy.

- Co za jeden? - zapytał. - Jakie dokumenty? Czy chodzi o tych drani, którzy napadli nas w alejce?

Jack szybko przejrzał pismo.

Kiedy podniósł głowę, jego oczy były pełne gniewu i strachu.

- Nie, jest gorzej. Bonnie chce mnie pozbawić opieki nad dziećmi.

– Nie mogę uwierzyć, że babcia to robi! - zawołała Mikki. - Dlaczego?

Członkowie rodziny Armstrongów siedzieli na kanapie i podłodze w Pałacu. Byli tam również Sammy, Liam i Jenna. Jack pokazał Jennie dokumenty, a ona przejrzała je uważnie.

– Nie wiem - odparł Jack, choć szczerze mówiąc, domyślał się powodu.

Jenna podniosła głowę znad dokumentów.

– Złożyła wniosek o przyspieszoną procedurę, żeby uzyskać prawo tymczasowej opieki i spokojnie czekać na pełną rozprawę. Mówiąc wprost, chce szybko stanąć przed sędzią, żeby odebrać ci dzieci, a później martwić się o resztę.

– Zdoła tego dokonać? - zapytał Sammy.

– Sądy są otwarte dla wszystkich, ale musi udowodnić, że ma rację. Trudno pozbawić dzieci rodziców.

– Kiedy i gdzie ma dojść do rozprawy? - zapytał Jack.

– Za dwa dni. Przed sądem rodzinnym w Charlestonie.

– Przecież mieszkamy w Ohio?

– Ale masz nieruchomość w Karolinie Południowej i przebywasz tu obecnie, choć jedynie tymczasowo. Może uda mi się wykazać, że sąd Karoliny Południowej nie jest właściwy w tej sprawie.

– Może ci się uda? - zdziwił się Jack.

– Masz kogoś innego, kto mógłby cię reprezentować? Mam pozwolenie na praktykę w Karolinie Południowej i wszystkie niezbędne zezwolenia.

– Znasz się na prawie rodzinnym? - zapytała Mikki.

– Tak, kiedyś zajmowałam się takimi sprawami. Wiem też, jak poruszać się w sądzie. - Podniosła dokumenty. - Mamy niewiele czasu, żeby się przygotować.

– Jenna, przecież musisz prowadzić restaurację.

– Mogę się tym zająć - odpowiedział Liam, zanim zdążyła zareagować. - Mama wszystkiego mnie nauczyła. Nie będzie problemu.

Jenna uśmiechnęła się do nich.

– Widzicie?

– Jesteś pewna?

– A co tam! Będzie to dla mnie miła odmiana. Kiedy człowiek piecze tyle placków co ja, potrzebuje czasem komuś dowalić. Pójście do sądu da mi okazję skopania tyłka paru idiotom. Oczywiście nie dosłownie. Wiesz, o co mi chodzi.

– W porządku, ale będziesz musiała wystawić mi rachunek.

– Na pewno dojdziemy do porozumienia.

– Co według niej może skłonić sąd do odebrania nas tacie? - zapytała Mikki.

Twarz Jenny spoważniała. Spojrzała pytająco na Jacka, który skinął głową.

– Możesz im powiedzieć.

– Mówiąc w skrócie, Bonnie twierdzi, że wasz ojciec nie nadaje się na opiekuna. Że stanowi zagrożenie dla siebie i innych.

– To idiotyczne! - krzyknął Cory, skacząc na równe nogi.

– Idiotyczne! - przytaknął Jackie, okazując zdumiewającą zależność od brata i nie ruszając się z miejsca, z rękami buntowniczo założonymi na małej piersi.

– Nie twierdzę, że się z nią zgadzam, powtarzam jedynie jej stanowisko.
– Ma jakieś dowody? - spytała z ożywieniem Mikki. - Nie może, bo to nieprawda.
– Będzie mogła je przedstawić podczas przesłuchania - wyjaśniła Jenna, ponownie spoglądając na Jacka. - A my będziemy musieli dowieść, że nadajesz się na opiekuna.
– W jaki sposób?
– Możesz zeznawać. Mikki i Cory też. Oczywiście Jackie jest zbyt mały. Mogę też powołać Charlesa, żeby zaświadczył o twoim charakterze. I Sammy'ego. Mogą zeznać, że się nadajesz. Nie mam pojęcia, jakich argumentów użyje, ale wyobrażam sobie, że przytoczy dowody wymagane, by odebrać dzieci rodzicowi.

Jack odprowadził Jennę do samochodu.

– Jest pewna sprawa, o której nie chciałam mówić przy dzieciach, Jack.
– Jaka?
– Nie sądzę, żeby moment złożenia pozwu był przypadkowy. Dziwnie zbiega się w czasie z twoim aresztowaniem za napaść. Mogła się o tym bez trudu dowiedzieć. Mogę ci zagwarantować, że się tym posłużą, aby dowieść swojej racji.

– Przecież jestem niewinny.
– To bez znaczenia. Chodzi o opinię sądu. A jeśli zdołają przekonać sędziego, że masz skłonność do gwałtownych zachowań? Nie będzie to korzystna okoliczność.
– Wspaniale, zatem jestem winny, dopóki nie dowiodę swojej niewinności!
– Jack, jeśli jest coś jeszcze, o czym powinieneś mi powiedzieć, teraz jest na to pora.
– O co ci chodzi?
– Dłaczego twoja teściowa to robi?
– Obwinia mnie o śmierć Lizzie. Przyjechała tutaj, udając, że chce się pogodzić, ale odrzuciłem jej propozycję zamieszkania razem z nimi w Arizonie. Tego lata wpadła tu tylko raz, żeby spotkać się dziećmi. To mi dopiero babcia.

– Mylisz się, tato.
Odwrócili się i ujrzeli Mikki.
– Co?! - spytał Jack.
– Babcia odwiedziła nas sześć razy, kiedy pracowałam.
– Nigdy mi o tym nie wspomniałaś.
– Prosiła, żebyśmy tego nie robili. Powiedziała, że możesz się gniewać.
– Przecież powiedziałem jej, że może wpaść z wizytą, kiedy zechce. Wcale bym się nie gniewał.

– Cóż, nam powiedziała co innego.

Jenna spojrzała na nią uważnie.

– O czym rozmawialiście?

Mikki wzruszyła ramionami.

– O różnych sprawach.

– Czy wypytywała o waszego tatę?

– Taak - odparła nerwowo Mikki.

– Musisz nam o wszystkim powiedzieć. Nie może nas zaskoczyć w sądzie.

Mikki zaczęła się łamać.

– To było wtedy, kiedy tata tak ciężko pracował i całymi nocami przesiadywał w latarni.

– W porządku, kochanie. Rozumiem. Po prostu opowiedz nam, co jej powiedziałaś.

Dziewczyna się uspokoiła.

– Wypytywała nas, w jakim jesteś nastroju, czy nie robisz niczego dziwnego. Czy nic nie wskazuje na to, że źle się czujesz.

– Opowiedziałaś jej o latarni i... innych sprawach? -zapytał Jack.

Mikki skinęła głową z ponurą miną.

– Przepraszam, tato. Nie wiedziałam, że chce wytoczyć ci sprawę.

– To nie twoja wina. To ja jestem winny. Wszystko będzie dobrze.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie. - Spojrzał na Jennę. - Mamy wspaniałego prawnika. Teraz wracaj do domu, Mik, bo Jackie pewnie wisi uczepiony jednego z tych wiatraków u sufitu.

Kiedy odeszła, Jack spojrział ponownie na Jennę.

– Już raz straciłem dzieci. Nie mogę utracić ich powtórnie.

Wzięła go pod ramię.

– Posłuchaj mnie, Jack. Nie stracisz ich, rozumiesz? Teraz muszę iść. Trzeba przygotować wiele rzeczy.

Odjechała, zostawiając Jacka na podwórku przed Pałacem, spoglądającego w ziemię i zastanawiającego się, czy druga szansa, którą otrzymał, nie zostanie mu przedwcześnie odebrana.

Dzieci czekały wyszorowane i ubrane w najlepsze rzeczy. Jack i Sammy kupili sobie garnitury na przesłuchanie w sądzie. Jenna włożyła czarną spódnicę i bluzkę, buty na obcasach i pończochy. Liam wziął wolny dzień, żeby udzielić im moralnego wsparcia. On i Mikki siedzieli w pierwszym rzędzie, trzymając się za ręce.

Sala sądowa była zaskakująco mała, a kiedy Jack wszedł do środka, natychmiast doznał uczucia klaustrofobii. Na dodatek panowała tam cisza, a on nie lubił ciszy. Wielokrotnie słyszał ją na polu walki, zwykle przed nieoczekiwanym atakiem.

Sędzia jeszcze nie zasiadł w swojej lawie, ale urzędnik sądowy w uniformie już czekał w pogotowiu. Prawnik Bonnie zajął miejsce za stołem. Jack drgnął, kiedy ujrzał siedzących z tyłu Bonnie i Freda. Fred gapił się na swoje dłonie, a Bonnie prowadziła ożywioną rozmowę z prawnikiem, a także innym mężczyzną w garniturze. Oprócz nich na sali nie było nikogo.

Kiedy Jack spojrzał na młodego mężczyznę, nagle przypomniał sobie, że widział go już wcześniej w Channing. W samochodzie razem z Bonnie, na jednej z ulic miasteczka.

Jenna podeszła i rozmawiała minutę z urzędnikiem sądowym, a następnie podeszła do prawnika Bonnie. Udali się w róg sali, żeby porozmawiać. Bonnie pozostała na miejscu, dyskutując z drugim mężczyzną, który pokazywał jej coś na ekranie laptopa.

Jack zauważył, że prawnik Bonnie wręczył Jennie plik dokumentów. Ta zmarszczyła brwi i poprosiła go o coś, ale on potrząsnął głową. Wtedy powiedziała mu coś, czego Jack nie mógł usłyszeć. Tamten poczerwieniał i zrobił gniewny grymas. Jenna odwróciła się i pomaszerowała do Jacka. Usiadła i przysunęła krzesło do niego i dzieci.

W tej samej chwili na salę weszli Sammy i Charles Pinckney. Pinckney przywitał Jacka, Jennę i dzieci. Później spojrzał na Bonnie. Zaskoczył Jacka tym, że do nich podszedł.

– Jak się masz, Fred? - zagaił.

Fred O'Toole był wyraźnie zaskoczony obecnością Pinckneya na sali sądowej.

Uścisnął jego wyciągniętą dłoń.

– W porządku. A ty, Charles?

– Bywało lepiej, ale dzięki, że pytasz. - Odwrócił się do Bonnie, która spojrzała na niego kamiennym wzrokiem. - Witaj, Bonnie.

Chłodno skinęła głową.

– Dzięki Bogu, Lizzie i Cee nie żyją. Nie muszą oglądać tego okropnego widowiska - powiedział napiętym głosem.

Bonnie spojrzała tak, jakby wymierzył jej policzek, ale Pinckney już się odwrócił.

Jenna podniosła plik dokumentów i wyszeptała do Jacka:

– Prawnik drugiej strony przed chwilą przekazał mi te dokumenty. Spytałam, czy zgodzi się na przesunięcie terminu rozprawy, ale odmówił.

– Co to za papiery? - spytał Jack.

– Nie miałam okazji ich przeczytać, ale sądząc po pierwszych stronach, twoja teściowa zatrudniła prywatnego detektywa, żeby śledził cię całe lato. - Mówiąc to, wskazała mężczyznę z laptopem na kolanach. - To ten facet.

– Co?! - spytał zaszokowany Jack.

– To idiotyczne - wtrąciła Mikki.

– Mają nagranie wideo, które chcą pokazać sędziemu.

– Wideo? Co sfilmowali?
– Nie mam pojęcia.
– Nie sądzę, żeby mogli to zrobić - zauważył Sammy. -Czy mogą zaskoczyć drugą stronę takim głównem?

– W normalnych okolicznościach to niemożliwe, ale jesteśmy w sądzie rodzinnym, a tu obowiązują inne reguły. Tu robi się wszystko z myślą o dobru dzieci. Czasami ta przesłanka bierze górę nad oficjalną procedurą. Oni twierdzą, że dzieci przebywają w nieodpowiednich, a nawet niebezpiecznych warunkach.

– Akurat - mruknął Charles.

– Wykażemy to - obiecała Jenna. Wcześniej przeciwzyła z nimi pytania, które zamierzała zadać, i odpowiedzi, których powinni udzielić na pytania drugiej strony.

Chwilę później urzędnik sądowy zapowiedział wejście sędziego. Sędzia Leroy Grubbs okazał się niewielkim szczupłym łysiejącym mężczyzną w grubych okularach.

Wstali, gdy wszedł na salę, a później zajęli miejsca. Posiedzenie zostało rozpoczęte, a Bob Paterson, prawnik Bonnie, podniósł się z miejsca. Jenna mu przerwała, prosząc sąd o odroczenie rozprawy i powołując się na późne dostarczenie ważnych dokumentów. Grubbs odmówił, zanim skończyła mówić.

Paterson przystąpił do wygłaszania wstępnego oświadczenia.

– Proszę wezwać świadków - powiedział Grubbs.

– Wzywam na świadka Bonnie O'Toole - oznajmił prawnik.

Bonnie została zaprzysiężona i usiadła w ławie dla świadków.

– Czy jest pani babcią dzieci? - zapytał Paterson.

– Tak.

– Czy może nam pani opisać ciąg zdarzeń, który skłonił ją do złożenia tego wniosku?

Bonnie zaczęła opowiadać o chorobie Jacka, śmierci córki, pobycie Jacka w hospicjum i dzieciach mieszkających u krewnych, o jego powrocie do zdrowia i odzyskaniu dzieci. Na koniec wspomniała o swojej propozycji, żeby wszyscy u niej zamieszkali - propozycji spowodowanej jej z troską, po skonsultowaniu się z lekarzami, którzy niemal jednogłośnie zapewnili ją, że śmiertelna choroba Jacka powróci.

– Jak pan Armstrong zareagował na pani propozycję?

– Kategorycznie ją odrzucił.

– Czy właśnie to skłoniło panią do zatrudnienia prywatnego detektywa, żeby obserwował zięcia?

– Widziałam, jak Jack pobił dwóch mężczyzn na ulicy w Channing, w Karolinie Południowej. Doszło do tego za dnia, na oczach dzieci. Najmłodszy, Jackie, zaczął płakać. To było straszne. Pomyślałam, że rozum mu odebrało. Nie wiedziałam, czy był to objaw nawrotu choroby, ale czułam się przerażona.

Kiedy Paterson skończył przepytywać Bonnie, Jenna wstała.

– Pani O'Toole, czy kocha pani wnuki?

– Oczywiście!

– Mimo to stara się pani rozdzielić je z ojcem?

– Dla ich dobra.

– Czy nie po to, żeby ukarać pana Armstronga?

– Nie, to oczywiste!

– Nigdy nie była pani zła na zięcia? Czy nie obwiniła go pani o śmierć córki?

– Nigdy go o to nie winałam. Zapewniłam go, że był to tragiczny wypadek.

– Czy naprawdę pani w to wierzy? Czy nie powiedziała pani panu Armstrongowi, że to on powinien nie żyć, a nie pani córka?

Bonnie wydeła wargi i nie odrzekła ani słowa.

– Pani O'Toole?

– Próbowałam uporać się ze stratą.

– Ale w dalszym ciągu żywiła pani do niego niechęć?

– Nie, nie sądzę.

– Czy chęć zemsty nie jestem jednym z powodów, dla których chce go pani pozbawić opieki nad dziećmi?

– Sprzeciw - przerwał jej Paterson. - Świadek powiedział, że nie żywi urazy do ojca dzieci.

– Wycofuję pytanie - powiedziała Jenna. - Nie mam więcej pytań.

– Proszę o powołanie następnego świadka.

Zebrani ze zdumieniem ujrzeni, jak na salę sądową wchodzi szeryf Nathan Tammie, wyraźnie niezadowolony, że tu się znalazł. Kiedy został zaprzysiężony, Paterson przystąpił do zadawania pytań.

– Czy udzielił pan ostrzeżenia panu Armstrongowi po pierwszej bójce, w której uczestniczył?

– Taak, choć ostrzegłem także tamtych. Wyglądało na to, że pan Armstrong został sprowokowany.

– Czy niedawno doszło do kolejnej bójki z udziałem pana Armstronga?

– Tak.

– Czy może pan opisać jej okoliczności?

Tammie westchnął, spojrział na Jacka i wyjaśnił zajście, do którego doszło w alejce.

– Zatem pan Armstrong i pan Duvall stali z kijami bejsbolowymi. a dwaj nieprzytomni mężczyźni leżeli u ich stóp?

Prawnik spojrział na sędziego, wypowiadając te słowa, jakby chciał odgadnąć jego reakcję.

– Czy aresztował pan pana Armstronga i jego towarzysza, pana Duvalla?

– Tak, ale aresztowałem także tamtych dwóch.

– Czy pan Armstrong stanie przed sądem pod zarzutem napaści?

– Tak.

– Czy może zostać skazany na więzienie?

– Wątpię...

– Czy może zostać skazany?

– Cóż, tak.

– Nie mam więcej pytań.

Jenna wstała z miejsca.

– Szeryfie Tammie, czemu za pierwszym razem nie wniósł pan oskarżenia przeciwko panu Armstrongowi?

– Z zeznań świadków wyraźnie wynikało, że został sprowokowany.

Jenna spojrzała na Bonnie.

– W jaki sposób?

Tammie sięgnął po notatnik.

– Trzej świadkowie zeznali, że jeden z mężczyzn zaczepił pana Armstronga, krzycząc, że jest cudownym człowiekiem czy coś w tym rodzaju. Proponowali mu pięć dolarów za dokonanie cudu. Mówił też inne rzeczy, żeby sprowokować pana Armstronga...

– Czy wszystkie były wymierzone w pana Armstronga?

– Tak.

– Czy pan Armstrong ich zaatakował, kiedy miotali zniewagi pod jego adresem?

– Nie, siedł dalek razem z dziećmi.

– Proszę kontynuować.

Tammie zajrzał do notatek.

– Wtedy tamten powiedział: „Hej! Cudaczku! Czy to prawda, że twoja żona zdradzała cię z najlepszym kumplem? Czy dlatego zmartwychwstałeś?”.

Jenna odwróciła się w stronę Bonnie, która posłała Jackowi jadowite spojrzenie.

– Czy dopiero wtedy pan Armstrong zareagował? Bo znieważyli jego żonę?

– Tak.

– Zatem zachował godne podziwu opanowanie, kiedy zniewagi były skierowane wyłącznie pod jego adresem?

– Tak.

– Przejdźmy do rzekomej drugiej napaści. Czy to prawda, że jeden z mężczyzn uczestniczących w bójce był tym samym, który zaczepił go wcześniej?

– Tak.

– Czy to możliwe, że wspomniani mężczyźni zaatakowali pana Armstronga w alejce, a on jedynie się bronił?

– Sprzeciw! - zawołał Paterson. - Obrona zadaje pytanie, na które świadek nie może odpowiedzieć.

– Podtrzymuję - odrzekł Grubbs, ale spojrział z zaciekawieniem na Tammiego.

– Nie mam więcej pytań - powiedziała Jenna.

– Wzywam na świadka Michelle Armstrong - oznajmił Paterson.

Mikki wstała i ruszyła naprzód, by zatrzymać się obok ojca, który posłał jej zachęcający uśmiech i uściśnął dłoń.

– Wystarczy, że powiesz im prawdę, kochanie - powiedział.

- Panno Armstrong - spytał uprzejmie Paterson - czy rozmawiała pani z babcią tego lata?

Mikki spojrzała na ojca, ale prawnik zasłonił jej widok.

- Musi pani odpowiadać zgodnie z prawdą, nie szukając wskazówek u ojca.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

- Tak, rozmawiałam z babcią.

- Co powiedziała pani o... o zachowaniu ojca tego lata?

- Nie rozumiem pytania.

- Miałem na myśli na przykład to, co robił w latarni.

- W latarni? - zapytał sędzia Grubbs.

- Latarnia była ulubionym miejscem zmarłej żony pana Armstronga, gdy mieszkała tu w dzieciństwie - wyjaśnił Paterson. - Pan Armstrong przesiadywał w niej całymi nocami.

Jenna się podniosła.

- Sprzeciw. Pan Paterson nie został zaprzysiężony jako świadek, wysoki sędzie, nie ma też dokładnych informacji na temat sytuacji.

- Zgoda - odrzekł Grubbs. - Sprzeciw podtrzymany.

Paterson ponownie przeniósł wzrok na Mikki.

- Co pani mówiła o latarni? Mogłaby pani powtórzyć sądowi?

Mikki poruszyła się niespokojnie.

- Powiedziałam jedynie, że tata pracuje w latarni. To wszystko. Nic wielkiego.

- Czy pracował tam do późnej nocy?

- Tak.

- Razem z panem Duvallem?

- Tak.

- Zostawiając trójkę dzieci bez opieki?

Twarz Mikki poczerwieniała.

- Nie jestem dzieckiem! Mam szesnaście lat!

- Zgoda, zostawiając panią i jej młodszych braci samych w domu?

- Tak, czasami nas zostawiał, ale nic złego się nie stało.

- Wręcz przeciwnie! Czy nie powiedziała pani babci, że pani młodszy brat, Jack junior, trzy razy wyszedł z łóżka, a nawet spadł ze schodów?

Jack wyglądał na zaszokowanego. Uporczywie wpatrywał się w Mikki, która z trudem przełknęła ślinę.

- Nic mu się nie stało... Miał tylko siniaka na plecach.

- Czy któregoś dnia Jackie nie wyszedł z domu i nie musiała go pani szukać przez godzinę? Czy nie znalazła go pani na drodze?

Jack opadł na oparcie krzesła, całkowicie zdezorientowany.

- Tak, ale nic się nie stało.

- Czy powiedziała pani o tym ojcu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie chciałam... nie chciałam, żeby się zdenerwował.

- Często się denerwował?

– Nie, rzadko.

– Czy powiedziała pani babci, że tata ma obsesję na punkcie latarni i domu, bo mieszkała w nim pani zmarła matka? Że usiłował w jakiś sposób nawiązać z nią kontakt?

Mikki zapłonęła rumieńcem i zaczęła szybko oddychać. W jej oczach błysnęły łzy.

– Byłam na niego wściekła, dlatego mówiłam takie rzeczy.

– Zatem to nieprawda? Przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą.

Jenna wstała.

– Wysoko sędzie, prawnik państwa O'Toole nęka świadka. Proszę o przerwę, żeby świadek mógł się uspokoić.

Grubbs spojrział na Mikki.

– Wszystko w porządku?

Mikki wzięła głęboki oddech, otarła oczy i skinęła głową.

– Tak.

– Proszę kontynuować.

– Czy powiedziała pani babci, że ojciec nie ma pojęcia, jak się zajmować rodziną? - ciągnął dalej Paterson. - Że nie troszczy się o panią i braci?

Jack spuścił wzrok.

Mikki ponownie nie wytrzymała.

– To było, zanim się zmienił!

– Zmienił?

Zaczęła szybko mówić, wyraźnie podenerwowana.

– Tak, wcześniej tak się zachowywał. To znaczy, nie traktował nas źle. Kochał nas. Bardzo się o nas troszczył.

– Czy nie powiedziała pani babci, że martwi się o stan psychiczny ojca?

– Nie, nie przypominam sobie, żebym to powiedziała - odrzekła cichym głosem.

– Nigdy nie widziała pani, żeby się dziwnie zachowywał? Miał napady gniewu?

– Nie, nigdy.

Paterson odwrócił się w kierunku mężczyzny siedzącego obok Bonnie.

– Panie Drake, mógłbym pana prosić?

Mężczyzna wstał, pchając telewizor ustawiony na wózku. Kiedy znalazł się na środku sali, włożył płytę do odtwarzacza.

– Wysoki sędzie, pan Drake jest licencjonowanym prywatnym detektywem. Pani O'Toole zatrudniła go, żeby pilnował dzieci Armstrongów. To nagranie stanowi próbkę jego obserwacji.

Ekran telewizora ożył i zebrani ujrzeli, jak Jack wybiega z latarni ze skrzynką w rękę, a następnie ciska ją o skały i zbiega na plażę, wijąc się i kręcąc, jakby miał atak obłądki. Później pada na piasek i zaczyna płakać. Na następnym ujęciu widać było, jak Mikki skrada się do ojca.

Na znak Patersona Drake zatrzymał odtwarzacz.

– Widziała pani ojca tamtej nocy, prawda? - zwrócił się ponownie do Mikki.

Dziewczyna skinęła głową.

– Czy nie opisałyby pani takiego zachowania jako dziwne? Czy nie uznałyby go pani za atak wściekłości?

– Był zdenerwowany, ale jego stan się poprawił.

– Zatem uważa pani, że... że był chory?

– Nie, nie to miałam na myśli. - Wstała. - Wkłada pan w moje usta słowa, których nie powiedziałam! - krzyknęła.

– Młoda damo, rozumiem, że to bardzo stresująca sytuacja, ale proszę panować nad językiem i emocjami. Jesteśmy w sądzie - pouczył ją sędzia Grubbs.

Mikki pociągnęła nosem i usiadła.

– Kto zaopiekowałby się rodziną, gdyby pani ojciec ponownie zachorował?

– Ja.

Na twarzy Patersona pojawił się uśmiech.

– Może nie jest pani dzieckiem, ale nie osiągnęła pani wymaganego prawem wieku, żeby mieszkać sama z braćmi.

Mikki posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Zaopiekowałabym się rodziną razem z Sammym. To najlepszy przyjaciel taty.

– Z panem Duvalliem. Rozumiem. - Paterson zajrzał do notatek. - Czy pani wie, że po powrocie z Wietnamu pan Duvall korzystał z terapii psychiatrycznej i dwukrotnie stawał przed sądem za prowadzenie samochodu po pijanemu?

Sammy zerwał się z krzesła.

– Mój cały pieprzony oddział dostał rozkaz poddania się terapii, bo odbyliśmy dwie tury w Nam i widzieliśmy okropności, jakich nie oglądałeś na oczy, spryciarzu. A samochód pod wpływem alkoholu prowadziłem ponad trzydzieści lat temu!

Sędzia uderzył młotkiem.

– Kolejny taki wybuch i zostanie pan usunięty z sali!

Paterson zwrócił się do Mikki:

– Zatem zaopiekowałby się wami pan Duvall?

– Tak - odparła z uporem Mikki.

Prawnik spojrział na Drake'a i skinął głową. Telewizor ponownie ożył. Tym razem ujrzeli, jak Sammy pędzi harleyem, przekraczając ograniczenie prędkości, w dodatku bez kasku na głowie. W drugiej scenie Sammy drzemał na plaży otoczony pustymi puszkami po piwie, podczas gdy Jackie i Cory bawili się blisko wody.

– Czy tak postępuje odpowiedzialny opiekun? - spytał oschle Paterson. - Panno Armstrong, czy może pan powiedzieć, jak ojciec zareagował na śmierć pani matki?

Jenna zerwała się.

– Sprzeciw! To nie ma związku ze sprawą!

– Staramy się ustalić warunki, w jakich żyją dzieci, wysoki sądzie, a stan umysłu żyjącego rodzica jest bardzo ważnym czynnikiem.

– Proszę kontynuować.

– Czy może pani odpowiedzieć na moje pytanie?

– Był zdruzgotany, jak my wszyscy.

– Czy nadal znajduje się w takim stanie?

– Co pan przez to rozumie?

– Pani ojciec brał udział w dwóch bójkach i został aresztowany za napaść. Może za to trafić do więzienia. Widziała pani film pokazujący, jak rzuca przedmiotami i skacze w ataku furii. Pani dwaj bracia zostali pozostawieni bez opieki, kiedy pan Duvall leżał pijany albo spał. Zeznała pani, że ojciec zaniedbywał troje dzieci, pracując w latarni, co doprowadziło do obrażeń pani najmłodszego brata. Czy uważa pani, że racjonalnie myślący człowiek tak się zachowuje?

- Powiedziała panu, że stan ojca się poprawił.
- Zatem kiedyś było z nim gorzej?
- Wiem, co stara się pan wykazać, ale mój ojciec nie jest obłąkany! Rozumie pan?!
- Nie ma pani kwalifikacji, żeby wydać taką opinię, prawda? To sąd zdecyduje, czy pani ojciec jest zdolny do sprawowania opieki na dziećmi.

Mikki wstała ponownie. Na jej twarzy błysnęły łzy.

- Mój tata nie jest wariatem! Kocha nas! Jest wspaniałym ojcem!

Paterson uśmiechnął się blado.

- Jestem pewny, że kocha pani ojca.
- Tak! - rzuciła gniewnie Mikki.
- I powie pani wszystko, żeby go chronić.
- Tak, zrobiłabym wszystko... - Mikki zbyt późno zrozumiała swój błąd.
- Nie mam więcej pytań.

Paterson odszedł, a Mikki spojrzała na ojca.

- Przepraszam, tato. Naprawdę....
- W porządku, dziecko - odparł Jack. Kiedy Jenna wstała, żeby zadać Mikki swoje pytania, Jack położył dłoń na jej ramieniu i pokręcił głową. - Nie, Jenno. Ona ma już dość.

– Ale Jack...

– Wystarczy - powiedział stanowczo Jack.

Jenna odwróciła się do sędziego.

- Nie mam pytań do świadka - oznajmiła niechętnie.

Sędzia Grubbs spojrzał na Patersona.

- Macie więcej świadków?
- Tylko jednego, wysoki sędzie. - Paterson odwrócił się w kierunku stołu, przy którym siedziała Jenna. - Wzywam na świadka Jacka Armstronga.

Jack został zaprzysiężony i usadowił się niezgrabnie w ławie dla świadków, poprawiając garnitur.

Paterson podszedł do niego.

– Panie Armstrong, czy wiedział pan, że pańska choroba może powodować głęboką depresję i zaburzenia psychiczne?

– Nie jestem chory.

– Przepraszam?

– Sformułował pan pytanie tak, by dać do zrozumienia, że nadal jestem chory. Nie jestem. Wydano mi świadectwo zdrowia. Proszę na mnie spojrzeć, czy wyglądam na umierającego?

Paterson sięgnął po jakieś dokumenty i podał je urzędnikowi sądowemu.

– To opinie trzech lekarzy, znakomitych specjalistów, którzy kategorycznie stwierdzają, że na pańską chorobę nie ma lekarstwa i że jest śmiertelna w stu procentach przypadków.

– Będą musieli to zmienić na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć, prawda?

– Czy obwinia pan siebie o śmierć żony, panie Armstrong?

– Człowiek zawsze się wini, nawet jeśli nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec. Tacy już jesteśmy.

– Zatem, tak?

– Tak.

– To musiało być ciężkie emocjonalne doświadczenie?

– Przyznaję, nie było łatwo.

– Może pan opowiedzieć o swojej obsesji z latarnią?

– Sprzeciw! - zawołała Jenna. - Pytanie sugeruje odpowiedź.

– Sprzeciw podtrzymany.

– Proszę nam powiedzieć, czemu pan tak długo i ciężko pracował, żeby naprawić latarnię, panie Armstrong?

Jack zmarszczył brwi i pochylił się do przodu.

– To skomplikowane.

– Proszę spróbować - zachęcił uprzejmie Paterson.

– Żona bardzo lubiła to miejsce - odparł zwyczajnie Jack. - Przesiadywała tam, gdy była dzieckiem. Znalazłem tam jej ślady: lalkę, napis „Latarnia Lizzie” i parę innych przedmiotów. Kiedy jeszcze żyła, powiedziała, że chciałaby wrócić do Pałacu. Może próbowałem ją naprawić, żeby spełnić jej życzenie.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

Jack się uśmiechnął.

– Lizzie sądziła, że z wierzchołka latarni zdoła wypatrzeć niebo.

– Niebo?

– Tak - odparł Jack. - Wierzyła w to, gdy była małą dziewczynką - dodał szybko.

– Ale pan jest dorosłym mężczyzną. Nie wierzył pan w to, prawda?

Jack się zawahał. Jenna spojrzała na sędziego i zauważyła, że tym wyżej unosi brwi, im dłużej Jack zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nie, nie wierzyłem, ale... - Jack pokręcił głową i zamilkł.

Prawnik poczekał chwilę, by w końcu zamienić spojrzenie z sędzią.

– Zatem chciał pan ją naprawić?
– Tak. Schody się zawaliły i chciałem je odbudować. Poza tym pragnąłem, żeby ponownie zaświeciła.

– Chciał pan naprawić urządzenie? O ile wiem, ta latarnia nie figuruje na mapach nawigacyjnych.

– To prawda, ale przestała świecić, kiedy Lizzie jeszcze tam mieszkała. Dlatego postanowiłem, że spróbuję ją naprawić.

– Chciałbym się upewnić, że dobrze zrozumiałem - powiedział Paterson sceptycznym tonem. - Zaniemógł pan rodzinę, żeby naprawić latarnię, która nie służyła już jako pomoc w nawigacji, tylko dlatego, że pańska żona jako dziecko sądziła, iż można z niej zobaczyć niebo? Proszę pozwolić, że spytam ponownie. Sądzi pan, że można dostrzec z niej niebo? - spytał ganiącym tonem.

– Nie, nie sądzę - odrzekł stanowczo Jack.

– Mamy jeszcze jeden film, wysoki sędzie.

– Proszę.

Paterson skinął Drake'owi, który włączył urządzenie i na ekranie pojawił się obraz. Jack stał na pomoście biegnącym wokół latarni i odczytywał jeden ze swoich listów do Lizzie.

– Może nam pan wyjaśnić, co pan robi, panie Armstrong?

– Nie pański interes - prychnął Jack, wpatrując się w ekran.

Jenna wstała.

– Wysoki sędzie, jaki to ma związek ze sprawą?

– Chodzi o ustalenie stanu psychicznego pana Armstronga - odparł Paterson.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie - polecił sędzia Grubbs.

– Czytam list - odpowiedział Jack.

– List? Do kogo?

– Do mojej żony.

– Przecież pańska żona nie żyje.

– Napisałem te listy, zanim... zanim zmarła. Kiedy byłem chory. Chciałem, żeby je przeczytała, gdy... odejdę.

– Przecież nie mogła ich przeczytać. Czemu pan to robił? Chyba pan wiedział, co w nich napisał?

– Nie ma niczego złego w czytaniu starych listów. Jestem pewien, że ludzie robią to cały czas.

– Być może, ale nie w środku nocy, na szczycie latarni, kiedy małe dzieci są same w domu...

– Sprzeciw - przerwała mu Jenna.

– Podtrzymuję - odpowiedział sędzia Grubbs.

Jack spojrział na Patersona i powiedział:

– Próbuje pan wykazać, że popadłem w obłąd, ale tak nie jest. Mogę opiekować się dziećmi.

– O tym zdecyduje sąd, a nie pan.

Jack siedział w milczeniu kilka sekund, czując, jak ściany sali zamykają się wokół niego, odcinając dopływ powietrza. Gniew tłący się pod powierzchnią od czasu, gdy Bonnie wniosła pozew, w końcu się wyzwolił.

– Czy stracił pan kiedyś ukochaną osobę?! - spytał, patrząc na Patersona.

Prawnik spojrział na niego zaskoczony, ale szybko odzyskał równowagę.

– To ja jestem od zadawania pytań.

Jack popatrzył na Bonnie.

– Wiedziałaś, jak bardzo kochałem Lizzie.

– Panie Armstrong, nie może pan tego robić - pouczył go Paterson.

Jack zignorował prawnika. Wstał, spoglądając na teściową płonącymi oczyma.

– Wiedziałaś, że oddałbym życie, gdybym mógł ją ocalić!

– Panie Armstrong - upomniał go sędzia.

– Była dla mnie wszystkim, ale umarła!

– Panie Armstrong, proszę usiąść! - Sędzia Grubbs uderzył młotkiem.

Jack wycelował w nią palcem i zawołał:

– Nikt nie przeżył tego tak jak ja! Nikt! Każdy dzień jest dla mnie piekłem! Utraciłem jedyną kobietę, którą kochałem! Jedyną osobę, z którą chciałem dzielić życie! Najlepszego przyjaciela na świecie! - Po jego twarzy zaczęły spływać łzy.

– Woźny! - warknął sędzia.

– Najcenniejsze dla nas były dzieci. Nasze dzieci! Jak śmiesz mi je zabierać tylko dlatego, że jesteś na mnie wściekła?! Jak śmiesz?!

Woźny wyprowadził go z sali. Bonnie odprowadziła zięcia wzrokiem, wyraźnie zaszokowana jego wybuchem.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie - zakończył Paterson, wracając na miejsce z ledwie skrywanym uśmiechem.

– Chciałaby pani coś dodać? - Sędzia spojrział na Jennę. Jenna popatrzyła na zrozpaczone dzieci, a później na sędziego.

– Nie, wysoki sędzie.

– Dziś po południu wydam postanowienie - oznajmił Grubbs.

Kilka minut później Jack został wypuszczony z aresztu sądowego i wszyscy wrócili w milczeniu do Channing. Czekali w małym pokoiku na zapleczu „Odrobiny miłości”. Wszyscy podskoczyli, gdy zadzwoniła komórka Jenny. Odebrała. Wyraz jej twarzy powiedział Jackowi wszystko.

– Sędzia przychylił się do wniosku o przyznanie Bonnie tymczasowej opieki nad dziećmi - powiedziała.

Przeze mnie, pomyślał. Ponownie straciłem rodzinę.

Jack siedział na łóżku, trzymając w dłoni szósty list. Jeszcze go nie przeczytał. Rozmyślał o innych sprawach.

Niezależnie od tego, co robisz i jak zaciekle walczysz, życie czasami po prostu nie ma sensu.

Bonnie i pracownicy Child Services mieli przyjść tego wieczoru, żeby odebrać mu dzieci, być może na zawsze. Spojrzał na list, by zgnieść go w dłoni i rzucić na łóżko obok pięciu innych. Wyjrzał przez okno, gdy dwa samochody zajechały na podjazd. Choć była zaledwie siódma wieczór, niebo było ciemne jak o północy. Od strony morza nadciągała tropikalna ulewa, a poddmuchy wiatru z furją chłostały nadmorskie niziny. Właśnie dlatego przyjechali wieczorem. Chcieli przewieźć dzieci w głąb lądu.

Jack się nie sprzeciwiał, bo pragnął, żeby były bezpieczne. W pokojach zapalały się i gasły światła.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Taak?

Podniósł głowę i ujrzał Jennę.

– Przyjechali, Jack - powiedziała cicho.

– Wiem.

Zszedł na dół i zauważył trzy torby stojące przy drzwiach. Spojrzał na dzieci. Cory i Mikki siedzieli na kanapie i płakali. Jackie też płakał, choć nie rozumiał, co się dzieje. Zacisnął jedną rękę na ciężarówce potworze, a drugą objął rodzeństwo. Jego małe ciało dygotało.

Liam stał obok, nie wiedząc, co robić. Jego duże dłonie zaciskały i rozluźniały się niespokojnie. Jack podszedł do dzieci i zaczął z nimi szeptać.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Wkrótce się zobaczymy.

Jack i Jenna poszli otworzyć drzwi. Na progu stali Bonnie, Fred i pracownicy Child Services z parasolami w dłoni.

– Czy dzieci są gotowe? - spytał jeden z pracowników opieki społecznej.

Jack skinął głową i spojrzał Bonnie prosto w oczy.

– Bonnie?

Spojrzała na niego zaczerwieniona.

– Musimy to robić w taki sposób?

– Chodzi mi wyłącznie o dobro dzieci, Jack.

– Jesteś pewna?

– Tak. Absolutnie.

Sammy, Liam, Jackie i Cory przyłączyli się do nich na werandzie.

– Nie rób tego, babciu! Błagam! Chcemy zostać z tatą!

Jeden z pracowników Child Services wszedł do środka i powiedział:

– Nie pora na takie rozmowy. Sąd podjął decyzję. - Spojrzał na Jacka. - Chcemy, żeby wszystko poszło gładko. Jestem pewien, że pan również, ze względu na dzieci.

Sammy spojrzał wymownie na Jacka, ale Jenna wyszła do przodu i powiedziała:

– My również.

Sammy cofnął się o krok, a Jack spojrzał na dwójkę dzieci.

– Trzymajcie się, chłopaki. Wróćcie szybciej, niż zdołacie powiedzieć „królik Jack”.

Cory przytaknął, ale łzy nadal spływały mu po twarzy. Jackie popatrzył na Cory'ego i zaczął ponownie płakać. Jack przytulił ich obu.

– Wszystko będzie dobrze - zapewnił. - Jesteśmy rodziną. Zawsze nią będziemy, prawda? Skinęli głowami.

– Weźmiemy wasze bagaże. Liam, idź po Mikki. Na pewno chcesz się z nią pożegnać. Powinni wyruszyć w drogę, zanim rozpęta się burza.

Sammy i Jack zanieśli torby do samochodu. Jack zapiął Jackiego pasami, gdy Cory sadował się obok niego. Kiedy spojrział na werandę, zauważył, że coś jest nie tak. Liam stał z pobladłą twarzą i dzikim wzrokiem.

Bonnie też to dostrzegła. Mimo wiatru i deszczu wysiadła za samochodu.

– Co się stało?! - zawołał Jack, biegnąc w kierunku Liama.

– Mikki zniknęła!

Wbiegli do domu. Przeszukanie pokoi zajęło im zaledwie dziesięć minut. Po jego córce nie było ani śladu.

Ćwierć mili dalej zapłakana Mikki wlokła się plażą. Chociaż smagał ją wiatr i deszcz, szła dalej brzegiem rozwścieczonego oceanu. Zbliżała się coraz bardziej do wydm, bo burza spychała masy wody w głąb lądu. Zrozpaczona, niemal w ostatniej chwili ujrzała padającą palmę karłowatą. Uskoczyła w bok, ale drzewo zepchnęło ją zbyt blisko linii wody, wprost na ogromną falę, która rozbiła się z hukiem ponad nią. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy zabrała ją cofająca się woda.

Jack wpatrywał się w ciemne niebo z frontowego pokoju Pałacu. Deszcz jeszcze bardziej się nasilił. Liam pojechał do domu, żeby sprawdzić, czy Mikki tam nie ma. Przed chwilą zadzwonił - nie było jej.

- Co zrobimy, Jack? - spytała Bonnie. - Co zrobimy?! - Jej głos stawał się coraz bardziej histeryczny.

Odwrócił się ku niej i rzucił ostro:

- Po pierwsze, nie wolno ulegać panice.

- Powinniśmy zawiadomić policję - powiedział jeden z pracowników Child Services.

Jack potrząsnął głową i odparł stanowczym tonem:

- W miasteczku jest tylko szeryf i jego zastępca. Pewnie są zajęci burzą. Możemy ich powiadomić, ale nie możemy bezczynnie czekać, aż przyjadą. Musimy zacząć przeszukiwać teren. Trzeba się rozdzielić. Przeczesać okoliczne ulice i plażę. - Wskazał Freda. - Fred, ty i Bonnie ruszycie na zachód samochodem. Jedź wolno i rozglądaj się za Mikki. - Odwrócił się do pracowników Child Services. - Wy pojedźcie na wschód i róbcie to samo. Zapiszmy numery komórek. Ten, kto ją odnajdzie, powiadomi pozostałych. Sammy i ja sprawdzimy plażę. - Odwrócił się do Cory'ego. - Możesz być dzielny i popilnować Jackiego?

Cory przełknął ślinę i spojrzał z przerażeniem na ojca.

- Mikki wróci, prawda?

- Oczywiście! Założę się, że zjawi się tu lada chwila. Ktoś musi być w domu, kiedy przyjdzie, prawda?

- Tak, tato.

Jack ruszył plażą na południe, a Sammy na północ. Wiatr powodował, że krople deszczu padały ukośnie, a większość plaży znajdowała się pod wodą. Jack zataczał szerokie łuki latarką, ale snop światła ledwie przenikał ciemności. W końcu dostrzegł jakiś przedmiot, a gdy podszedł bliżej, serce zamarło mu w piersi i poczuł zimny dreszcz.

Na płytkiej wodzie unosiła się tenisówka Mikki. Spojrzał w tamtą stronę w poszukiwaniu córki, ale niczego nie dostrzegł. Zawołał jej imię, ale w odpowiedzi usłyszał jedynie huk wiatru. Pobiegł, żeby sprawdzić na wydmach, ale tam również nic nie znalazł.

- Niczego nie widzę - mruknął do siebie. Spojrzał na gniewny ocean, wezbrany i groźny z powodu burzy spychającej go na brzeg. Odwrócił się i zaczął biec z powrotem na północ, przeczesując wzrokiem ląd i morze. Pochylił się naprzód, żeby potężny wiatr nie zepchnął go do tyłu. Co dziesięć sekund wykrzykiwał jej imię. W pobliżu Pałacu spotkał Sammy'ego, który podobnie jak on niczego nie znalazł.

Jack pokazał mu tenisówkę.

- To zły znak - wysapał Sammy.

- Mamy niewiele czasu! Niebawem sztorm uderzy z całą siłą!

- Co robimy?

- Musimy oświetlić dużą połąć lądu i wody!

- W tych warunkach nie da się sprowadzić helikoptera ze szperaczem.

Jack zatrzymał się i spojrzał na latarnię. Odwrócił się i zaczął biec w jej kierunku, czując na plecach oddech Sammy'ego. Wyważył drzwi kopnięciem i ruszył w górę, sadząc po dwa stopnie. Dotarł na szczyt i zniknął w otworze technicznym. Sammy wytknął głowę kilka sekund

później, ciężko dysząc.

– Co robisz, do cholery?!

– Zapaleni światło!

– Jack, ta przeklęta latarnia nie działa!

– Dziś wieczorem zaświeci! Muszę odnaleźć córkę! -odkrzyknął mu Jack. Otworzył skrzyknę z narzędziami, którą zostawił w rogu, wyciągnął jakieś klucze, a następnie sięgnął po stary plan i zaczął go analizować, przesuwając wzrokiem po skomplikowanych schematach. Kiedy Sammy trzymał płachtę papieru, Jack przeglądał mechanizm część po części. Jego wzrok stał się przenikliwy jak nigdy dotąd.

– Potrzebujemy szperacza, a nie czegoś... - zaczął Sammy, obserwując pracującego przyjaciela.

– Latarnia ma ręczne sterowanie - rzucił Jack, wciskając się w wąską przestrzeń, żeby sprawdzić przewody. - Można sterować ręcznie wiązką światła.

Wydostał się na zewnątrz i włączył urządzenie.

– Cholera! - krzyknął, rzucając klucz.

Spojrzał w mrok. Gdzieś tam była jego mała dziewczynka. Nie wiedział tylko gdzie.

Jego ciało przeszedł dreszcz.

Nie, nie stracę córki.

Nagły błysk rozświetlił wodę, a chwilę po nim rozległ się huk gromu. Burza rozszalała się na dobre. Usłyszeli kroki na dole. W otworze pojawiła się twarz Jenny, a po niej Liam.

Oboje byli przemoczeni do nitki.

– Przeszukaliśmy ulicę i plażę z naszej strony! Ani śladu Mikki! - wysapała do Sammy'ego, patrząc na plecy Jacka.

– Próbujemy uruchomić latarnię! - krzyknął Sammy. -Bez skutku!

– Dzwoniła Bonnie! - wyjaśnił Sammy. - I ludzie z Child Services. Też jej nie znaleźli! - Podniósł but Mikki przesiąknięty wodą. - Jenna i Liam pobledli na jego widok. Cała trójka spojrziała instynktownie na wzburzony ocean.

Jack stał przyklejony do szyby. Światło w latarni błysnęło i zgasło, by zaświecić ponownie. Wpatrywał się w ciemność, kiedy to zobaczył. Początkowo sądził, że to kolejna błyskawica przesywająca wodę, ale nie usłyszał huku gromu. Po chwili przerwy prąd zaczął płynąć. Zobaczył to! W chwili ciemności zdał sobie sprawę, że widział obraz odbity w szkle - obraz, który zniknął, gdy prąd zaczął płynąć i światła zabłyśły ponownie.

Odwrócił się na pięcie i skoczył do maszynerii.

– Wyłącz światło, Sammy! - zawołał.

– Co?!

– Wyłącz światło! Wyłącz!

Sammy przesunął włącznik i wszyscy pograżyli się w ciemności.

Pierś Jacka falowała niespokojnie, bo wiedział, że to jego ostatnia szansa. Spojrzał na maszynę z przenikliwością, o jaką nigdy by siebie nie posądził. Nie słyszał niczego - odgłosów burzy, oddechu Sammy'ego, Jenny ani własnego. Cały świat przestał istnieć. Był tylko on i metalowa bestia, która więziła go całe lato. Jeśli nie zdoła jej naprawić, na zawsze straci córkę.

– Teraz włącz światło!

Sammy poruszył włącznik.

W tej samej chwili Jack ujrzał łuk elektryczny pomiędzy dwoma kawałkami metalu w

otworze tak wąskim, że nie wiedział nawet o jego istnieniu. To właśnie jego odbicie dostrzegł w szybie.

Opadł na kolana, podpełzł bliżej i oświetlił otwór latarką. Ujrzał dwa przewody. Znajdowały się zaledwie pół cala od siebie, ale nie stykały się.

– Sammy, wyłącz prąd! Podaj mi taśmę izolacyjną oraz złączkę do przewodów.

Sammy przesunął przełącznik, podając zwiniętą taśmę izolacyjną i złączkę. Jenna pottrzymała latarkę, a Jack wsunął dłonie w otwór, połączył oba przewody, a następnie owinał je izolacją.

Podniósł się i zawołał:

– Teraz ponownie włącz prąd i przesun dźwignię! Odwróćcie oczy od światła!

Sammy włączył prąd i uruchomił reflektor. Początkowo nic się nie stało. Później światło się rozjarzyło, jakby latarnia zaczęła się budzić po wielu latach snu. Światło stopniowo narastało, aż w końcu rozbłysło z całą siłą, w pełni powracając do życia. Gdyby Jack nie kazał im odwrócić oczu, zostaliby oślepieni. Potężny snop omiótł plażę i ocean, a następnie zaczął się obracać.

Jack popędził do urządzeń sterujących, nacisnął jakiś przycisk i chwycił przesuwaną dźwignię. Snop światła przestał się obracać, zamieniając w skupiony promień.

– Pokieruj nim, Sammy! Zaczynj od północy i powoli przesuwaj na południe! Co trzy sekundy!

Kiedy Sammy przesunął promień reflektora, Liam, Jack i Jenna stali przyklejeni do szyby, lustrując wzrokiem rozświetlony nocny krajobraz.

Jenna spostrzegła ją pierwsza.

– Tam! Tam!

– Zatrzymaj światło, Sammy! - krzyknął Jack.

Wyskoczył przez okienko i ruszył na dół, sadząc po trzy stopnie. Niemal przewrócił Bonnie, która wchodziła na górę.

– Co się...?

Nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Biegł dalej.

Światło odsłoniło położenie Mikki. Unosiła się na głębokiej wodzie, uczepiona kawałka dryfującego drewna, kiedy uderzyła ją fala wysokości dziesięciu stóp. Wyglądała tak, jakby znalazła się w stalowym uścisku burzy. Mogło jej zostać zaledwie kilka minut życia.

W takim razie i mnie również nie pozostało go więcej, pomyślał Jack.

Tej nocy Jack Armstrong biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy dotąd - ani na boisku, ani nawet na polu walki, gdzie od szybkości zależało jego życie. Przeskakiwał bałwany sięgające czterech stóp i niemal dotykające skał, na których stała latarnia. Z mroku wyłoniła się potężna fala, powalając go na ziemię. Uderzył głową o kawał drewna rzuconego przez na piasek. Otrząsnął się, dźwignął na nogi i powłókł dalej. Widział skupiony snop światła, ale nie dostrzegł Mikki. Zaczął biec jak oszalały w kierunku oświetlonej części oceanu.

– Mikki! Mikki!

Kolejna fala zwała go z nóg. Podniósł się, wymiotując słoną wodą, która wpadła mu głęboko do gardła. Biegł dalej, walcząc z deszczem tak silnie miotanym przez wiatr, że krople deszczu kłuły go niczym pociski.

– Mikki!

– Tato!

Zauważył, że snop światła przesunął się nieznacznie. Dopiero wtedy dostrzegł głowę wystającą na głębszej wodzie. Ocean nieubłaganie wciągał Mikki w głąb.

– Tato! Pomocy!

Skoczył w rozszalałe fale jak szarżujący nosorożec. Nadciągająca fala była wyższa od niego, ale uniknął jej siły, dając nurka w ostatniej sekundzie. Kiedy się wynurzył, nad jego głową pojawiła się kolejna. Siła prądu odpływowego wzrosła dziesięciokrotnie wskutek burzy, ale Jack przedzierał się przez wodę, zanurzał i wynurzał na powierzchnię, nie przestając krzyczeć:

– Mikki!

Słyszał głos córki i z całych sił płynął w jego stronę.

Nad nimi uderzył piorun, a po chwili rozległ się huk gromu. Błyskawica uderzyła tak blisko, że Jackowi stanęły włoski na karku i ramionach. Wciągnął powietrze w płuca i ponownie zanurkował, gdy nadeszła kolejna fala.

Po chwili wynurzył i krzyknął:

– Mikki!

Tym razem nie usłyszał odpowiedzi.

– Mikki!

Cisza.

– Michelle!

Sekundę później doleciało go ciche:

– Tatusiu...

Zaczął płynąć ze zdwojoną siłą. Mikki wyraźnie słabła. Pomyślał, że to cud, iż jeszcze żyje. Wtedy ją zobaczył. Silny promień światła przyłgnał do dziewczyny jak złota nić. Mikki unosiła się na falach, uczepona kawałka drewna, ale widać było, że długo nie wytrzyma. Jack płynął tak szybko, jak potrafił, walcząc z kolejnymi falami. Jedna z nich zepchnęła go z kursu, pozbawiając kilku bezcennych sekund., ale ani na chwilę nie spuścił córki z oczu.

Nagle zdał sobie sprawę, że Mikki z każdą sekundą coraz bardziej się oddala z powodu burzy, fali odpływu i wiatru. Zaczął jeszcze mocniej poruszać rękami, ale teraz dzieliło go od niej pięćdziesiąt zamiast czterdziestu stóp. Wziął oddech i zanurkował, aby sprawdzić, czy w ten sposób nie zdoła płynąć szybciej. Niestety pod powierzchnią panowała głęboka ciemność,

a prąd był równie silny.

Gdy się wynurzył, nie mógł jej dostrzec. Sklął siebie za to, że stracił dziewczynę z oczu. Spojrzał w kierunku brzegu, a później na gniewne niebo. Teraz ocean wciągał także jego. Nie był pewny, czy znajdzie dość sił, żeby wrócić, ale nie miało to już większego znaczenia.

Nie wrócę bez Mikki.

Płynął dalej, rozglądając się na wszystkie strony, gdy burza uderzała całą siłą o wybrzeże Karoliny Południowej.

Pokręcił głową z gniewem i lękiem... i poczuciem straty.

Przepraszam, Lizzie. Przepraszam.

A jeśli przestanę płynąć? Jeśli przestanę poruszać rękami?

Wiedział, że pójdzie na dno. Spojrzał w kierunku brzegu i zauważył jakieś światła. Byli tam pozostali członkowie jego rodziny. *Bonnie wychowa chłopców. On i Mikki połączą się z Lizzie.*

Ponownie spojrzał w niebo. Kiedy kolejna błyskawica rozświetliła mrok, miał wrażenie, że widzi twarz Lizzie i jej wyciągniętą dłoń wzywającą go do siebie. Mógł przestać płynąć. Teraz. W tej chwili.

– Tato!

Odwrócił się w wodzie.

Mikki była w odległości zaledwie dwudziestu stóp od niego. Tym razem prąd znosił go w jej stronę.

Odnalazłszy w sobie nieoczekiwane rezerwy siły, Jack rzucił się przez wodę. Ocean odrzucił go w tył, piętrząc między nimi spienioną ścianę bałwanów. Płynął coraz mocniej, rozgarniając wodę ramionami i odpowiadając na każdy kontratak burzy.

Jeszcze tylko jeden jard, jedna stopa. Sześć cali. Wszystkie mięśnie jęczały z wyczerpania, ale pokonał ból.

– Tato! - Mikki wyciągnęła ku niemu rękę.

– Mikki!

Odepchnął się tak mocno, że niemal cały wynurzył się z wody. Jego dłoń zacisnęła się jak imadło na jej nadgarstku. Przyciągnął córkę do siebie.

Objęta go.

– Przepraszam, tato... Przepraszam.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie! Trzymam cię! Połóż się na plecach!

Kiedy to zrobiła, wsunął pod nią ramiona i zaczął płynąć w kierunku brzegu.

Teraz muszę tylko sprowadzić nas z powrotem, pomyślał.

Gdy zbliżali się do brzegu na jednej fali, powrotna fala przyboju ponownie wciągała ich w głąb. Nagle potężny bałwan wepchnął ich pod powierzchnię. Wynurzyli się, kaszlący i pozbawieni tchu. Jack był bardzo silny i jako komandos przepłynął wiele mil w bardzo trudnych warunkach. Ale nigdy w burzy pierwszej kategorii, z drugą osobą ucepioną jego boku. Chociaż mógłby dotrzeć do brzegu w pojedynkę, był gotów umrzeć razem z córką.

– Jack!

Spojrzał w kierunku plaży. Liam i Sammy stali na brzegu z długą zwiniętą liną i coś do niego krzyczeli. Do jej końca była przywiązana czerwona boja. Skinął głową na znak, że zrozumiał. Sammy opasał się liną i rzucił mu drugi koniec. Upadła zbyt daleko. Zamachnął się i spróbował ponownie. Tym razem wylądowała bliżej, ale nie tak blisko, żeby Jack mógł ją złapać.

– Sammy! - krzyknął. - Zaczekaj, aż fale zepchną nas w kierunku plaży! Wtedy ją rzuć!

Sammy przytaknął, poczekał na odpowiednią chwilę i rzucił. Tym razem koniec liny upadł zaledwie kilka stóp od nich. Sammy zamachał się i cisnął ją ponownie. Jack chwycił boję i przyciągnął ją do siebie, ale w tej samej chwili uderzyła ich potężna fala, wyrwijąc mu Mikki.

Zakrztusił się wodą. Kiedy ją wypluł, zauważył, że Mikki oddała się od niego na pełne morze. Wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie, rozbite na milisekundy.

– Nie!!! - krzyknął.

Wyrzucił rękę i chwycił córkę za włosy, kiedy przesuwiała się obok niego, żeby zniknąć na zawsze. Sam my i Liam pociągnęli linę z całej siły.

Sammy i Liam zaczęli ich powoli wciągać na brzeg.

Kiedy Jack poczuł ziemię pod stopami, podniósł Mikki, osłaniając ją przed uderzającymi falami. Jego córka leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Pochylił się i zauważył, że nie oddycha. Natychmiast zaczął sztuczne oddychanie. Zamknął jej nos i wtłoczył powietrze do płuc. Przewrócił dziewczynę na drugą stronę i nacisnął plecy, starając się rozszerzyć jej płuca i wycisnąć z nich wodę.

Sammy zadzwonił pod dziewięćset jedenaście, kiedy Jack kontynuował rozpaczliwe próby ratowania córki.

Dwie minuty później usiadł, ciężko dysząc. Spojrzał na Mikki. Dziewczyna się nie poruszała, a jej skóra zaczęła sinieć. Jego córka była martwa.

Stracił ją. Zawiódł ponownie.

Błyskawica przeszła niebo. Jack spojrzał w górę, być może szukając dalekiego miejsca, którego jego żona poszukiwała przed wielu laty.

– Pomóż mi, Lizzie! - krzyknął. - Błagam!

Spojrzał w dół. Nie wydarzył się żaden cud. Już wykorzystał jedyny cud, który otrzymał.

Nagle poczuł dziwne doznanie w tyle karku. Pomyślał, że Sammy odciąga go od zmarłego dziecka, ale po chwili zorientował się, że jakaś siła pcha go ku niej. Pochylił się, wziął potężny oddech, a później przyłożył usta do ust Mikki i dmuchnął z całej siły, jaka pozostała mu w płucach.

Kiedy powietrze opuściło jego ciało i przeniknęło Mikki, wszystko w nim zamarło, a burza ustała. Właśnie tak wyobrażał sobie umieranie. Ciche i spokojne, daleki i samotne. Wydając ostatnie tchnienie, ujrzał przed oczami wydarzenia ostatniego roku.

A teraz Mikki. Odeszła.

Poczuł, jak unosi się na spokojnej wodzie, pchany w inne nieznanne miejsce. Był sam. Lizzie i Mikki zniknęły. Nie chciał dłużej żyć. Życie nie miało już dla niego żadnego znaczenia.

Ocuciły go krople deszczu smagające twarz. Wspomnienia się rozproszyły i ponownie znalazł się w chwili obecnej. Ulewa nadal trwała, ale nie to zwróciło jego uwagę.

Spojrzał na Mikki, która drgnęła i wypluła wodę zalegającą głęboko w płucach. Otworzyła oczy i zamrugała powiekami. Zamknęła oczy, by otworzyć je ponownie, tym razem na dłużej. Skupiła wzrok i ujrzała pochylonego nad sobą ojca. Wyciągnęła ręce i chwyciła go mocno za szyję.

– Tata?

Jack pochylił się i ją przytulił.

– Jestem przy tobie, dziecko. Jestem przy tobie.

Karetka zabrała Mikki i Jacka na obserwację do szpitala. Sammy i Liam pojechali za nimi furgonetką, a Jenna została z chłopcami w Pałacu. Zaparzyła gorącą herbatę Bonnie, która ze szczytu latarni obserwowała zięcia bohatersko ratującego córkę, lecz teraz siedziała przygarbiona na brzegu kanapy, a jej ciałem co chwila wstrząsał szloch.

Jenna próbowała ją pocieszyć, a Fred siedział bez ruchu w fotelu, wpatrując się w swoje dłonie. Kiedy Sammy zadzwonił ze szpitala i powiedział, że wkrótce wrócą do domu i nikomu nic się nie stało, Jenna w końcu nie wytrzymała i zaczęła płakać.

Później poszła do pokoju Jacka, choć nie była pewna dlaczego. Rozglądając się wokół, zatrzymała wzrok na listach, które nadal leżały na łóżku. Usiadła i zaczęła czytać.

Wyszła dziesięć minut później z zaczerwienionymi oczami pełnymi łez. Podeszła do Bonnie i klepnęła ją delikatnie w ramię. Kiedy Bonnie podniosła głowę, powiedziała:

– Myślę, że powinna pani je przeczytać, pani O'Toole.

Bonnie spojrzała na nią pytająco, wzięła listy, wsunęła okulary na nos i rozłożyła pierwszą kartkę.

Impet burzy szybko osłabł, gdy nawałnica uderzyła w wybrzeże. Kiedy wrócili ze szpitala, zawierucha niemal ustała. Położyli wyczerpaną Mikki do łóżka, a Cory i Liam usiedli nad nią jak opiekuńcze anioły, licząc każdy jej oddech.

Jack oznajmił wszystkim, że Mikki nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń i powinna wkrótce dojść do siebie.

– Lekarz powiedział, że to silna dziewczyna - dodał Sammy.

– Jak jej mama - zauważył Jack, spoglądając na Bonnie.

Wyszedł na dwór i wspiął się na wierzchołek latarni.

Spojrzał na rozpogadzające się niebo i słońce wylaniające się na wschodzie. Pochylił się i sprawdził przewody, które połączył ostatniej nocy. To cud, że w końcu znalazł źródło problemu. Pomyślał, że wbrew sobie liczył na cud.

Oparł się o szklaną ścianę i spojrzał na świt pięknego letniego dnia.

Odwrócił się, kiedy ją usłyszał.

Bonnie pojawiła się w otworze, lekko dysząc. Pomógł jej wejść do środka. Stanęli obok siebie, spoglądając jedno na drugie.

– Dziękuję za to, co zrobiłeś ostatniej nocy, Jack.

Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

– To była Lizzie, wiesz?

– Co?

Bonnie przysunęła się bliżej.

– Poddałem się - kontynuował. - Mikki nie żyła. Straciłem oddech w piersi. Ona była martwa, Bonnie. Wtedy poprosiłem Lizzie, żeby mi pomogła. - Odwrócił się do niej. - Spojrzałem w niebo i poprosiłem Lizzie o pomoc...

– Jego ciałem wstrząsnął szloch. - Ona mi pomogła. Zrobiła to. To ona ocaliła Mikki, nie ja.

Bonnie wolno skinęła głową.

– Zrobiliście to oboje, Jack. Ty i Lizzie. Dobraliście się w niebie. Zawsze byliście sobie pisani.

Spojrzał na nią, zaszokowany odważnymi słowami.

Wyjęła z kieszeni listy.

– Należą do ciebie. - Oddała mu je, a później wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy. - Czasami ludzie nie dostrzegają tego, co mają przed nosem, Jack. To absurdalne, choć bardzo często się zdarza. I często ranią ludzi, których powinni kochać. - Przerwała, by po chwili dodać:

– Kocham cię, synu. Zawsze cię kochałam. Chciałam się tylko upewnić, że kochałeś moją córkę. Ona cię kochała i to powinno mi było wystarczyć. - Przerwała ponownie. - Teraz wystarcza.

Uścisnęli się, a później Bonnie odwróciła się, żeby odejść.

– Bonnie?

Spojrzała na niego.

– Co z dziećmi? - wyszeptał.

– Zostaną tam, gdzie powinny, Jack. Ze swoim ojcem.

Mikki otworzyła oczy i ujrzała tatę. Chwilę później dostrzegła Liama spoglądającego niespokojnie znad ramienia Jacka.

– Naprawdę nic mi nie jest - powiedziała lekko zaspanym głosem.

Jack uśmiechnął się i spojrzał na Liama.

– Zostaw nas na minutkę, dobrze?

Chłopak skinął głową, posłał Mikki zachęcający uśmiech i wyszedł z pokoju.

Jack chwycił jej dłoń, a Mikki odwzajemniła uścisk.

– Przepraszam za zamieszanie, które spowodowałam. To było naprawdę głupie.

– Fakt - przytaknął - ale wszyscy byliśmy pod dużą presją.

– Latarnia w końcu zaświeciła?

Jack westchnął głęboko.

– Taak. Gdyby nie ona... - Jego głos zamarł i oboje zaczęli płakać, przytuleni do siebie i wstrząsani emocjami.

– Tak niewiele brakowało, żebym cię stracił...

– Wiem, tato. Wiem... - wyszeptwała.

W końcu się rozdzielili.

– Co teraz? Będziemy musieli się przeprowadzić do babci?

– Nie, zostanieie ze mną.

Krzyknęła z radości i przytuliła go ponownie.

– Czy Liam wie? - spytała z podnieceniem.

– Nie, pomyślałem, że lepiej, abys sama mu o tym powiedziała. - Wstał. - Zawołam go.

Odwróciła się do niego.

– Tato...

– Taak?

– Niezależnie od tego, co się stanie, zawsze będziesz moim bohaterem.

Pochylił się i dotknął jej policzka.

– Dziękuję... Michelle.

Kiedy chwilę później patrzył, jak dwoje nastolatków obejmuje się i rozmawia z ożywieniem, uśmiechnął się do siebie przez łzy. Mikki nie była już dzieckiem. Wiedział, że w ciągu najbliższych lat jej życie, a także jego własne, ulegnie wielkiej zmianie.

Spacerując wieczorem plażą, usłyszał wołanie:

– Gdy wrócisz do Ohio, będzie mi ciebie brakowało, Armstrong!

Odwrócił się i ujrzał idącą ku niemu Jenę.

– Nie będzie! - odkrzyknął. - Nie będzie, bo tu zostaniemy!

Podeszła bliżej.

– Jesteś pewny?

Uśmiechnął się do niej.

– Nie, ale mimo to zostaniemy.

Objęła go ramieniem.

– Cieszę się, że wszystko tak się skończyło.

– Nie dokonałbym tego bez ciebie.

– Zbyt szczerze rozdajesz pochwały.

– Mówiłem poważnie, Jenno. Bardzo mi pomogłaś. Bardzo.

– Co masz zamiar zrobić z kiełkującą miłością?

– Co? - spytał zdumiony.

– Między naszymi dziećmi.

– Ach!

Zachichotała, a on nieśmiało się uśmiechnął.

– Myślę, że będziemy reagowali z dnia na dzień. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Czy to dobrze zabrzmiało, Jenno?

Ucałowała go w policzek.

– Bardzo dobrze, Jack.

Epilog

Niecałe dwa lata później Jack siedział na plaży prawie w tym samym miejscu, które on i Mikki zajmowali w tamtą noc, kiedy zrozumiał, jak wiele ma powodów, żeby żyć. W domu było teraz ciszej, bo Mikki i Liam wyjechali do college'u. Przez dwa ostatnie lata liceum Mikki uczyła się wzorowo i otrzymała stypendium w Berkeley. Perkusista Liam ściął włosy i wstąpił do West Point. Choć dzielił ich od siebie szmat świata, nadal pozostali najlepszymi przyjaciółmi.

Cory pracował na pół etatu w teatrze w Channing, ucząc się roboty od Neda Parkera. Od roku Jackie rósł nieprzerwanie jak na drożdżach, choć Jack z pewną dozą ojcowskiej dumy zauważył, że jego ulubioną zabawką pozostała ciężarówka potwór.

Wstał i ruszył na szczyt latarni. Nie był w niej od tamtego pamiętnego ranka, po dramatycznym ocaleniu Mikki. Wszedł na pomost i spojrzał w morze, w miejsce, gdzie on i Mikki rozpaczliwie walczyli o życie. Później przesunął wzrok na błękitne letnie niebo.

Latarnia Lizzie. Zaświeciła, kiedy jej potrzebował.

Tego dnia Jack miał do zrobienia dwie ważne rzeczy. Pierwsza czekała na niego na plaży. Opuścił latarnię i ruszył energicznie w stronę domu majaczącego w oddali. Szedł z rękami w kieszeniach, zastanawiając się nad słowami, których użyje. Kiedy dotarł na miejsce, zdał sobie sprawę, że choć pokonał zaledwie pół mili plażą, według każdej innej miary było to całe życie.

Czekała na niego, jak się umówili. Objął ją i pocałował, a później, jak dwadzieścia lat temu, uklęknął i zapytał kobietę, którą kochał, czy zechce zostać jego żoną.

Jenna zapłakała, gdy wsuwał pierścioneł na jej drżący palec. Później długo trzymali się w objęciu pod gorącym słońcem Karoliny Południowej, owiewani delikatnym powiewem wiatru.

– Sammy będzie moim drużbą - powiedział Jack.

– Poprosiłam Liama, że ci mnie oddał - odrzekła Jenna. - Kocham cię, Jack.

– Ja też cię kocham, Jenno.

Pocałowali się ponownie i zaczęli omawiać wspólne plany. Później Jack wrócił do Pałacu. Tym razem szedł nieco wolniej. Powrotne pół mili zajęło mu znacznie więcej czasu. Nie bez powodu.

Pierwsza podróż przypominała most prowadzący w przyszłość.

Druga wymagała bolesnego zerwania z przeszłością.

Dotarł do plaży przed domem i usiadł na piasku. Wyciągnął zdjęcie Lizzie i umieścił je przed sobą. Nadal trudno mu było uwierzyć, że odeszła niemal trzy lata temu. To nie mogło być prawdą, a jednak było.

Przesunął palcem po uśmiechniętych wargach, patrząc w jej piękne zielone oczy. Kiedyś wierzył, że będą ostatnią rzeczą, którą zobaczy przed śmiercią. Choć niedawno poprosił o rękę inną kobietę i wiedział, że uczynił słusznie, miał świadomość, że zawsze będzie kochał Lizzie. To również wydawało się właściwe.

Bonnie miała rację w tej sprawie. Lizzie i Jack byli sobie pisani. Sęk w tym, że życie czasami nie jest takie, jak powinno, a ludzie muszą to zaakceptować, choć to bardzo trudne. *Powinieneś szanować przeszłość i nigdy o niej nie zapomnieć, ale nie wolno ci w niej żyć.*

Musiał coś zakończyć. Coś ważnego.

Wyciągnął z kurtki kartkę i długopis. Jego dłoń lekko drżała, a po twarzy spływały łzy. Jack Armstrong dotknął papieru długopisem i zaczął pisać.

Droga Lizzie

Wydarzyło się tyle rzeczy, o których chciałbym Ci opowiedzieć.

Godzinę później zakończył, jak zawsze słowami:

Kocham Cię,

Jack

Siedział chwilę nieruchomo, pozwalając, żeby słońce i wiatr osuszyły łzy, bo z jakiegoś powodu nie chciał ocierać ich ręką. Później starannie złożył kartkę i wsunął ją do koperty oznaczonej numerem siedem. Włożył kopertę i zdjęcie Lizzie do kieszeni, odwrócił się i ruszył do domu.

Kiedy dotarł do traw, odwrócił się i spojrzał w niebo. Na jego ustach pojawił się uśmiech, gdy zdał sobie sprawę, na co patrzy. Dziś w końcu je odnalazł po długich poszukiwaniach.

Przed jego oczami rozciągał się mały skrawek błękitu zwany niebem. Z jakiegoś powodu miał pewność, że to ten. Jak na ironię, podobnie jak przy wielu trudnych życiowych sprawach, cały czas miał odpowiedź przed nosem.

– Tato!

Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, że Jackie biegnie ku niemu. Chłopak skoczył, a Jack chwycił go w powietrzu.

– Cześć, kolego!

– Co robiłeś?

Jack zaczął coś mówić, ale nagle przestał. Odwrócił się i obaj spojrzeli na ocean. Wskazał synowi niebo.

– Mamusia patrzy na nas z góry, Jackie - powiedział.

Chłopak popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Mamusia?

Jack skinął głową, a Jackie pomachał w stronę nieba.

– Cześć, mamó! - zawołał i posłał jej całusa.

Jack się odwrócił i ruszył do domu, niosąc syna na rękach. Zanim dotarł na miejsce, jeszcze raz spojrzał na mały skrawek błękitnego nieba.

– Do zobaczenia, Lizzie.

Na razie.

Listy Jacka

Droga Lizzie

Chciałbym Ci opowiedzieć o pewnych sprawach, ale nie mam dość tchu w piersi. Dlatego postanowiłem napisać. Chcę, żeby te listy Ci pozostały, kiedy odejdę. Nie smuć się, ale

potraktuj je jako okazję posłuchania mnie jeszcze raz. Gdy byłem zdrowy, czyniłaś mnie bardziej szczęśliwym, niż miałem prawo oczekiwać. Kiedy dzieliło nas pół świata, wiedziałem, że spoglądam w to samo niebo co Ty, myślę o tych samych rzeczach, pragnę z Tobą być i czekam z niecierpliwością na powtórne spotkanie. Dałaś mi troje wspaniałych dzieci, choć nie zasługiwałem na taki dar. Choć dobrze o tym wiesz, piszę to, bo ludzie często nie rozmawiają o takich sprawach. Chcę, abyś wiedziała, że gdybym mógł z Tobą pozostać, na pewno bym to uczynił. Walczyłem z całych sił. Nigdy nie rozumiałem, czemu muszę tak szybko od Ciebie odejść, choć z tym się pogodziłem. Chcę, żebyś wiedziała, że nie ma dla mnie nikogo ważniejszego od Ciebie. Kochałem Cię od chwili, gdy Cię ujrzałem. Moim najszcześniejszym dniem był ten, w którym zgodziłaś się dzielić ze mną życie. Obiecałem, że zawsze będę Ci służył. Że moja miłość do Ciebie jest tak silna, iż nawet jeśli odejdę, będę Ci towarzyszył w każdy możliwy sposób. Że będę Cię strzegł. Że będę przy Tobie, jeśli zechcesz porozmawiać. Że nigdy nie przestanę Cię kochać. Że nawet śmierć nie jest dość potężna, by na rozdzielić.

Kocham Cię, Jack

Droga Lizzie

Za pięć dni nadejdą święta Bożego Narodzenia. Obiecuję Ci, że do nich dotrwam. Nigdy Cię nie zawiodłem, więc i tym razem dotrzymam słowa. Trudno się żegnać, ale czasem człowiek musi robić rzeczy, których nie chce. Jackie zajrzał do mnie niedawno i odbyliśmy rozmowę. Właściwie to on gaworzył, a ja słuchałem. Lubię go słuchać, bo wiem, że niedługo nie będę do tego zdolny. Bardzo szybko rośnie i pewnie nie będzie pamiętał swojego taty. Z drugiej strony mam pewność, że pozostanę w Twojej pamięci. Żałuję, że nie będę mógł rzucić mu piłki ani patrzeć, jak gra w koszykówkę. Wiem, że czeka go udane życie.

Cory to wyjątkowy chłopak. Odziedziczył twoją wrażliwość i współczucie. Wiem, że moja choroba dotyka go najbardziej z wszystkich dzieci. Ostatniej nocy przyszedł do mnie i usiadł na łóżku. Pytał, czy bardzo mnie boli. Powiedziałem, że nie. Poprosił, żebym pozdrowił od niego Boga, kiedy go zobaczę. Obiecałem, że to zrobię.

No i Mikki.

Mikki jest najbardziej skomplikowana z nich wszystkich. Nie jest już małą dziewczynką, ale nie stała się jeszcze kobietą. To dobre dziecko, choć wiem, że czasem masz z nią kłopoty. Jest bardzo inteligentna, opiekuńcza i kocha swoich braci. Kocha Cię, choć czasami nie chce tego okazywać. Najbardziej żałuję, że pozwoliłem, aby się ode mnie oddaliła. To moja wina, nie jej. Teraz wyraźnie to widzę. Żałuję, że w porę tego nie dostrzegłem. Kiedy odejdę, powiedz Mikki, że gdy ją ujrzałem po powrocie z Afganistanu, gdy byłem jeszcze w mundurze, nie było ojca bardziej dumnego ode mnie. Kiedy patrzyłem na jej maleńką twarz, odczuwałem najczystsza radość daną człowiekowi. Pragnąłem ją chronić i nie pozwolić, żeby spotkało jej coś złego. Oczywiście w życiu jest inaczej. Powiedz Mikki, że ojciec był zawsze jej największym fanem i że nim pozostanie niezależnie od tego, co będzie robiła w życiu.

Kocham Cię, Jack

Droga Lizzie

Święta Bożego Narodzenia za pięć dni, więc pora zastanowić się nad życiem. Nad Twoim życiem, Lizzie. Wiem, że będzie to dla Ciebie trudne. Trudno mi o tym pisać, a Tobie niełatwo będzie czytać, ale trzeba to wyraźnie powiedzieć. Jesteś młoda i masz przed sobą wiele lat. Cory i Jackie jeszcze długo będą z Tobą. Nawet Mikki z tego skorzysta. Piszę o tym, Lizzie,

bo powinnaś kogoś sobie znaleźć.

Wiem, że początkowo nie będziesz chciała. Będziesz się czuła winna, że pomyślałaś o innym mężczyźnie, ale tak już musi być. Nie mogę pozwolić, żebyś spędziła samotnie resztę życia. To nie byłoby sprawiedliwe wobec Ciebie i nie miałyby nic wspólnego z miłością, którą się darzyliśmy. Bo nasza miłość będzie trwała wiecznie. Istnieje wiele rodzajów miłości, a ludzie mają zdolność kochania wielu osób. Jesteś wspaniałą kobietą, Lizzie, i możesz uczynić pięknym czyjeś życie. Miłością trzeba się dzielić, a nie ją ukrywać, zazdrośnie gromadząc dla siebie.

Masz wiele miłości, którą możesz się podzielić. Nie oznacza to, że będziesz mnie darzyła mniejszą miłością. Ja na pewno nie będę kochał Cię bardziej niż do tej pory. Mimo to jestem przekonany, że w swoim sercu znajdziesz więcej miłości dla kogoś innego. Że uczynisz go szczęśliwym, a on uszczęśliwi Ciebie. W ten sposób Jackie znajdzie nowego ojca, który pomoże mu wyrosnąć na dobrego człowieka. Nasz syn na to zasługuje. Wierz mi, Lizzie, gdyby mogło być inaczej, zrobiłbym to. Trzeba się pogodzić z tym, co niesie życie. Staram się to robić najlepiej, jak potrafię. Zbyt mocno cię kocham, żeby zaakceptować coś mniejszego od Twojego pełnego i całkowitego szczęścia.

Kocham Cię, Jack

Droga Lizzie

Do Świąt Bożego Narodzenia pozostały zaledwie trzy dni. Obiecałem Ci, że dotrwam, i wiem, że będzie to wspaniały dzień. Oglądanie twarzy dzieci otwierających prezenty będzie dla mnie lepsze od wszystkich lekarstw tego świata. Wiem, że dla wszystkich było to trudne doświadczenie, szczególnie dla Ciebie i dzieciaków, choć Twoja mama i tata próbowali Ci pomóc. Nigdy nie poznałem ich tak dobrze, jak chciałem. Czasami odnoszę wrażenie, że Twoja mama sądzi, iż mogłaś poślubić kogoś, kto lepiej by do ciebie pasował i odniósł większy sukces w życiu. Wiem jednak, że się o mnie troszczy, że z całego serca kocha Ciebie i dzieciaki. To błogosławieństwo, że masz takie wsparcie. Jak wiesz, mój ojciec umarł, kiedy byłem dzieckiem. Wiesz również o mojej mamie. Twoi rodzice zawsze służyli mi pomocą, szczególnie Bonnie. Okazywała mi więcej miłości niż własna matka, bo naprawdę liczą się czyny, a nie słowa. W ten sposób okazujemy, że naprawdę kogoś kochamy. Proszę, przekaz im, że zawsze darzyłem najgłębszym szacunkiem ją i Freda. To dobrzy ludzie. Mam nadzieję, że pewnego dnia uznasz, iż ja również byłem dobrym ojcem i starałem się robić to, co słuszne. I że okazałem się Ciebie godny.

Droga Lizzie

Muszę Ci wyznać coś, co odkryłem, przypatrując się życiu z perspektywy swojego łóżka. Wyznać i przeprosić. Nie byłem szczególnie dobrym mężem i ojcem. Przez połowę naszego wspólnego życia walczyłem na wojnie, a przez drugą ciężko pracowałem. Podobno żaden człowiek nie chciałby, aby na jego nagrobku napisano, że żałuje, iż nie mógł więcej pracować. Pewnie zaliczam się do tej kategorii, ale już za późno, by coś zmienić. Otrzymałem swoją szansę. Kiedy obserwuję dzieci, zdaję sobie sprawę, ile straciłem. Mikki jest prawie dorosła i ma własne życie. Cory posiada skomplikowaną cichą osobowość. Nawet Jackie to odrębny charakter. Szkoda, że wcześniej tego nie dostrzegłem. Najbardziej żałuję, że opuszczę Cię przed czasem. Moim kolejnym wielkim żalem jest to, że nie będę mógł uczestniczyć w życiu dzieci. Może sądziłem, że będę miał więcej czasu, by to naprawić, ale to kiepska wymówka. To smutne, gdy człowiek odkrywa, co jest najważniejsze w życiu, kiedy jest już za późno. Powiadają, że święta Bożego Narodzenia to czas drugiej szansy.

Mam nadzieję, że przez dwa kolejne dni mojej drugiej szansy zrobię to, co powinienem, dla ludzi, których kocham najbardziej.

Droga Lizzie

Wydarzyło się tyle rzeczy, o których chciałbym Ci opowiedzieć.

Kocham Cię, Jack

Podziękowania

Michelle za to, że wybrała się w tę podróż razem ze mną.

Mitchowi Hoffmanowi, który tak chętnie skoczył obiema nogami w coś nowego.

Davidowi Youngowi i Jaimie Raab za to, że pozwolili mi się rozwinąć.

Emi Battaglia, Jennifer Romanello, Chrisowi Barbie, Karen Torres, Tomowi Maciągowi, Maji Thomas, Marcie Otis, Anthony'emu Goffowi, Michelle McGonigle i Kim Hoffman oraz wielu innym pracownikom wydawnictwa General Central za niezrównane wsparcie.

Aaronowi i Arleen Priest, Lucy Child, Lisie Erbach Vance, Nicole James, Frances Jalet-Miller i Johnowi Richmondowi za ich trud.

Marii Rejt, Trishii Jackson i Katie James z Pan Macmillan za owocne rozwijanie mojej kariery za Atlantykiem.

Eileen Cheetti za wspieranie redakcyjną robotę.

Grace MyQuade i Lynn Goldberg za świetne robienie tego, czym się zajmują.

Lynette i Natashy za pilnowanie domowego ogniska i sprawianie, że tak jasno płonie.

O autorze

David Baldacci jest autorem bestsellerów sprzedawanych na całym świecie. Jego książki, wydane w ponad czterdziestu językach, w osiemdziesięciu krajach, w nakładzie przekraczającym dziewięćdziesiąt milionów egzemplarzy, czynią go jednym z najbardziej poczytnych współczesnych autorów. Razem z żoną David Baldacci założył Wish You Weil Foundation - organizację charytatywną działającą na rzecz szerzenia umiejętności czytania i pisania w Ameryce. Autor, który nadal mieszka w rodzinnej Wirginii, zaprasza do odwiedzenia swojej strony www.davidbaldacci.com oraz strony internetowej fundacji www.wishyouwell.org, a także www.feedingbodyandmind.com, gdzie można znaleźć więcej informacji o programie upowszechniania książek.